

Zeszyty Łukowieckie

Numer 6-7-8

Lipiec 2004 – Marzec 2005 rok

Gazeta informacyjna

Od Autora!

„Zeszyty” Nr 6, 7 i 8 zawierają życiorys Antoniego Faszynkiedra mojego dziadka oraz dwa pamiętniki, jeden dziadka a drugi nieznanego podoficera. Pamiętnik dziadka rozpoczyna się 23 sierpnia 1939 roku i obejmuje jego drogę do Egiptu, do Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich oraz kampanię libijską. Drugi pamiętnik, nieznanego żołnierza, opisuje kampanię włoską. Nasuwa się pytanie: - Jak pamiętnik ten dostał się w ręce dziadka? - Czyjego autor zginął a dziadek pamiętnik zabrał? - Szkoda, że w jego treści nie ma nazwiska autora. Na stronie tytułowej drugiego pamiętnika zamieszczam rysunek sporządzony przez kaprała Emila Czesaka. Przedstawia on włoskie miasteczko Rianero. Czy temu człowiekowi można przypisać autorstwo pamiętnika? - dziś z perspektywy lat trudno cokolwiek powiedzieć! Ponieważ w życiorysie dziadka, który został przeze mnie przygotowany w wersji roboczej jeszcze w 2002 r., jest sporo wątków dotyczących Łukowca myślę, że byłym mieszkańcom Łukowca i ich potomkom Zeszyty Nr 6 - 7 - 8 będzie się czytać dobrze. Jeżeli chodzi o pamiętniki, to mają one z pewnością jakąś historyczną wartość. Rozpoczynając pracę nad „Zeszytami” specjalnie ominąłem kilka historyjek łukowieckich, tych, które opowiedziałem wcześniej w „Życiorysie dziadka”, aby wiadomości nie dublowały się. Obie prace mają pewne wspólne odniesienie i z tego też względu kilka zdjęć i kilka opisów powtarza się.

Historyk, prof. dr hab. Stanisław Dąbrowski, rektor Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Legnicy, po zapoznaniu się z „Życiorysem żołnierza i dwoma pamiętnikami” opatrzył je swoimi uwagami, które

pozwałam sobie przytoczyć poniżej. Zamieszczam także, krótką charakterystykę dziadka osoby wykonaną przez pana Edwarda Sabata.

Pragnę również zaznaczyć, że moim pierwszym celem było przede wszystkim zachowanie pamięci o dziadku, głównie dla rodziny. Ponieważ jednak zacząłem pracować nad „Zeszytami” - doszedłem do wniosku, że opublikowanie w nich: „Życiorysu żołnierza i dwóch pamiętników” nie zaszkodzi ani jednemu ani drugiemu.

Wątek zawierający elementy historyczne, a dotyczący dziadka matki przedstawiłem tak, jak nam go dziadek opowiadał. Czy jest dziś możliwość jego dalszego zbadania i wyjaśnienia, trudno stwierdzić. Być może tak. Uważam, że należy go traktować jako legendę rodzinną i więcej nic na ten temat, przynajmniej na razie, powiedzieć nie mogę. Dokładna analiza dziadkowego pochodzenia, zarówno ze strony matki jak i ojca, nastęrcza sporo trudności. Niestety ludzie, którzy mogliby znaleźć jakieś stare dokumenty w archiwach kościelnych czy miejskich odmówili mi współpracy. Po prostu nie mają czasu albo im się zwyczajnie nie chce niczego szukać. Moim marzeniem jest - nie ukrywam, wydanie „Życiorysu żołnierza i dwóch pamiętników” w formie książkowej. I choć w takim przypadku pragnąłbym jeszcze posze-

Zeszyt zawiera:

- 1. Słowo od autora**
- 2. „Życiorys żołnierza i dwa pamiętniki”**
- 3. Komentarz końcowy**

rzyc pracę o kilka zdjęć i dokumentów, które mógłbym uzyskać w Górze Ropczyckiej jak np.: zdjęcie kościoła w którym dziadek był chrzczony, zdjęcie domu w którym mieszkał dane dotyczące dziadka dziadków ze strony ojca. Być może w GS - sie w Brzegu Dolnym można by natrafić na jakieś dokumenty dotyczące dziadkowego wykształcenia. Pragnę jeszcze wyjaśnić, że pamiętnik drugi ma pewne braki. Nie ma w jego środkowej części jednej czy dwóch kartek, także brakuje w nim ostatniej i pierwszej strony. To co znalazłem, publikuję i choć pamiętnik nie jest całkowicie kompletny, to obrazuje on drogę żołnierzy polskich od momentu wyjazdu z Port Saidu w Egipcie i wylądowaniu w porcie południ o-włoskim Tarenzie, aż po osiągnięcie Bolonii. W pamiętnikach jest wiele rzeczy ciekawych, uderzających. Warto też powiedzieć, że razem z Polakami walczyły trzy mniejszości narodowe: Rusini (Ukraińcy), Białorusini i Żydzi, stąd msze prawosławne i pewne nazwiska oraz imiona charakterystyczne dla tych nacji. Niektórzy z tych ludzi byli z Polakami zesłani na Sybir i dzielili ich los. Czasem nawet nie wiedzieli, co się w tym czasie w kraju dzieje.

Myślę, że warto jeszcze wspomnieć, że dziadek i żołnierz, autor drugiego pamiętnika mieli duże zacięcie, aby opisywać swoje przeżycia. Zauważa się pewne niedoskonałości językowe - jednak nie są one rażące. Wiadomo, były pisane w warunkach bojowych, naprędce, na kolanie w momencie jakichś przerw w walkach czy wieczorami przed snem. Dziadek również notował kampanię włoską. Widziałem kiedyś jego kalendarzyk ze stosunkowo skromnymi zapiskami, były tam wymieniane miasta włoskie, które zdobywali i nieliczne spostrzeżenia. Kalendarzyk gdzieś zginął. Choć uwagi nie były obszerne niemniej dziadek zapisywał. Miał potrzebę notowania. Jest w tym coś znamienego, oficerowie polscy w Katyniu też pisali pamiętniki, czynili notatki. Nawet nieraz do ostatnich chwil, do momentu dowiezienia ich na miejsce kaźni.

Była taka jakby mania uwieczniania tego co się dzieje, co się przeżyło. I dzięki temu mamy te dwa dokumenty.

Kiedyś rozmawiałem z żołnierzem rosyjskiej armii, który zakończył wojnę w Czechach koło Pragi. Mówił tak: Pisać nam nie wolno było - gdy dowódca zauważył, że coś skrobię - zabrał mi zapiski. Zresztą - mówił - myśmy nie wiedzieli gdzie jesteśmy, gdzie idziemy, gdzie nas wiozą i z kim za chwilę będziemy walczyć. Taka była w rosyjskiej armii reguła. Ten żołnierz nie narzekał jednak ani na jedzenie ani na stosunki w armii. Nawet twierdził, że relacje pomiędzy dowództwem a żołnierzami były przyzwoite. Jak się zgubił i odnalazł po kilku dniach, nikt do niego nie miał pretensji. Na marginesie jeszcze dodam, że był on narodowości łemkowskiej. Gdy wrócił do rodzinnej wioski późną jesienią 1947 r. , już jej nie było. Wszystkich wywieziono bądź to na Zachód bądź na Wschód. - Rodzinę odnalazł w końcu na Śląsku.

W armii polskiej na Zachodzie żołnierze mogli pisać wszystko. Wiedzieli też, gdzie są i dokąd idą. Dzięki temu mamy w pamiętnikach stosunkowo dużą ilość wymienionych miejscowości i wiele nazwisk żołnierzy oficerów, przełożonych i kolegów autorów obu pamiętników. Uderza też obfitość fotografii.

Opracowanie „Życiorys żołnierza i dwa pamiętniki” dedykuję rodzinie Faszynkiedrów w prostej linii spokrewnionej z dziadkiem zamieszkującej w Głucholazach w opolskim w Krakowie i w Starym Dworze koło Brzegu Dolnego a także w Filadelfii w Stanach Zjednoczonych oraz rodzinom: Szulców, Burdzych, Łajewskich, Muszyńskich, Czerwińskich, Wardachów i Biermacherów, spokrewnionym z Faszynkiedrami poprzez dziadka córki i wnuczki.

Życiorys żołnierza i dwa pamiętniki



Lubin, 2002 rok

Wpauwaniem, pamistuiui, biografie ludzi
ktory byli wrocl nas, a "wygerajnych" polskich
modnoscach so, mierzyle cenne olla ich bliskich
jako pamistui. Majz rowniez istatus wartosci
jako inoia historiarue i psychologiarue.
Ukharujz bowiem mierzylecisci ukonj ucrestnikarui
lub obseruatarui byli ich behatierowie.
Interesujacych przykadek takich wbasnie mierzylecisci
jest "Zycie wy zihieroi" i "Dwa pamistuiui".
Poczetykui je z zainteresowaniami. Nie jest moin
zamiarem ich recepcionanie. Tragus jedynie pochwistui
sie apolue refleksji. Ukharujz miiz wmarliosc Autora
(Autora), jego (Jeh) emysj obseruacji wydatku, sytuacji,
a takie ludzi, krestionosc, obicetywizm odu. Je
cechy satyzfakcjonujz cyteluikui. Leutnos prae tyche
opowiesci miiz chwiz prapymnosc. Wynaruiam pochwistui
nie Pami Redakcji jechwiele Wardaul-Burdly
za ich uolostepniemie.

Legnica 16.03.2003

Stanislaw J. Gaborczyk

Jako Łukowianin z dużym ciekawością przeczytałem w Żeszytach N. 6-7-8 „Życiorys Łódzianina i dwóch pennistników”, przedstawiający Życiorys Pana Antoniego Tesnykuchidera. Moją ciekawości było tym większą, że Pan Antoni w latach 1953/54 był moim przełożonym w Przedsiębiorstwie Budowy Stępnic Wodnych na Wschodnich Błazach. Chociaż mieliśmy biuro w jednym pokoju to o kłótnych wyderzeniach na Łachodzie lepiej było mi mówić. U.B. miał wreszcie mieć własne swoje „otyczki”.

Od mojego ciekawego siostra można było wiele się nauczyć a przede wszystkim punktualności, obowiązkowości, solidnego wykonywania obowiązków i innych dodatkowych zajęć. Niezbędnych w pracy.

Autor „Życiorysu Łódzianina i dwóch pennistników” Pan Franciszek Burdzy wykorzystał się wielkimi nakładami pracy w gromadzeniu materiałów źródłowych jak: pennistniki, fotografie, wspomnienia rodzinne, listy, odświeżenia itp. Bez wątpienia należy przyjąć, że jest to dokument historyczny o wartości potocznej.

Jestem pełen podziwu, że Pan Franciszek Burdzy posiada tak duże wiadomości z dziejów Łukowca, tym bardziej, że należy do pokolenia powojennego. Cechuje go przede wszystkim upór w kontynuacji podjętej pracy nad wiarygodnym przedstawieniem dziejów Łukowca. Wszystkie wyobserwowania zaczerpnięte od świadków – przed zaniechaniem w Żeszytach – są skrupulatnie weryfikowane nadając w ten sposób miarę pracy o znaczeniu historycznym.

Wypada tu tylko dodać: Pamięć Franciszka, tak trzymać!

E. Ju k 7 30.01.95

Rozdział I

WSTĘP

Próba opisanego życia mojego dziadka Antoniego Faszyńkiedra wynika głównie z dwóch przyczyn:

Po pierwsze - pragnę utrwalić i zachować pamięć o człowieku, który był dla nas - jedenaścioro jego wnucząt - osobą niezwykle a jednocześnie mam i nadzieję, że jego przeżycia mogą być interesujące również dla ludzi spoza kręgu rodziny.

Drugą sprawą jest stosunkowo duża ilość pamiątek, jaka pozostała po dziadku. Jest sporo zdjęć porzucanych po całej rodzinie i różnych dziadka akcesoriów. Coś wartościowego ciągle ginie, a to brakuje krzyża, który jeszcze parę lat temu można było podziwiać, to znów gdzieś zapadł się kalendarz dziadka z okresu kampanii włoskiej albo nie mogę odnaleźć zapisków dyktowanych przez dziadka mojej siostrze Danucie. - Wreszcie powiedziałem, dość tego! - To, co ocalało, zostanie zebrane i będzie stanowić materiał do opracowania. - Wiem że nie napiszę o dziadku wszystkiego, ale z całą pewnością przybliżę jego osobę tym, którzy zechcą przeczytać niniejszą pracę, a jeżeli jeszcze sprawi im to jakąś frajdę - będę zadowolony.

Na tle życiorysu dziadka pragnę również napisać parę słów o wsi, w której mieszkał - Łukowcu. Sprawa Łukowca, choć na pozór prosta - ma wiele niedomówień. Ta położona pomiędzy Lwowem i Stanisławowem miejscowość ze swoją historią i swoimi bohaterami jest miejscem dla wielu ludzi jedynym na świecie. Odniosłem nawet wrażenie, że osoby, z którymi rozmawiałem na temat tej wioski, wołałyby, abym o niej nic nie pisał - bo wszystko było inaczej, niż ja sądzę. Nie mam jednak zamiaru zostawiać Łukowca całkowicie na boku, gdyż tu dziadek mieszkał, tu żyli jego najbliżsi - żona i dzieci. Tu miał też sklep, gospodarkę i do tej wsi - jak to się mówi - przynależał.

Dziadek urodził się 31 maja 1900 roku w Górze Ropczyckiej niedaleko Strzyżowa. Dane mu było brać udział w obu wojnach światowych i wojnie polsko-rosyjskiej 1919 -1921 zwanej powszechnie „bolszewicką”.

Wracając do kraju z Anglii w 1948 roku miał dziadek cały bagaż wrażeń związanych z pobytem na Zachodzie, w Azji i Afryce Północnej. Przeżyciami swymi dzielił się ze wszystkimi, ale najchętniej opowiadał je nam - swoim wnukom - odwiedzającym go wraz z naszymi rodzicami w jego domu we wsi Stary Dwór koło Brzegu Dolnego w co drugą niedzielę.

Dziadek bardzo często odpowiadając na zadawane mu pytania posługiwał się prostą formułą mówiąc: „W Anglii to jest tak - we Włoszech to tak”- albo, że - „Arab to by na to zareagował tak”. - Na ogół ludzie słuchali tego, co mówił, z zainteresowaniem. Czasem jednak miałem wrażenie, że tego typu argumenty, które nierzadko miały ostateczny charakter i często nie pozwalały na dalszą dyskusję - denerwowały tylko rozmówców, gdyż wychodziło na to, że dziadek wie wszystko najlepiej albo że góruje nad wszystkimi doświadczeniem i wiedzą. My jednak, jego wnuki, słuchaliśmy zawsze każdego jego słowa, z zapartym tchem i otwartymi ustami.

Dziadek najchętniej opowiadał nam swoje przeżycia z czasów II wojny światowej. Jego życie z tego okresu jest nam stosunkowo najlepiej znane. Wspominając różne zdarzenia i przygody starał się nas w jakimś sensie edukować. Jednocześnie miał potrzebę mówienia i opowiadania-choć muszę przyznać, że z natury nazbyt rozmownym człowiekiem nie był. Uważał, piszę to z całą pewnością, swoje życie za dobrze przeżyte, a nawet można by rzec, dobrze spełnione. Opowiadając nam różne historyjki z okresu wojny, dziadek w jakimś sensie ograniczał się do spraw nietypowych, śmiesznych, anegdotycznych. Były one już przez dziadka umysł, pozbawione atmosfery wojny, lęku o życie, znoju przemarszów, który z pewnością był udziałem nie tylko dziadka, ale także wszystkich jego kolegów - żołnierzy. Wydawało nam się

nawet, że wojna „na Zachodzie” nie była zbyt groźna, i że był to raczej jakiś, jak byśmy to dziś powiedzieli, spacer a nie krwawe walki. W kraju zawsze panowała opinia, że na „Wschodzie” ludzie ginęli masami a ci na „Zachodzie” walczyli z dużo mniejszym narażaniem się. I z pewnością prawda taka jest - to podkreślał nawet sam dziadek - mówiąc o przygotowaniu lotniczym i artyleryjskim oraz czołgach zajmujących teren przed każdym wejściem żołnierzy na pozycję wroga. Po zapoznaniu się z pamiętnikami zmieniłem nieco zdanie na temat tej straszliwej wojny. Ludzie ginęli wszędzie, a ci na Zachodzie nie tylko pod Tobrukiem czy Monte Cassino, ale na każdym etapie działań - od kul, min, bombardowań lotniczych i artyleryjskich.

Rozdział II POCHODZENIE

Dziadek urodził się z ojca Józefa Faszynkiedra i matki Anieli Zach. Jego rodowód jest bardzo ciekawy, choć od razu muszę zastrzec, że dziadek czuł się, tak zresztą jak i jego bracia a także jego ojciec, zawsze tylko Polakiem. Miał jednak świadomość swojego w jakimś stopniu nie polskiego pochodzenia. Dziadka dziadek był Austriakiem ożenionym z Polką i był podobno pierwszym starostą w Strzyżowie. Zmarł on jak opowiadał nam dziadek wraz z żoną na skutek wybuchu epidemii w tym mieście. Pozostawione dziecko - Józefa - wychowała polska rodzina matki na Polaka. Ponieważ rodzina ta nie była zbyt zamożna, oddano pradziadka na naukę do szewca. Był więc dziadka Ojciec a mój pradziadek szewcem. Z opowiadań mojej mamy, potwierdzonych również przez rodzinę, wiadomo, że pradiad Józef był mały i rudy. Rudzina, zresztą w rodzinie Faszynkiedrów choć nie często, to jednak od czasu do czasu odzywała się, ale ani dziadek ani żaden z jego braci rudymi nie byli. Rudy jest za to jeden z jego wnuków, a także córka jego brata Stanisława. Dziadek był ciemnym blondynem, a nawet można by rzec szatynem średniego wzrostu o niebieskich oczach. Jego bracia; Władysław - najbardziej do dziadka podobny pod względem fizys, był także ciemnym blondynem, wzrostu dziadka, Stanisław był blondynem, a Ludwik szatynem. Obaj byli od dziadka nieco wyżsi. Siostra dziadka, Henryka - była rudawą blondynką średniego wzrostu. Z nazwiskiem dziadka łączy się sprawa jego pisowni i brzmienia. Pradziadek i dziadek nazwisko spolszczyli zmieniając „sch” na „sz”, także literę „en” zmienili na „y” oraz „ie” czytali po polsku a nie jako długie niemieckie „i”. Ponieważ bracia dziadka nie spolszczali nazwiska, było ono w pisowni i w brzmieniu nieco inne, a mianowicie: „Faschenkieder”. Praktycznie mamy do czynienia z dwoma nazwiskami - ze spolszczoną wersją dziadka i pisownią niemiecką jego braci. Zmiana ta, dla niektórych nieistotna, dla innych miała jednak jakieś znaczenie i ma wyraz także w zdarzeniu trochę śmiesznym związanym z dziadka bratem Stanisławem. Gdy urodził mu się syn Józef, dziadek przebywający w tym czasie w Krakowie został poproszony o załatwienie metryki dziecku. Zarejestrował chłopca pod spolszczoną wersją nazwiska „Faszynkieder”, co spowodowało niezadowolenie jego brata. - No to jak? - mówił - to ja Faschenkieder, a on mój syn Faszynkieder - przecież to jest już inne nazwisko. - Wujek był z tego faktu podobno bardzo niezadowolony. W każdym bądź razie takie zdarzenie miało miejsce i nie chodzi tu przecież o to, że wujek mógłby nie czuć się Polakiem - bynajmniej - ale pisowni nazwiska nie chciał zmieniać. Dla mnie nazwisko Faszynkieder w każdej wersji, czy spolszczonej czy nie, brzmi bardzo po niemiecku i nic na to nie poradzę.

Matka dziadka Elżbieta Zach pochodziła ze spolszczonej rodziny węgierskiej, która w XIV wieku uciekła do Polski na skutek prześladowań na Węgrzech. Ponieważ matka dziadka zmarła bardzo wcześnie, gdy dziadek miał zaledwie kilka lat - niewiele ją pamiętał. - Drugi ożenek pradiadka z Elżbietą Miętus, podyktowany był, jak sądziła moja mama, raczej litością pani Miętus nad gromadą zaniedbanych dzieci, niż miłością do zagląającego do kieliszka pradiadka Józefa. W sumie sytuacja rodzinna po ożenku poprawiła się głównie na korzyść dzieci, których z pierwszego małżeństwa było czworo: Władysław, Antoni, Stanisław i Hanka, z drugiego małżeństwa był Ludwik. W sumie dzieci było pięcioro. W rodzinie pozostawały też jeszcze dzieci pani Elżbiety Miętus, macochy dziadka z jej pierwszego małżeństwa.

Wracając do Zachów - rodzina ta uciekła w XIV wieku do Polski przed prześladowaniami ze strony węgierskiego dworu (dziadek wielokrotnie opowiadał nam o tej legendzie). W XIV wieku królewicz polski Kazimierz zwany później Wielkim, syn króla Władysława Łokietka, przebywał na węgierskim dworze u swojej ciotki Elżbiety, siostry Władysława Łokietka, a żony króla Węgierskiego Ludwika Andegaweńskiego. Tu poznał pewną dworzkę, córkę węgierskiego pana Felicjana Zacha - Klarę, która przebywała na dworze królewskim. Podobno rycerz Felicjan Zach po śmierci swojej żony oddał córkę na dwór na wychowanie. Królewicz Kazimierz nie okazał się obojętny na wdzięki pięknej węgierki (zresztą słynął później z licznych flirtów i wielu nieślubnych dzieci). W konsekwencji romansu, Klara zaszła w ciążę - a ojciec jej zrobił to, co uczyniłby dziś w takiej sytuacji każdy ojciec na świecie poprosił o widzenie z królem i królową. Gdy mu w końcu udzielono posłuchu, zażądał, aby polski królewicz, ni mniej ni więcej, tylko ożenił się z jego córką - No, tego jednak było za wiele. Po prostu król i królowa wyśmiali nieszczęsnego rycerza. Ten wpadł w szal, dobył miecza i rzucił się na koronowane głowy. - królowej uciął cztery palce a króla zranił - w konsekwencji, czeladź zabiła go na miejscu. Zachów okrzyknięto królobójcami, na całą rodzinę podła infamia - zaczęto ich mordować. Ciało nieszczęsnego rycerza Felicjana Zacha rozczłonkowano a kawałki powywieszano w różnych miastach Węgier na publiczny widok jako królobójcy. Klarę uwięziono w lochach i zamęczono na śmierć - choć była brzemienna. Jakaś część rodziny uciekła do Polski (może w góry) - w konsekwencji wyładowali w okolicach Strzyżowa, a król Polski Władysław Łokietek, znający dobrze całą tę sprawę, dał im spokój, gdyż miał jakieś sumienie. Historia odnotowuje to tragiczne wydarzenie, gdyż pisze o nim zarówno Karol Szajnoch w swojej książce „Jagiello i Jadwiga” jak też i Paweł Jasienica w „Historii Polski Piastów”. Niewątpliwie dziadka matka pochodziła z tej właśnie rodziny. Na marginesie należy jeszcze dodać, że sprawiedliwość w tamtych czasach była naprawdę okrutna, a stwierdzenie Szajnochy, że „rycerz Felicjan Zach był szaleńcem” - niekoniecznie musi być solidną oceną tego wszystkiego, co się wtedy stało.

- Wystarczy tylko zastanowić się nad tym, czym jest miłość ojcowska... godność człowieka... honor! Nie mówiąc już o zwykłej ludzkiej przyzwoitości. Królom jednak wtedy wolno było prawie wszystko.

Dziadek w jakimś stopniu znał rodzinę Zachów. Któregoś dnia powiedział, że gdy był bardzo małym chłopcem - miał 6 lub 7 lat, dziadek Zach - ojciec jego matki, rozmawiał z kimś o rewolucji węgierskiej - chodziło najprawdopodobniej o 1848 rok, coś już kojarzyłem mówił, bo zacząłem się z dziadka ni stąd ni zowąd śmiać - „Po coś ty tam chodził” powtarzałem w kółko i wtedy dziadek Zach bardzo poważnie odpowiedział: „Widzisz, dziecie, gdybyś i ty w tamtym czasie żył, pewnie też byś tam poszedł” - Zapytałem dziadka - a ile wtedy twój dziadek Zach mógł mieć lat? - Odparł - no miał ponad osiemdziesiąt” - zacząłem liczyć i wychodziło, że skoro dziadek mówił to w 1906 lub 1907 a dziadek Zach miał 82 lata to w 1848 roku mógł mieć jakieś 24-25 lata - jest, więc to możliwe, że na Węgrzech był.

Należałoby jeszcze dodać, że macocha dziadka - Elżbieta - była dobrą matką dla wszystkich dzieci. Dziadek bardzo ją szanował i do późnej starości co roku jeździł na jej grób i groby swoich rodziców do Góry Ropczyckiej.

Rozdział III

PIERWSZA WOJNA ŚWIATOWA I OKRES WOJNY POLSKO - BOLSZEWICKIEJ.

Co było do 1917 roku - jak dziadek dorastał - nie wiem. - Pewnie skończył szkołę podstawową i praktykował w warsztacie szewskim ojca, gdyż znał szewski fach i umiał nie tylko naprawiać, ale także i robić buty - Czy miał dzieciństwo łatwe i przyjemne - trudno dziś powiedzieć, skłonny jestem stwierdzić, że z pewnością niczym nie różniło się ono od zwykłego wiejskiego życia mieszkających w okolicach Strzyżowa i Góry Ropczyckiej ludzi. Po prostu jakaś tam gospodarka z polem, krowami, sadem, kurami i świniami, a do tego jeszcze zakład szewski ojca, jako dodatkowe źródło dochodów.

W 1914 roku zaczęła się I wojna światowa - Polska nie stała na uboczu. - Rodacy służyli we wszystkich trzech armiach zaborców - żołnierz był potrzebny - wszyscy coś tam Polakom obiecywali, byle by tylko przeciągnąć naród na swoją stronę. Dziadek wiedział, że do wojska iść musi i wstąpił w 1917 roku do Legionów. - Gdy go kiedyś zapytałem - dlaczego do Legionów? - odpowiedź była prosta. - No wiesz, chciałem być ze swoimi - w innym przypadku groziło mu wojsko austriackie, którego jako Polak chciał uniknąć.

Pobyt dziadka w Legionach jest mi stosunkowo mało znany. Na pewno formowanie i przygotowanie żołnierzy odbywało się gdzieś w okolicach Rzeszowa lub Krakowa w miejscu stałym, wiązało się to z naborem oraz ćwiczeniami. Wiem, że ojciec dziadka interesował się synem i odwiedzał go w wojsku. Pewnego razu - opowiadał dziadek - gdy ojciec przyjechał w odwiedziny - on odbywał za jakieś przewinienie karę słupka, która polegała na tym, że na kilka godzin wieszano żołnierza związanego za ręce i nogi na haku wbitym w mur i tak cierpiał. W trakcie odbywania tej kary zjawił się ojciec. Do wiszącego dziadka przyszedł podoficer z żołnierzem - zdjęli go z tego słupka oraz oznajmili, że ma się w ciągu 10 minut przebrać, wymyć, uczesać i zgłosić do podoficera dyżurnego. - Za bardzo nie miał pojęcia co się stało - gdy zameldował się dyżurnemu, ten kazał mu usiąść, zjeść przygotowany posiłek, wypić kawę zbożową i w trakcie jedzenia oznajmił, że reszta kary została mu darowana i że na poczekalni czeka na niego ojciec.

Legion dziadka poszedł na Bukowinę. Dziadek mówił, że dowodził nimi generał Zieliński. Kiedyś słyszałem w radiu urywki audycji o Legionie bukowińskim, którego dowódcą był pułkownik Zieliński - pomyślałem sobie wtedy, że dziadek zbyt daleko od prawdy nie był - pewnie ten pułkownik później awansował na generała i dlatego dziadek użył słowa „generał”. Dziadek wyjaśniał, że po obu stronach frontu stali Polacy, szybko dogadali się, że Legion przejdzie na stronę rosyjską i część Legionu, nawet zdaniem dziadka większa część, gdyż Legion liczył - jak mówił dziadek - około 4500 ludzi, przeszła na rosyjską stronę, a jedna trzecia z dziadkiem została w trakcie przeprawy otoczona przez wojska austriackie. Odebrano im broń i tu dziadek mówił, że postanowili te 1500 ludzi rozstrzelać, co do jednego. W sejmie austriackim podniósł się wrzask - posłowie polscy zaczęli bronić swoich ziomków - potem przyszła pogłoska, że rozstrzelają co drugiego, a później, że co dziesiątego, w końcu resztką Legionu została internowana do obozu na Węgry. Podobno Polaków bronił słynny adwokat lwowski Lieberman. Żołnierzy umieszczono na Węgrzech w obozie w mieście Marmosziget (obecnie Rumunia). Jedli tylko jeden raz dziennie, obozu nie można było opuszczać, jedynie za specjalną przepustką - otoczenie źle nastawione do dezertersów - co mogli sprzedawali. Szefem obozu był Ukrainiec, udawał, że nie umie mówić po polsku, więc wyzywał nas po ukraińsku od najgorszych - żeby wam oczy wydłubano i jeszcze do tych dołków nasrano - było typowym wyzwiskiem tego człowieka. Ja was będę inwigilował - ryczał - Was powinno się wszystkich wybebeszyć itp. epitety. Inwigilacja nie obejmowała jednak kościoła. Gdy w kościele zaintonował Ukrainiec po polsku hymn austriacki „Boże zachowaj cesarza” - gruchnęło „Boże coś Polskę przez tak liczne wieki” - Ukrainiec wściekły - no ale co miał robić - dwa razy tylko krzyknął... Stać! stać!- nikt go jednak nie słuchał a pieśń buchała w niebo i niosła żołnierzom nadzieję i wiarę.

Gdy dziadek otrzymał od ojca przekaz pieniężny, bardzo się ucieszył, nie była to jakaś większa suma - jak mówił - ale można było już coś za to kupić. Okazja nadarzyła się zaraz w następny dzień. Kolega wychodził na przepustkę - dziadek odliczył pieniądze i poprosił kup 10 bułek dla mnie i trzy dla siebie. Chłopak wziął pieniądze. Wieczorem, gdy przyszedł dziadek drzemał na wyrku - usłyszał coś w rodzaju cichego chlipania, odwrócił głowę przed nim stał kolega - płakał, bułki wszystkie zjadł. Kupił je podobno - swoje trzy zjadł od razu - a potem, gdy wracał do obozu, nie wytrzymał, sięgnął po jedną... tylko jedną... potem po drugą... potem po третią... aż w końcu nie zostało nic.

Któregoś dnia do obozu przyjechały na wizytację przedstawicielki jakiejś Ligi Kobiet z Krakowa (właśnie tak określił dziadek te panie, które zjawiały się w obozie) - puszczono je.

Panie natychmiast zorientowały się w sytuacji - pierwszy zakup - to było kilka worków mąki kukurydzianej. Każdy żołnierz dostał po garści mąki i natychmiast ją zjadł. Panie wyjechały do Krakowa, narobiły krzyku, że straszliwie głodujemy, że w obozie mizéria całkowita i zaczęto z Polski przysyłać paczki z prowiantem dla oficerów, dla żołnierzy, dla całego obozu. - Słowem, od tego czasu sytuacja nasza znacznie się poprawiła - mówił dziadek. Nie jestem pewien, czy na tym skończyła się dziadka przygoda w Legionach, nie będę tu niczego wymyślał, gdyż nie chodzi przecież o dorabianie jakiejś tam legendy na siłę - uchowaj Boże zostawiam ten okres taki, jakim go znałem ze słyszenia - zresztą dziadek miał w tym momencie historii 17 lat i z pewnością zrobił to, co do niego należało - a może nawet więcej.

Ostatnie wydarzenie obejmujące okres I wojny światowej było w życiu dziadka dość ważne, a dotyczyło praktycznie rzecz ujmując okresu walk z Ukraińcami o Lwów a więc 1918 roku. Gdy sytuacja związana z walkami stała się głośnie - dziadek szedł do Lwowa z oddziałem kilkunastu żołnierzy - jak do tego doszło - mogę się tylko domyślać. Jedno jest pewne - że szedł. W okolicach Gródka Jagiellońskiego - jak opowiadał - gdy dochodzili do lasu, Ukraińcy otworzyli do nich ogień tak silny, że mowy nie było, aby iść dalej. Dziadek, który był wtedy kapralem, poderwał parę razy żołnierzy do przodu, sytuację jak sam mówił, tylko pogorszył, gdyż oddział dostał się jeszcze bliżej prowadzących ogień i został praktycznie całkowicie unieruchomiony. Musieli leżeć na ziemi plackiem i czekać aż do wieczora na możliwość wycofania się. Aby nie dać się okrążyć - ostrzeliwali się głównie na boki. Wieczorem, gdy padł rozkaz „cofamy się” - dziadek nie mógł się ruszyć. Wyniesiono go z pola do jakiejś polskiej wsi. - Dwa miesiące leżał w szpitalu w Rzeszowie. Złapał po prostu od ziemi „wilka”. W kiepskim stanie z jakąś tam poprawą zdrowia wrócił do Góry Ropczyckiej. Był chory - miał trudności z podnoszeniem się z łóżka, siedzeniem, a nawet ze staniem prosto, schudł, bok cały wygrzewał, lecz niewiele to dawało, może najważniejsze było to, że trochę chodził.

Któregoś dnia, gdy drzemał z zamkniętymi oczyma na ławce przed domem, usłyszał rozmowę trzech przechodzących staruszek: „Widzi mi się, że z tego Antosia już nic nie będzie” - powiedziała jedna. - „Oj chyba tak... chyba tak” - potaknęła druga - „błazienki strasznie i wysechł na szczapę”. - Nie była to miła zapowiedź. - Jednakże po paru tygodniach dziadek poczuł się lepiej i zdrowie zaczęło mu wracać. Po dwóch miesiącach chodził już normalnie i gdy któregoś dnia przyszło wezwanie do polskiego wojska, zameldował ojcu: „Tato, rocznik mój biorą - trzeba mi iść” - Ojciec nie oponował. Służba była tym razem bardzo dobra. Znalazł się w oddziale ochrony kolei na odcinku Lwów-Płoskirów (obecnie miasto Chmielnicki na Ukrainie). Ochrona dotyczyła głównie transportów wojskowych z kolejarzami nie było problemów. Nie dochodziło do żadnych poważniejszych incydentów, kradzieże zdarzały się sporadycznie, a bitwa warszawska przyniosła zwycięstwo nad Moskalami. W okresie tym jeden tylko raz dziadek otarł się o śmierć. Było to podczas rutynowej naprawy torów. Rano dreżyną pojechali po kolejarzy naprawiających tory - gdzie było też dwóch ubezpieczających żołnierzy. Gdy wszyscy załadowali się już na dreżynę, runęła straszliwa ulewa. Zbili się w kupkę i przykryli plandeką czekając, aż ulewa ustanie. Do skrzyżowania torów z drogą mieli nie więcej niż 150-200 metrów - nagle widzą Kozacy na koniach - jadą drogą - deszcz siecze a oni cały oddział, ze 400 ludzi, predefilował przed nimi w strugach deszczu. - Po przejeździe dziadek poczuł stuknięcie kolegi. Bałeś się, że nas odkryją? - Już by było po nas - powiedział. - Pewnie, że tak! - odrzekł dziadek - to cud boski, że żyjemy...wykluli by nas jak nic!

Niestety więcej wątków dotyczących I wojny światowej i okresu wojny polsko-bolszewickiej nie znam. Na pewno było ich znacznie więcej, lecz ja przyszedłem na świat po II wojnie światowej, zaraz po przyjeździe dziadka z Anglii i to co nam opowiadał dotyczyło głównie lat 1939-1947. Wrażenia związane z wieloletnią tułaczką po świecie były u dziadka dominujące i w jakimś sensie górowały nad tym wszystkim co przeżył wcześniej. Wypada jeszcze wspomnieć, że raz tylko w życiu dziadek miał szczęście spotkać się z Marszałkiem Józefem Piłsudskim w Krakowie. Był z kolegą w jakimś teatrze, w czasie przerwy podeszli do sklepiku i tam jemu i koledze ktoś położył ręce na ramionach. - Cześć usłyszeli - co u was słychać? - Wyprostowali się jak struny. Chcę się z wami napić jednego - dodał Marszałek Piłsudski - rzucili się do portfeli - Marszałek uśmiechnął się - Przestańcie - to już wszystko dawno jest

zapłacone - powiedział - wypili po kielichu. - Marszałek znał kolegę dziadka po imieniu więc zamienił z nim kilka słów, potem podając im ręce pożegnał się.

Po I wojnie światowej miał dziadek stopień kaprała. Dostał też jakieś odznaczenie mówiące o tym, że był Legionistą. W moim posiadaniu jest „Krzyż Walecznych” za 1920 rok. Poza tym, na pewno był w oddziale ochrony kolei. - Stopień nie ma tutaj większego znaczenia, choć z całą pewnością dziadkowi na stopniach także mogło trochę zależeć, jak zresztą każdemu człowiekowi awans sprawia przyjemność. - Dość, że wyjaśnię, iż II wojnę światową ukończył w stopniu sierżanta. Po wojnie polsko - bolszewickiej dziadek aż do demobilizacji w listopadzie 1922 roku wykorzystywał swoje szewskie umiejętności pracując w charakterze kierownika wojskowego zakładu szewskiego „ku zadowoleniu przełożonych”.

- W końcu but wojskowy, to nie bagatelna sprawa, armia, która ma dobre buty jest pełnowartościowa - słowem dziadek do tego przyczyniał się sumiennie.

Rozdział IV

OKRES MIĘDZYWOJENNY

Zaraz po demobilizacji podjął dziadek próbę znalezienia pracy - doradzono mu, żeby szukać jej na kolei. Kolejarze mieli w całym okresie międzywojennym stosunkowo dobrą sytuację, niezłe płace, pewność pracy, umundurowanie, więc i dziadek doszedł do wniosku, że służba na kolei mogłaby być czymś niezłym. Kupił bilet do Rzeszowa i zgłosił się do naczelnika stacji z ofertą pracy. Ten jednak na propozycję dziadka nie odpowiadał. - Sprawiał wrażenie niezadowolonego, ledwie słuchał słów dziadka - w końcu rzekł. - Pan wie, ilu takich jak pan codziennie tu przychodzi? - No, po kilku! - Dziadek nie rezygnował - konsekwentnie wyjaśniał, że jest po służbie wojskowej, że był w Legionach - co jednak nie dawało żadnego efektu. Gdy któryś z kolei raz powtórzył - Panie, byłem w Legionach - zawiadowca nie wytrzymał i warknął - „To po coś się pan do tych Legionów pchałeś!” - O ty sukinsynu! - padło z ust dziadka - to ty nie wiesz, po co były Legiony? - Tu dziadek chwycił za krzesło i ruszył na przeciwnika. Drzwi się jednak otworzyły, wpadło dwóch kolejarzy i rzucili się z kolei na dziadka, nim ten zdążył uderzyć i wykopali go z biura - dziadek wrzasnął jeszcze: - „Ty kanalio... ty kanalio... Dziadek się o tym dowiedział” (chodziło oczywiście o Marszałka Piłsudskiego, który miał u żołnierzy pseudonim „Dziadek” i który słynął z tego, że swoich Legionistów bronił zawsze). Dziadek nie pobity, ale wykopany usiadł na ławce czekał na pociąg w kierunku Strzyżowa. Gdy ten nadjechał, wsiadł do niego machinalnie i poszedł do wagonu III klasy.

W głowie mu się kłębiło i z wściekłości, i z bezradności, a w ogóle całe to zdarzenie było dla niego nikczemne i poniżające. Gdy pociąg zatrzymał się na następnej stacji, dziadek nawet nie zauważył, że stoi on na peronie nieco dłużej niż zwykle. Wychylił głowę z wagonu, a wtedy kolejarz stojący na peronie pokazał palcem na niego i powiedział - Tu jest ten pan. Po chwili drzwi przedziału otworzyły się i wszedł zawiadowca stacji - Pan Faszynkieder - zapytał? - Tak - odrzekł zdziwiony dziadek - Pan naczelnik z Rzeszowa bardzo pana przeprosza za cały incydent, który się zdarzył dlatego tylko, że pan naczelnik był bardzo przemęczony. - Może Pan wrócić i dostanie Pan pracę od razu, lub może Pan przyjechać nawet za kilka tygodni... a tu są bilety na trzydniowy przejazd do każdego miejsca w kraju. Zasalutował i wyszedł uśmiechając się życzliwie. Po chwili pociąg ruszył - dziadek z biletami w ręce jechał w kierunku domu. Poczul się nieco lepiej, ale do Rzeszowa do zawiadowcy już nigdy nie wrócił. Zdarzenie to wywarło na dziadku duże wrażenie. Kiedyś po latach nie wahał się powiedzieć, że Legioniści byli w II Rzeczypospolitej wszędzie preferowani tak, jak teraz ludzie PZPR-u. - Tylko, że Legioniści, to zasłużyli sobie na szacunek - Myślę, że wielkiej filozofii na to nie potrzeba, aby przyznać dziadkowi całkowitą rację.

Dziadek stał nadal przed dylematem; co robić! - Ojciec namawiał go do założenia warsztatu szewskiego. - O robocie pojęcie masz, buty zawsze ludziom będą potrzebne - mówił.

- Dziadek dysponował w tym czasie jakimś groszem, ale z pewnością były to pieniądze niewielkie. - W końcu zdecydował się na warsztat w Chodorowie. Dlaczego tam? - tak daleko

od domu? - Nie mam zielonego pojęcia. Wiem, że interes szedł bardzo opornie, przez pierwsze miesiące były tylko drobne naprawy obuwia, więc z tego żadnego grosza nie było, na zaplanowane dokupienie maszyn szewskich po prostu brakowało pieniędzy. Trzeba było jeszcze opłacić lokal, wyżywić się, zakupić prawidła, kopyta, skóry i inne drobne narzędzia. Nieraz cisnęły się dziadkowi, jak mówił, łyzy same do oczu. Dopiero w ósmym miesiącu pracy nabierał 150 zł na dokupienie drugiej maszyny - Gdy coś drgnęło w interesie, postanowił zatrudnić czeladnika. Pewne symptomy dawały nadzieję, że może ludzie nabiorą zaufania do nowego zakładu szewskiego.

Lata 1924-1925 przyniosły dziadkowi dwa bardzo ważne wydarzenia. Pierwszym był ożenek w 1924 roku. Swatał go macochy brat, wujek Żuk. Wybranka mieszkała na Łukowcu w polskiej wsi, 8 km od Chodorowa. - Antoni jedźmy, zobaczysz dziewczynę, może ci się spodoba - namawiał wujek - więc pojechali do rodziny Józefa i Zofii Ziemiańskich, którzy mieli syna Jana i trzy córki: Marię, Anielę i Hankę. Rozmawiali tylko mężczyźni - żona co chwilę donosiła jadło na stół, a w kuchni kręciła się córka przeznaczona do zamążpójścia. Stary Ziemiański już wszystko wiedział o kandydacie na zięcia, więc problemów większych nie było. Po wypiciu jednej flaszki znalazła się i druga, tym razem Antoś zdecydowanie odmówił - więc pił ją Ziemiański i wujek Żuk. Rozmawiali o wojnie austriackiej, gdyż obaj znali się z tego okresu. Trochę też o warsztacie dziadka, o Polsce, którą wywalczyli, o złych czasach i nadziejach na przyszłość - słowem o wszystkim. Ziemiański był rolnikiem, dorabiał budując domy lub je remontując - w wojsku austriackim dorobił się stopnia cukuśfurera. Wszystkie jego dzieci czytały i pisały, pochodził z rzeszowskiego. Na parcelacje przyjechał najprawdopodobniej w pierwszych latach XX wieku. Był to okres, w którym właściciele ziemscy sprzedawali część swoich majątków, chłopom polskim chętniej a chłopom ukraińskim mniej chętnie - tak, że przy tej okazji powstawały wsie z napływową polską ludnością. Łukowiec nie był wsią całkowicie nową - dzielił się na dwie wsie; jedna to Łukowiec Wiśniowski powstały gdzieś w połowie XIX wieku a druga to Łukowiec Żurowski powstały w pierwszych latach XX wieku. - Wiem, że osiedlana tu ludność pochodziła z okolic Mielca, Stalowej Woli, Wilczej Woli, Kolbuszowej, Dębicy, Tarnowa, a pojedyncze rodziny nawet z lubelskiego i krakowskiego - Ziemiańscy byli jedną z takich właśnie rodzin.

Wujek Żuk kazał dziadkowi iść do kuchni porozmawiać z Marysią. Wyobrażam sobie, że rozmowa ta nie kleiła się zbyt - tym bardziej, że później wiedzieliśmy, że babci podobał się chłopak po sąsiedzku. Musiała więc próbować zmyć dziadka. Jednak tam, gdzie nie jest łatwo, rodzi się nieraz coś na przekór i urodziło się. Dziadek jeszcze parę razy przyjeżdżał do Ziemiańskich na Łukowiec z prezentami, a gdy się oświadczył, Marysia powiedziała - tak. Wiemy, że wcześniej popłakiwała - może szukała ratunku u sióstr czy matki czy jeszcze gdzie indziej - ale dobry ożenek się jej kroił, a słowa ojca: „Panią se będziesz” - były wyrazem jego woli i tego, co stać się powinno. Żona Ziemiańskiego widziała w nim dobrego chłopaka - jeno to nazwisko - nawet wymówić nie można: - Wymówisz! wymówisz! - odpowiadał pradziadek Ziemiański - „Polak jest z Legionów - szkoda gadać - lepszego tu jej nie znajdziemy - Ja byłem w armii austriackiej, a on w naszych Legionach”. - słowem kłamka zapadła.

Ślub odbył się w 1924 roku w miesiącu kwietniu na Łukowcu. Przez jakiś czas babcia mieszkała z dziadkiem w Chodorowie - jednak bardzo krótko. Woląca wieść, oboje, przestrzeń i dziadek na to przystał. Ugodził więc z teściem, że ten odsprzeda mu dom na Łukowcu, a sam wybuduje sobie drugi na kolonii Wandolina koło Łukowca - Już w 1926 roku dziadek mieszkał tylko z żoną i córeczką.

Drugie wydarzenie związane było także z wujkiem Żukiem, który miał jakieś rozeznanie, co dzieje się w Stanisławowie i dał znać dziadkowi że jest nabór do policji, i że ma szansę. -

Więc zaryzykował - zgłosił się do Wojewódzkiej Komendy w Stanisławowie znajdującej się na ulicy Kamińskiego z papierami i został przyjęty. Był to wielki sukces. Miał pracę, zakwaterowanie i mundur, o czym mógł więcej marzyć. Służbę rozpoczął w maju 1925 roku. Przez pierwszy okres pracy w policji był dziadek kierownikiem zakładu produkującego buty dla policjantów, a później już z całą pewnością pracował jako posterunkowy.

Praca, szkolenia, koledzy, dobra atmosfera udzieliły się dziadkowi szybko. Stopień wojskowy został zaliczony do służby policyjnej, a pół darmowe jedzenie i dobra pensja spowodowały, że szybko zaczął mieć pieniądze oraz związane z tym perspektywy. Dziadek nigdy nie narzekał na policję i kolegów - tam zawsze wszystko było w porządku. Na dodatek jeszcze w ramach zasług legionowych otrzymał po pewnym czasie propozycję pracy w „dwójce” (kontrwywiad). Było to wyróżnienie i oznaka zaufania władzy do człowieka. Praca ta była objęta ścisłą tajemnicą i nikt z rodziny o niej nie wiedział. Kiedy dziadek mówił mi kilka razy o pracy w dwójce, ja nie załapałem i myślałem, że jest to formacja zbliżona do naszego peerelowskiego ORMÓ. Nie mam więc zupełnie informacji na ten temat. Myślę jednak, że były to zadania na miarę jego możliwości.

O pracy policyjnej dziadka wiedzieliśmy nieco więcej. Gdy dziadek ją wspominał, mówił o bardzo wielu rzeczach: o pewnym zakresie spraw gospodarczych, zeznawaniu w sądach, gdy była taka potrzeba, o pracy w charakterze tajniaka, a także o ochronie wojewody w czasie jego podróży służbowych i o dużej ilości wyjazdów.

Jedną z takich informacji przekazał mi mówiąc, że któregoś dnia zeznawał w sądzie przeciwko jakiemuś obywatelowi - był jeszcze stosunkowo mało doświadczonym policjantem - powtarzał co chwila - podejrzany zrobił to... podejrzany to - W końcu ta ilość wypowiedzianych wielokrotnie słów „podejrzany” zdenerwowała prowadzącego sprawą sędziego i w złości krzyknął do dziadka: „A Wy to tak możecie podejrzewać każdego!” - Dziadek zbaraniał - sędzia jeszcze raz powtórzył pytanie - Czy możecie podejrzewać wszystkich nawet mnie? - Dziadek poczuł kopnięcie siedzącego z tyłu za nim kolegi - Tak... tak wycedzone przez zęby - więc powiedział „tak” - będąc całkowicie niepewnym tego co mówi. - Prowadzący sprawę, znakomity przedwojenny sędzia Cysarz - wałnął pięścią w stół odpowiedź dziadka była bardzo dobra - ale tylko go zdenerwowała. Innym znów razem mówił dziadek, że musiał zaaresztować jakiegoś wichrzciciela w Stanisławowie. Dlaczego pojechał po niego sam? - nie wiem, być może chodziło o to, by delikwent zgłosił się na komendę w celu przesłuchania - jednakże dziadek mówił o aresztowaniu tego człowieka. - Gdy dzieci otworzyły mu drzwi, wszedł do środka i zapytał o ojca. Najstarsze wyjaśniło, że tatuś poszedł szukać pracy. Nie było wątpliwości, że dziecko nie kłamie. - A mama? - zapytał. Mama też poszła szukać pracy - odparło dziecko.

- Dziadek popatrzył na całą trójkę: chude, brudne, głodne w domu bieda, niewiele myśląc, wyciągnął jakąś złotówkę, może dwa i powiedział do najstarszej dziewczynki. - Masz tu pieniążki i kup coś do jedzenia - dwa mleka i dwa chleby - dodał, a ja tu coś tatusiowi napiszę. Wyciągnął protokół i napisał, że aresztowanie jest niewskazane ze względu na sytuację rodzinną. Kopię protokołu zostawił „podejrzanemu” na szafie. Gdy dziecko przyniosło chleby i mleko, wyciągnął garnuszki z szafy i nóż - rozlał jedno mleko, pokroił jeden chleb w pajdy i przez chwilę patrzył na jedzące dzieci - potem wyszedł.

Po kilku latach pracy w policji miał dziadek dziwne zdarzenie. W Stanisławowie wybuchły zamieszki o podłożu społecznym, dotyczyły podwyżek płac, warunków pracy, zatrudnienia itp. Komenda policji część ludzi wydelegowała na ulice w celu obserwacji. - Dziadek był wśród tych osób. Najpierw chodził razem z kolegą, a gdy ten się urwał, łaził po mieście sam.

- W pewnym momencie znalazł się w środku rozkrzyczanego tłumu - ktoś go rozpoznał. To młkapuś, usłyszał za sobą...przed sobą... z boku szturchniecie... wrzaski - to wtyka. Kilkanaście osób otoczyło dziadka - byli wściekli i gotowi zatłuc go na śmierć. Dziadek wiedział, że wyciągnięcie broni nic nie da - był bez szans - mógł liczyć tylko na cud lub na to, że może tylko skopią go i zmaltretują, ale nie zabiją. I cud się stał. - Nagle zobaczył głowę 30-35 letniego mężczyzny, który głośno i wyraźnie powiedział: - Ja tego pana znam - zostawcie go... zostawcie - bo ze mną będziecie mieli do czynienia! - Tłum stał się mniej agresywny, krzyki ustały... słyszał jakieś słowa ...skoro szef go zna... ale to tajniak...nie mamy co tu robić... tłum zaczął się rozrzedzać, a po chwili dziadek został na ulicy sam. - Całe życie zastanawiał się, komu zawdzięczał ten cud i jedną widział tylko odpowiedź - te oczy... ta twarz... coś mu mówiło, że był to ojciec tych dzieci, które nakarmił kilka lat wcześniej.

Inne jeszcze zdarzenie, ale zgoła już śmieszne, opowiadał dziadek. Pewnego dnia, będąc w ochronie wojewody, pojechali na jakąś wizytę do starostwa. - Starosta był człowiekiem sędziwym, pomylił ochronę, która szła przed swiętą wojewodę i do dziadka ubranego porządnie, ale po cywilnemu skierował słowa: „Serdecznie witam pana panie Wojewodo” - To nie ja - odparł dziadek bez namysłu - to ten pan z tyłu za mną... - Wojewoda, który szedł trzy czy cztery metry za dziadkiem i słyszał powitanie... nie dał po sobie poznać... a starosta już się drugi raz nie pomylił.

Praca dziadka w policji nie była nudna. Jak już pisałem, dziadek miał dość szeroki repertuar zadań, do tego też dochodziły szkolenia, wyjazdy, ale także gra w brydża i szachy, Tę ostatnią grę dziadek całe życie uwielbiał. Lepiej od niego grała w rodzinie tylko jego rodzona siostra Henryka Wierzbicka. - No, Rubinsteinem z pewnością dziadek nie był, ale w policji w Stanisławowie brylował - należał do najlepszych. Gdy kiedyś grali jakiś turniej policyjny, do finału doszedł dziadek i jeszcze jakiś jego znajomy policjant. - Pierwszą nagrodą był zegarek a drugą 100 zł. Ponieważ dziadek zegarek miał, zdecydował się partię przegrać, poza tym uważał, że ten zegarek też wart jest najwyżej 100 zł. Partner grał jakoś równie kiepsko. Zdecydował się na wymianę wieży za pionka, zbił pionka, za sobą usłyszał syk sędziego. Partner wieży nie bije, jeszcze bardziej głupia sytuacja. - Partner poprosił o przerwę. Wyszli, - Ile Antoś dla ciebie jest wart ten zegarek? - zapytał. Dziadek odparł spokojnie „No 60 zł”. - Dobrze - mówi partner - ja wygram, a ty mi dasz 20 zł. - Zgadzasz się? Zgoda - odrzekł dziadek i na tym ustaleniu technicznym zakończył się turniej policyjny w Stanisławowie.

Poważny incydent miał miejsce w policji stanisławowskiej, gdy jeden z dziadka kolegów, nawiasem mówiąc pochodzący z poznańskiego, przesłuchiwał jakiegoś studenta ukraińskiego. Chłopak mówił po ukraińsku, policjant proponował mu, żeby mówił po polsku, gdyż on nie pochodzi z tych stron i nie zna ukraińskiego. Chłopak mówi, że konstytucja mu gwarantuje możliwość wypowiadania się w swoim ojczystym języku. - Ja wiem, odrzekł zdenerwowany policjant, ale zrozum, mieszkam tu dopiero półtora roku i nie znam jeszcze waszego języka! Chłopak dalej swoje - w końcu policjant nie wytrzymał i wałnął go w twarz. - Sprawa oparła się aż o posłów ukraińskich i policjanta musieli zwolnić.

Należy tu jeszcze zaznaczyć, że z warsztatu szewskiego w Chodowowie dziadek zrezygnował. Po podjęciu pracy w policji scedował opiekę nad nim swojemu szwagrowi Wierzbickiemu, a gdy zakład znowu zaczął przynosić straty, zlikwidował go. Część maszyn sprzedał, a część zawiózł na Łukowiec do swojego domu.

Dziadek był w stosunkowo dobrej sytuacji, miał pieniądze, zarabiał 150 do 200 złotych miesięcznie - za jedną pensję mógł kupić 2 krowy - dostawał jeszcze pieniądze na ubranie, raz na rok 200 zł., diety, delegacje oraz co miesiąc na agentów. Kiedyś zapytałem - jak to na agentów? Odparł - no, na donosicieli było co miesiąc 50 czy 60 złotych i te pieniądze dawało się swoim informatorom - według uznania. Gdy zostawały, mogłeś zatrzymać je dla siebie lub dać w następnym miesiącu. Praktycznie policjantom zawsze coś z tych pieniędzy zostawało.

Kiedyś, opowiadał dziadek, służbowo pojechał do Kołomyi. Zatrzymał się w hotelu czy lokalu, w każdym bądź razie zjadł potężny obiad z kotletem schabowym na pół talerza i gdy zapytał o rachunek - odpowiedź była; 1 zł 50 gr - co wydawało się dziadkowi kwotą bardzo małą i jeszcze to pytanie - Czy Pan „zostaną” u nas na kolację? - Odpowiedź dziadka - tak zostanę! - i pełne zadowolenie i z ceny i z sytuacji.

W tym czasie dziadek zaczął się dokształcać w zakresie wiedzy handlowej. Do szkoły skierowała go policja, gdyż jednym z jego zadań było sprawdzanie narzutów handlowych na towary, które to narzuty nie mogły, jak twierdził, przekraczać 25%. Powyżej była już lichwa czyli przestępstwo. - Dziadek mówił, że gdy z początku zaczął handlowców (przeważnie Żydów) sprawdzać, to się tylko z niego śmiali. - Po ukończeniu szkoły - gdy już wiedział, jak się za te kontrole zabrać i poznał różne kruczki, które kupcy stosowali ... to w pas mu się kłaniali, gdy do nich przychodził.

Rozdział V

WIEŚ ŁUKOWIEC

Drugą po Górze Ropczyckiej drugą rodzinną wsią dziadka był Łukowiec. Były to właściwie dwie wsie: Łukowiec zwany Żurowskim albo też Nowym, położony bliżej Żurowa i Łukowiec Wiszniowski zwany na odmianę Starym - bliżej Wiszniowa. Razem wioski liczyły grubo ponad 2 tysiące mieszkańców a przed samą wojną liczba osób zamieszkających zwiększyła się do 3 tysięcy. (Ponieważ ludność Łukowców na określenie swoich wsi używała zamiennie nazw „Łukowiec” lub „Łukowce” a nawet „oba Łukowce” więc i ja dostosowuję się do tego nazewnictwa) Ludność w 98% była polska z sześcioma rodzinami żydowskimi, z których prawie każda posiadała sklep lub sklepik a jedna czy dwie rodziny także gospodarstwa rolne. Na wsi mieszkała również jedna rodzina niemiecka Jungów - bezdzietna. Jungowie zmarli przed wojną przyjmując na kilka lat przed śmiercią wiarę katolicką. Gospodarstwo rolne pozostawili polskiej rodzinie. Wieś położona była na linii Lwów - Stanisławów, należała do województwa stanisławowskiego, choć do Lwowa było dwa kilometry bliżej. Okoliczne wsie były ukraińskie lub z ludnością mieszaną ukraińsko-polską z przewagą jednak zdecydowaną żywiołu ukraińskiego.

Najwyższą wartość na wsi stanowiła ziemia, jej ilość świadczyła o bogactwie gospodarza. Kto miał morgi, ten był bogaty, kto ich nie miał, klepał biedę. Ziemia była podstawą dobrobytu i decydowała o tym, co w domu było i ile się tego się miało.

Było coś w tym powietrzu i w tej ziemi radosnego, szczęśliwego, ludziom po prostu chciało się żyć. Łukowiec chociaż drewniany, miał swój urok, zabudowa rzadka - sprawiała wrażenie pewnej symetrii - Nigdy nie słyszałem niczego złego o tej wsi - a błysk w oczach na samo słowo „Łukowiec” świadczy o tym, że ludzie czuli się tam naprawdę szczęśliwi. - Czy była bieda? Oczywiście, w niejednym domu. Społeczność Łukowca dzieliła się na bogatszą, średnio sytuowaną i biedniejszą. Ci pierwsi mieli po 15-20 mórg a często i więcej, a ci najbiedniejsi po dwie, trzy. Choć ziemia była na ogół bardzo urodzajna, przecież miejscami był i piach, jak się miało 2-3 morgi piachu było kiepsko. Spora część gospodarzy posiadała też po kilka mórg lasu. Byli również tacy, którzy mieli emerytury czy renty wojenne, te zawsze ułatwiały życie, gdyż renta nawet 40-50 zł - to na wsi było już coś. Do obu Łukowców należały też trzy kilkudziesięciohektarowe wspólne pastwiska na których, każdy mógł wypasać krowy. Pewna grupa łukowian pracowała w alabastrowni księcia Czartoryskiego, czy sezonowo w cukrowni w Chodorowie lub w majątkach u właścicieli ziemskich albo przy wyrębie i sprzedaży drzewa. Najwięcej biednych rodzin mieszkało na tak zwanym Bidaczowie - części wsi, do których przynależały najślabsze grunty. Bardzo dobrzy gospodarze mieli po kilka krow, konia lub nawet dwa, najbiedniejsi mieli jedną krowę a pracę konia na swoim polu musieli odrabiać. Do najbardziej majątnych rodzin na Łukowcu co wiązało się także z pewnym prestiżem należeli Jarosze, Maciści, Kuchty, Dydyńscy, Stępnio, Janusze, Kuren, Starkiewicz, Watras, Chmielowiec, Kryciński, Bale, Barany, Rębisze i wiele innych rodzin. Byli również i tacy, którzy wyjeżdżali za pracą do Ameryki czy na zachód Europy, a po powrocie dokupywali ziemi, budowali domy lub spłacali rodzeństwo, zajmując gospodarstwa po rodzicach. Na wsi stale coś się działo a to Górakowa poszła w pole do ziemniaków i przyniosła w podomce dwóch bliźniaków, a to Karol Burdzy spadł z drzewa tak nieszczęśliwie, że dopiero po kilku godzinach bezprzytomności wzbudził go sprowadzony z Chodorowa doktor Ashenazy, to znowu Małkowicz wyjeżdżali do Ameryki a Ozga do Argentyny, słowem samo życie. Były wtedy inne relacje międzyludzkie, rozwarstwienie nie tylko spowodowane było majątkiem, ale także i wiekiem i wykształceniem. Pewna bariera dorosłości wiązała się z ukończeniem służby wojskowej. Opinia o rodzinie kształtowała się latami - wzorce postępowania uznane za dobre były niezachwiane. Dzieci np. nie miały prawa przebywać w pomieszczeniach, gdzie rozmawiają dorośli. Na zabawy wiejskie młodzież mogła tylko patrzeć przez okna. Jeżeli nawet ich wpuszczono do sali na zatańczenie dwóch

czy trzech kawałków, kończyło się to usuwaniem młokosów, a dwaj starsi stojący przy drzwiach lali pasami każdego wyrzucanego aby im pamiątkę po zabawie zostawić.

Na Łukowcu wytworzyła się specyficzna kultura o charakterze endemicznym, nigdzie indziej nie występująca. Wszyscy wiedzieli, o co chodzi, gdy się używało określonych słów, zdań czy porównań, na przykład „Wrzeszczysz jak pies w cebulowej studni” lub „Silny jak Targosz.” albo „Wyglądasz jak stary K...”

Z powiedzeniem „Wrzeszczysz jak pies w cebulowej studni” łączyło się takie oto zdarzenie: - Na łące za Cebulą była studnia kilkumetrowa, wyschnięta, przykryta deskami i starymi drzwiami, aby nikt tam nie mógł wpaść. - Wpadł tam jednak którejś nocy pies - nic sobie nie zrobił, ale przerażony zaczął szczekać wołając o pomoc. Ujadanie niesione jakimś echem ze studni zanosilo się na pół wsi. - Rano poszli tam chłopcy zobaczyć, co się dzieje i gdy ujrzeli psa, powiązali drabiny i wyciągnęli nieszczęśnika na powierzchnię, zresztą całego i zdrowego. Przysłowie jednak pozostało - do dzisiaj wśród najstarszych Łukowian każdy wie, o co chodzi, gdy mówi się - wrzeszczysz jak ten pies w cebulowej studni.

Z Targoszem było tak; gdy wioził kiedyś drzewo z lasu wozem, a miał dwa małe konie tarpany, wpakował się w kałużę i konie stanęły. Z przeciwka nadjeżdżali jacyś znajomi i zaczęli się śmiać z sytuacji. Targosz coś im tam odpowiedział - w końcu stanął zakład, że sam ten wóz z tej kałuży z tym drewnem wyciągnie. Zlazł z wozu, konie wyprzągł i jakoś wóz wypchał, a że był naprawdę bardzo silnym człowiekiem, porównanie utwierdziło się w społeczności Łukowian. Trzecie przysłowie wynikało z tego, że facet chodził zawsze umorusany, więc tak to... i powiedzenie do niego przyszło. Łukowianie posługiwali się językiem identycznym jak ludność okolic Sandomierza, Rzeszowa, Tarnowa, Dębicy, Kolbuszowej - skąd pochodziła większość mieszkańców.

Pierwszy rower na wsi był podobno u Rębisza, drugim jeździli trzej bracia Szoty - najlepszy zespół muzyczny na wsi, a trzeci należał do mojego ojca. Pierwszy motor zakupił Rębisz, który przez jakiś czas przebywał w Stanach Zjednoczonych - gdy nim jechał przez wieś młodzi potrafili nawet wychodzić z kościoła, aby na to zjawisko popatrzeć. W latach trzydziestych na wsi były dwa czy trzy radia skałkowe, w tym jedno w „domu kasowym” a drugie u dziadka w sklepie. Także rodzina Krycińskich posiadała aparat fotograficzny. W pewnym sensie wieś była samowystarczalna: pieczono chleb na szeroka skalę, wyrabiano płótno z lnu, budowano domy, wyrabiano meble, a jeden z łukowian (Marcin Majdański) specjalizował się nawet w przewidywaniu pogody, pomagając sobie nie tylko przypowiadkami ludowymi, ale głównie obserwacją przyrody i powtarzających się zjawisk atmosferycznych.

Dziadek tymczasem grodził się, dokupywał ziemię, dosadzał drzewka owocowe, szczepy winogron przywiózł aż z Rumunii, starał się wzmocnić gospodarstwo. Najpierw wykupił ziemię od teściów, później nabył grunt od Jana Jadacha o nazwie „kółko” a jeszcze później zaczął dokupywać łąki. Ogrodzenia, płoty, bramki robili mu krewni jego żony Janusze Jan Janusz z synem Wojciechem. W rozliczeniu były buty golfy, które wyglądały tak efektowne, że jak sami Janusze mówili, czuli się w nich w kościele jak szlachta.

Dojazdy na Łukowiec sprawiały dziadkowi sporo kłopotów, w końcu do Stanisławowa było około 70 km. Dziadek przyjeżdżał w sobotę wieczorem pociągiem do stacji Żurawno- Nowosielce i stamtąd piechotą przychodził na Łukowiec, wyjeżdżał z kolei w niedzielę wieczorem.

Wracając któregoś dnia na Łukowiec bardzo późną nocą, wlaź na zastawioną na drodze pułapkę w postaci drutu kolczastego rozciągniętego w poprzek drogi i rozdarł spodnie - drut przegradzał drogę podwójnie w ten sposób, że z jednej strony był owinięty o drzewo a z drugiej dowiązany do płotu. Dziadek myślał, że to jakiś śmieć, więc szarpnął nogą i nie dość, że spodnie rozdarł, to jeszcze się skaleczył i na dodatek trafił na drugi drut, który na szczęście zrobił mu już mniejszą szkodę. Był wściekły, poczuł na nodze sączącą się krew - oczywiście nie można było mówić o jakiejś wielkiej ranie, raczej o skaleczeniu - tym niemniej spodnie

były rozdarte a dziadek rozdrażniony całkowicie. Uszedł z 50 metrów i nagle na rowie zobaczył cień siedzącego tyłem do niego człowieka. Skoczył jak żbik. Teczkę, którą miał w ręce, upuścił i dobiegłszy do delikwenta zaczął go walić pięściami gdzie popadło. Człowiek był tak zaskoczony atakiem, że tylko jęczał pod dziadkowymi ciosami, w końcu jakoś się zebrał w sobie i dalej... w nogi. Dziadek zawrócił po teczkę i gdy ją w ciemności namacał, ruszył do domu. Już po drodze zaświtało mu, że właściwie pobił człowieka być może Bogu ducha winnego... gdy to opowiadał później - mówił - ale mu wkropiłem i to nie bardzo jeszcze wiem czy słusznie.

Pewnego razu dziadek dogadał się z jednym z Żydów łukowieckich, że pomoże on żonie sprzedać krowę. - Faktorne ustalili i wydawało się, że sprawa będzie załatwiona jak należy. Tymczasem, podczas prowadzenia krowy na targowisko doszło pomiędzy babcią a Żydem do sprzeczki... ten się wściekł i gdy babcia przyprowadziła krowę na targ poleciał pomiędzy swoich... było... szu ...szu... szuuuu i krowa poszła - ale za połowę ceny. Gdy dziadek przyjechał w sobotę do domu na pytanie jak tam krowa? - Babcia w płacz... - No nie, tego to już było za wiele. - Dziadek nie wytrzymał - przeszedł samego siebie. Pierwsze rozmowy w sprawie wybudowania konkurencyjnego dla Żyda sklepu przeprowadził z teściem, później z siostrą i w konsekwencji postanowił, że go wybuduje. Po dwóch latach naprzeciwko budynku Kasy Stefczyka, niedaleko sklepu Żyda stanął największy na Łukowcu podmurowany katolicki sklep towarów mieszanych Zofii Ziemiańskiej, ze względu na pracę w policji sklep nie mógł figurować na nazwisko dziadka. Uzgodnił więc z teściem, że będzie zarejestrowany na nazwisko teściowej. Policja miała w tym okresie rozmaite obostrzenia, tak zresztą jak i wojsko - nie można było np. policjantowi a tym bardziej oficerowi wejść na piwo do speluny. Także nie można było łączyć stanowiska policjant z handlowcem, po prostu były takie zasady. Sklep spełnił oczekiwania w stosunku do Żyda, który padł całkowicie. Dziadek nie okazał się jednak człowiekiem konsekwentnym. Żyda zrobiło mu się żal i w końcu zaczął go zatrudniać przy pracach związanych z zaopatrywaniem sklepu. Najbardziej ciekawą opinie o sklepie wydała moja mama twierdząc, że nie było to nic dobrego - po prostu utopione pieniądze. Może jeszcze jakaś wygoda dla ludzi, bo można było w sklepie kupić prawie wszystko; od artykułów spożywczych po odzież, mydło, skóry i alkohol, można też było sprzedać jaja, masło, ser - kupić towar na książkę. Żydzi przyjeżdżali i to wszystko zabierali, ale sklep był dwa razy okradziony - wujek Wierzbicki, który w nim mieszkał, i który go prowadził, pił na umór a Żyd, który wszedł w dziadka łaski, nie rozliczał się uczciwie. Ludzie brali towar na krechę i nie mieli czym zapłacić. Dziadek miał nieco lepsze zdanie o sklepie. Jednak już na początku zakupił za dużo skór - myślał, że to zejdzie a tu jak na złość zaczęły one zalegać. Gdyby nie znajomi Żydzi, byłby z nimi kłopot. Przyjechali z Chodorowa, przez pół dnia siedzieli w sklepie, gadali - wprost obradowali nad tymi skórami, aż w końcu zabrali je wszystkie, dając dziadkowi cenę, która go satysfakcjonowała.

Chodził w tym czasie za dziadkiem pewien chłop z Łukowca i proponował mu sprzedaż lasku dębowego gdzieś za wsią, dziadek ani myślał go kupować - chłop jednak łąził i stale powtarzał - Panie Antoni, taż to ładna dębina - zobaczy pan - nie stracisz pan. - To znowu - Nie chcę za tę dębinę aż tak dużo. Kup pan, bo warto!. - Po co mam komuś innemu sprzedawać! - Wiedział, że dziadek ma jakieś tam pieniądze, więc sobie jego upatrzył i tak ciągle jęczał i prosił. W końcu dziadek rzekł któregoś dnia - niech będzie, kupię tę dębinę! -Za trzy tygodnie u rejenta w Bursztynie podpisali umowę. Nie minął nawet miesiąc. Po południu w niedzielę przyjeżdżają bryczką pod dom dziadka Żydzi. Wysiada trzech, a dziadek zastanawia się, czego u licha oni chcą - żadnego z nich nie zna, porządnie ubrani, rozglądają się, wchodzą na podwórze i jeden pyta - Czy Pan Faszynkieder? -Tak... odpowiada dziadek. - Czym mogę służyć? - Aj! Panie Faszynkieder - my tu do pana w interesach! - Dziadek pyta...Żydzi spokojnie. - W końcu jeden rzeknie: - Pan wie! - Pan nas podkupił! - Dziadek zdziwiony. - Ja nie mam pojęcia...nie wiem, o co chodzi.? ... No, wie pan, wie! - ta dębina! - Ile by pan za nią chciał? - Tamtędy będzie przechodziła bocznicą kolejowa! - Więc sprzedał dziadek dębinę za ponad dwa razy tyle, za ile ją kupił.

Zdarzenie, które wstrząsnęło całą społecznością wsi i to na wiele lat, miało miejsce pod koniec lat dwudziestych. Otóż obok siebie mieszkali Polak, młynarz Żurawiecki i Żyd Kraushar. Oni ciągle o coś się żarli - gdy kura jednego wlała na teren należący do drugiego, ginęła bez śladu, to samo było z kaczkami, gęśmi, wystającymi gałęziami drzew - słowem robili sobie na złość, gdzie kto mógł i jak kto mógł.. Pewnego razu Polak zobaczył sterczący na jego stronę dyszel wozu sąsiada - bez namysłu uciął część, która wystawała na jego teren. Żyd nie wytrzymał, chwycił za siekierę, pobiegł do Polaka i zabił go jednym uderzeniem w głowę. Dostał pięć lat - po czterech wyszedł - kwalifikacja zabójstwa na „popelnione w afekcie” uchroniła go przed wyższym wyrokiem. Po zabójstwie we wsi zawrzało. Ludzie byli wściekli, jednak rozsadek wziął górę i obyło się bez ekscesów przeciwko Żydom.

Polityka dziadka w stosunku do własnych dzieci była następująca: najstarsza córka Jadwiga miała się kształcić, dla niej przeznaczony był sklep. Druga córka Janka miała zostać na gospodarce. Syn Ryszard miał się edukować w szkole wojskowej. Plany te oczywiście wzięły w łeb na skutek wybuchu wojny ale takie były i były nawet częściowo realizowane. Najstarsza córka zaczęła w 1938 r. uczęszczać do gimnazjum handlowego w Stanisławowie a była to szkoła elitarna z wysokim czesnym. Do szkoły tej uczęszczały Polki, Żydówki i spora grupa Niemek.

Jeżeli chodzi o relacje polsko-żydowskie, trzeba przyznać, że na Łukowcu układały się one nie najgorzej. - Może za wyjątkiem zabójstwa młynarza. Inne sprawy były drobne - pomimo pewnych zgrzytów czy niechęci nikt się nie nienawidził. Były nieporozumienia, jakieś złośliwe kawały, ale nie nienawiść - Jedno z takich zdarzeń opowiedziała mi kiedyś mama, mówiąc, że gdy w Wielkanoc szli wszyscy do kościoła, Żyd rąbał przed domem drzewo, pomimo, że już mu ktoś wcześniej zwrócił uwagę, że to przecież Wielkanoc - nie reagował. Gdy idący do kościoła dziadek zauważył rąbiącego drzewo Żyda - kazał nam poczekać na siebie na drodze, a sam poszedł na podwórze. Podszedł do pniaka i stanął przed rąbiącym drzewo Żydem, który nie patrząc nawet na dziadka rąbał je dalej. Dziadek ni słowem się nie odezwał, tylko lekko nogę do przodu wysunął i, jak mówiła mama, ruszał tą nogą... Po chwili Żyd przestał rąbać- odrzucił siekierę i coś dziadkowi mówił - dziadek odwrócił się - wyszedł za furtkę i poszedł z rodziną do kościoła. - Gdy mama zapytała, co mówił Żyd - dziadek odparł, że były to słowa przeprosin.

Jeśli chodzi o złośliwe kawały, to takie też były. Kilku młodych chłopców rozebranych do majtek zamknęło Żyda w drewnianej ubikacji od zewnątrz, do której wszedł za swoją potrzebą. Następnie wyciągnęli ubikację z wbitymi czterema palami konstrukcyjnymi. Razem z Żydem zanieśli ją nad staw i pozostawili w wodzie na głębokości 1 metra. Ubikacja stała tam na palach całą noc, dopiero gdy Żydówka na drugi dzień zaczęła szukać męża, ktoś jej podpowiedział - „O, tam jest na stawie” - i dopiero wtedy dano mu pomoc... Nie ma co ukrywać, że były też akcje antyżydowskie skierowane przeciwko ich aktywności handlowej Nie kupuj u Żyda! - Żydzi to strupy na ciele narodu polskiego...Parchy...Na Madagaskar... itp. Pogłoską, że noworodkom żydowskim po urodzeniu przemywa się czy chrześcijańską krwią, żeby mogły przejrzeć, straszono dzieci. W narodzie było coś antyżydowskiego, jestem jednak daleki od tego, aby uważać, że Polacy Żydów tylko nienawidzili. Nasz stosunek do Rosjan, Ukraińców a nawet Niemców nie był wcale lepszy... Z tym, że Ukraińcy strzelali do ministrów - Żydzi nie. Chciałbym jeszcze dodać, że byli i tacy, którzy uważali, że z Żydami lepiej się handluje niż z Polakami gdyż są elastyczniejsi, zawsze coś się u nich utarguje, zawsze coś dadzą, choćby cukierka dziecku na zachętę do dalszych kontaktów. - Olbrzymia ilość kawałów o Żydach świadczy o tym, że społeczeństwo miało do nich określony stosunek, ale czy kawały są wyrazem nienawiści?

Stosunki społeczne w Polsce w okresie międzywojennym były bardzo skomplikowane. Na Łukowcu nieco prostsze, gdyż wieś stanowiła (o czym już wspominałem) jednorodną pod względem narodowościowym środowisko. Jeżeli chodzi o podział ze względu na sytuację materialną, to można powiedzieć, że na wsi taki podział był. Okoliczne ziemianstwo to była już w stosunku do chłopów przepaść. Choć ludność Łukowca wiedziała, że ma pewne względy u okolicznych ziemian z powodu czysto polskiego charakteru wsi. Jednak o zażyłych

stosunkach nie było mowy. Co prawda ziemianin Kowalewski przyjeżdżał ffordem co niedzielę do kościoła katolickiego na Łukowcu z rodziną na Mszę Św. a księżę Czartoryski gdy polując, zapuścił się w pola Turbaka - przeproszał osobiście na drugi lub trzeci dzień gospodarza. Raz nawet przy okazji wyrównywania strat wszedł z flaszką do domu Turbaka, co już było wyjątkowym zaszczytem. Ziemiaństwo to nie była nawet drobna szlachta, której na Kresach znajdowało się stosunkowo dużo. To była elita elit. Ludzie dzielili się też i ze względu na narodowość. Na pewno Ukraińcy pod względem materialnym w Galicji odstawali nieco od Polaków i Żydów, gdyż ziemiaństwo na ogół było polskie, w sporym stopniu też żydowskie, zdarzało się i niemieckiego pochodzenia, a już wyjątkowo rzadko ukraińskie. Prosty lud to byli przede wszystkim Ukraińcy, ale też Polacy i Żydzi. Ci ostatni, osiedleni głównie w miastach, gdzie stanowili stosunkowo duży odsetek ludności (30-35% całej ludności miast w Polsce). Mówiono o nich nawet, że są biedniejsi od chłopów polskich i ukraińskich. Stali przed swoimi sklepikami, w których był czasem tylko jeden rodzaj towaru, jakieś przysłowiowe już mydło czy powidło lub sznurówki czy czapki i nic więcej. Jedli cebulę, czosnek, najtańsze warzywa. Wyglądali fatalnie. Były utarte opinie, że wszyscy Żydzi to bogacze, kamienicznicy, handlowcy, ale w gruncie rzeczy było to nieprawdą. Mieli na pewno opanowany handel, nie jednak, jak się mówiło w 100%, raczej w 70%. Także wielu Żydów było lekarzami, aptekarzami i prawnikami, ale także i tu Polacy stanowili spory odsetek, Ukraińcy wykonywali już te zawody bardzo rzadko. Dużo prawdy jest też w stwierdzeniu, że i Ukraińcy mieli swoje atuty, potrafili bardzo dobrze zrzeszać się w kooperative i nieźle w tych wspólnotach gospodarzyli, nawet wcześniej niż polscy chłopci wprowadzali niektóre maszyny rolnicze do użytkowania, (pługi metalowe, konne snopowiązałki do zboża). Biorąc pod uwagę wszystkie duże grupy etniczne w Polsce, najbiedniejsi z całą pewnością byli Białorusini, przeważnie rolnicy, zaś najsilniejszą nacją byli nie Żydzi, lecz Niemcy, którzy na Śląsku w Wielkopolsce i na Pomorzu stanowili duży odsetek ludności - od kilkunastu procent w poznańskim i na Pomorzu do blisko 30% na Śląsku. Chłopi niemieccy byli na ogół bogatsi od chłopów polskich i to nie tylko w poznańskim i na Pomorzu, ale i na Wołyniu, w łódzkim i stanisławowskim, gdzie było ich już stosunkowo niewielu. Na Śląsku przemysłowcy niemieccy stanowili taką siłę, że mogli decydować nawet o gospodarce państwa, gdyż do nich należała znaczna część zakładów przemysłowych, hut i kopalń.

Rozdział VI

WOJNA

W pierwszych dniach wojny dostał dziadek rozkaz wyjazdu w okolice Tucholki, gdzie było nad granicą siedem niemieckich wsi. Istniała jakaś obawa, że tamtejsi Niemcy coś knują, a nawet mówił dziadek o możliwości wojskowego zaatakowania z tamtej strony, więc wysłano go z kilkoma jeszcze policjantami pod dowództwem porucznika Grabowskiego na zwiad. Tamtejszy komendant posterunku policji był ożeniony z Niemką i jakiś cień podejrzenia na niego rzucano. Po prostu władza mu nie ufała. Grupa otrzymała instrukcje i wyruszyli. Komendant przyjął grupę bardzo ozięble. Zakwaterowanie na komendzie, obiady miała szykować jego żona - Niby wszystko było w porządku, ale jak mówił dziadek, jakoś... coś... było nie tak. Atmosfera ciężka - zamiast współpracy lekceważenie... Brak czasu na wszystko. Drobne złośliwości, które najbardziej denerwowały... Wyplamione obrus, kubki przedpotopowe, talerze porysowane, sztucze jak z najgorszej speluny, pod głowę połatane wielokrotnie koce i w dodatku nie za czyste. - Spotkanie z sołtysami niemieckimi jeden z ważniejszych punktów operacji wypadło nieźle. - Polecenie do sołtysów przeczytał porucznik Grabowski - było tam coś o obowiązku postawienia wart, malowaniu obejść i płotów, czyszczeniu rowów. Grabowski czytał i sam się głośno temu dziwił, choć dobrze wiedział, że jest to skierowane przeciwko niemieckim sołtysom, wydawało mu się to i tak jakieś durne. Półgłosem powiedział ze dwa razy - to coś jest bez sensu. Na to najstarszy niemiecki sołtys odparł spokojnie - Panie, jak tak napisali, to tak ma być zrobione. - Oni tam też swój rozum mają, a my zrobimy, co zechcą. Reszta sołtysów poparła go bez szemrania - ustalili terminy

rozpoczęcia wart, terminy na malowanie płotów i czyszczenie rowów i na tym zebranie zakończyło się. Wyjaśnienia komendanta odnośnie nastrojów w niemieckich wioskach niby miały jakiś sens, ale on nikogo o nic nie podejrzewał, ludność spokojna, żadnych konszachtów z Niemcami nie ma.

Któregoś dnia, gdy por. Grabowski rozmawiał przez telefon z komendą wojewódzką w Stanisławowie i narzekał na wszystko, nie szczędząc wobec komendanta podejrzeń - ujrzał w drzwiach pokoju jego żonę z obiadem. Wszystko słyszała - płakała. Grabowski przerwał rozmowę... Kazał jej wejść, niczego jednak nie wyjaśniając. Od tego momentu komendant stał się jakiś inny, sympatyczniejszy, rozmowniejszy - znalazły się też czyste talerze i sztucce, wyprane obrusy, a nawet nowe czyste koce. W nocy stojący na warcie policjant zaalarmował grupę, że za lasem widział dwa strzały z rakietnicy. Nie było żartów, ostra broń i rozkaz dowódcy - wychodzimy na penetrację terenu. Wyruszyli wszyscy tyralierą. Przeszli las, w którym oddano strzały, potem przyległe pola i jeszcze jeden las ... nic. Zrobili zwrot trochę w lewo, potem trochę w prawo, dalej nic. Deszcz zaczynał padać, jeszcze przeszli skrajem lasu, bez rezultatu. Dziadek myślał, że to może były jakieś spadające gwiazdy albo może mu się przewidziało. Zziębnięci i przemoczeni wrócili do Tucholki i tu natrafili na jakiegoś człowieka. Zrewidowali go natychmiast nic, więc zabrali na komendę. Może coś ma z tymi racami wspólnego - trzeba go przesłuchać. Dowodzący grupą porucznik Grabowski zarządził: - „Od razu dwóch go przesłuchuje, a reszta idzie się przebierać w suche ciuchy”. Gdy po paru minutach weszli do pokoju przebrani już w suchą odzież, usłyszeli skargę na delikwenta - „Cały czas coś kręci... Nie można go zrozumieć” - Grabowski poprosił dziadka na bok - Antoni, masz doświadczenie, co z nim robimy? - Mogę z nim pogadać? - zapytał dziadek - Tak... Tak... Rób jak uważasz! - odrzekł porucznik - Dziadek podszedł do stołu, wałnął pięścią i krzyczy Odpowiadaj sukinbracie, odpowiadaj krótko i tylko prawdę, raz skłamię i zabierzemy cię do Stanisławowa, skąd szybko do domu nie wrócisz. - Chłopak przybladł, a dziadek pyta.: - Nazwisko, wiek, miejsce zamieszkania, narodowość, idzie jak z nut... Zawód... Dobrze... Stan cywilny, chłopak zachnął się... Stan cywilny... Kawaler - odrzekł cały napięty, ale dwie dziewczyny już miałem. - Dziadek nie wytrzymał, parsknął śmiechem... Do pokoju weszli kolejni policjanci... - Co się stało? Co się śmiesz? - Chwali się - rzekł dziadek, że miał już dwie dziewczyny i tak atmosfera się rozładowała. W końcu chłopaka, który gdzieś tam siedział z rana na odrodek do jakiegoś wsi puścili do domu, a sami zaczęli się pakować do wyjazdu do Skolego, skąd mieli konwojować do granicy tabory wojskowe przez teren zagrożony dywersantami ukraińskimi.

Rano 19 września byli w Skolem i dołączyli do grupy konwojującej tabory ku granicy węgierskiej. Tabory składały się z wozów konnych i załadowane były dokumentami, nie tylko policyjnymi, ale także wojskowymi. W pewnym momencie wozy za dziadkiem zatrzymały się i wóz, którym dziadek jechał, stał się ostatnim w konwoju. Po kilku kilometrach odległość pomiędzy wozem jadącym w przodzie a dziadkowym powiększyła się - Ukrainiec powożący zrobił się jakiś hardy - przygadywał - „Polski już nie będzie. - Wałnąć to wszystko w rów i do domu”. Dziadek w końcu nie wytrzymał, zszedł z wozu, kazał zatrzymać furmankę, odbezpieczył karabin i krzyknął: - Zamilcz skurwysynu! - Jeszcze jesteś w mojej mocy... warkniesz jeden raz - łeb rozwalę i sam dalej pojadę. - Ukrainiec umilkł a dziadek siadł tym razem nie obok niego na siedzeniu, lecz z tyłu wozu na skrzyni. Karabin trzymał w ręce gotowy do strzału - nie rozmawiali już z Ukraińcem przez cały dzień. Po dotarciu konwoju do Ławocznego grupa dziadka zawróciła do Tucholki, gdzie było miejsce koncentracji policji. Wieczorem tego samego dnia policjanci odmaszerowali do Klimca, przygranicznej wioski z Węgrami. Dnia 21 września rano przekroczyli granicę polsko-węgierską. Przed samym przejściem granicy dostał dziadek bardzo silnej gorączki, trząsł się cały, pocił... To znów był błąd i rozdygotany. Wyglądało to na jakąś febrę czy grypę. Zaczęto pytać, co mu się dzieje machinalnie odpowiadał - „Nie wiem... Nie wiem.. - Chyba grypa”. - Jednak wiedział - organizm przypominał sobie wcześniejszy pobyt na Węgrzech - dziadek po prostu bał się straszliwie głodu.

Zrobił dziadek to, co mógł zrobić najlepszego, uratował sobie życie. Kiedy Rosjanie weszli do Stanisławowa zamurowali kilku policjantów żywcem w jakiejś piwnicy. Między innymi przyjaciela dziadkowego, niejakiego Solaka. Zaczęła się dyskryminacja Polaków. Na Sybir wywożono dziedziców, byłych oficerów, policjantów, kulaków, urzędników państwowych, w końcu osiedleńców na tych ziemiach, a nawet pańską służbę, kolejarzy i listonoszy - słowem powodów mogło być tysiące. Wywozili głównie Polaków, ale też Żydów i Ukraińców - wystarczyło, że miał ktoś większą gospodarkę czy był gajowym lub leśniczym, czy pracował u dziedzica. Pradziadka Ziemiańskiego, 71-letniego starego człowieka wywieźli wraz z żoną i synem w okolice Swierdłowska za to tylko, że był niby osadnikiem na Wandolinie i że podobno miał ukryty karabin. W konsekwencji pradziadek zmarł z wycieńczenia przy wyrębie lasu, jego syn przygnieciony drzewem zmarł tam także. Prababcia Zofia Ziemiańska, którą władza radziecka po śmierci męża i syna ze względu na wiek powyżej 60 lat umieściła w ichnim domu starców, przeżyła i wróciła do kraju. Mieszkała jakiś czas w Jodłowicach u cioci Szulcowej i trochę u córek w Szklarach Dolnych i w Starym Dworze, zmarła w 1975 roku w wieku 92 lat. Pobyt w Rosji wspominała źle, ale nigdy nic złego nie mówiła na Rosjan - jedynie, że dobrzy ludzie pomagali, dzielili się ostatnim kawałkiem chleba. - Jak żyli? - Jedli lebiode, pokrzywy a nawet liście brzozy, z których robili jakąś mamalygę. Takie to były porządki nowej władzy. Pomagali jej też w tym jacyś komuniści, jacyś szubrawcy różnych nacji, nierzadko Żydzi i Ukraińcy, ale przecież byli i zaangażowani Polacy... Polacy mieli do wielu Żydów pretensje. Mój Ojciec np. mówił, że jeden z Żydów łukowieckich zaraz po wkroczeniu Armii radzieckiej zdjął w publicznym miejscu spodnie, pokazał dupę i powiedział - „O, tu będziecie mieli Polskę, jak mi ta dziura zarośnie” -wskazując na swoją rzyć.

Tymczasem dziadek przebywał na Węgrzech. Pobyt w kraju Madziarów zawsze wspominał dobrze, choć na początku byli zakwaterowywani w stajniach w bardzo kiepskich warunkach. Później przeniesiono ich do obozu dla internowanych w Kastely koło Kiskunlachachazy. Ludziom nie brakowało jedzenia, mieli możliwość wychodzenia bez ograniczeń, zrozumienie ze strony Węgrów, słowem, było jak w tym porzekadle - Polak Węgier dwa bratanki. Spędzali czas na graniu w karty, szachach, piłce i w ogóle, co kto chciał, mógł robić. Okres, w którym przebywali na Węgrzech, to wrzesień 1939 r. do połowy 1940 roku. Nasłuchiwali wieści z Polski - były kiepskie, liczono na Francję. Z czasem utwierdzili się w przekonaniu, że nikt nam nie pomoże i że trzeba iść dalej na Zachód, do Anglii i Francji i stamtąd walczyć z Niemcami. Węgrzy zresztą nie byli specjalnie zainteresowani tym, aby Polaków nie puścić. Wiadomo było, jak przejdzie się granicę, będzie się wolnym. W obozie dyscyplina jakaś była, ale praktycznie nie reagowano na żadne zamierzenia Polaków. Najlepiej świadczy o tym powtarzana wtedy wśród Węgrów anegdota, że gdyby wsadzić Polaka do worka i postawić przy worku strażnika, to za kilka godzin strażnik będzie stał i worek będzie dalej zawiązany, ale Polaka już w nim nie będzie.

Po nieudanej pierwszej ucieczce, bez poważniejszych konsekwencji, dziadek zgłosił się do drugiej grupy opuszczającej obóz i mającej przenieść się w pobliże granicy z Jugosławią. Wiadomo było, że jak koguty (tak nazywali węgierską straż graniczną ze względu na czapki z piórami - jakie nosili) nas złapią, będą kłopoty, ale złapać nie muszą. Mieli informacje, że najlepiej będzie zaryzykować od razu po przyjeździe do obozu Somagy - Berzenice - noc są ciemne i nikt ich nie będzie podejrzewał o tak raptowną decyzję. Kilka godzin marszu do granicy i o północy przejście na stronę jugosłowiańską. Mieli iść przez las, przez pola, potem w następnym lesie przejść rzeczkę czy raczej rów, a później odczekać jakiś czas i o 24⁰⁰ przejść granicę. Szli gęsiego, rozstawieni co 3 - 4 metry, dopiero, gdy wyszli z pierwszego lasu i maszerowali przez kilka godzin polami, zaczęli odczuwać zmęczenie. Każdy zresztą miał plecak i swoje rzeczy. Gdy weszli w drugi, ostatni już las, zmęczenie było potężne, a w lesie ciemność całkowita, na dodatek jeszcze zaczął siąpić deszcz. Ścieżka wąziutka, torfowa i tylko tą dróżką szli, słyszał było pojedyncze jakieś chrząknięcia, czasami oddechy z przodu lub z tyłu. Gdy dochodzili do rowu, było uzgodnione, że tam się przystaje a każdy kolejny żołnierz po przejściu rowu potwierdza idącemu z tyłu wolną drogę słowami; „wolne możesz iść”. - Gdy żołnierz idący przed dziadkiem doszedł do przeszkody, dziadek usłyszał plusk,

zatrzymał się - zrobił dwa delikatne kroki w przód i wyczekiwał na pozwolenie przejścia... W końcu zapytał: - Jak tam? - Nic! - Usłyszał tylko pluskanie, więc głośniejszym głosem powtórzył - Jak iść? - Usłyszał - prosto, prosto - zrobił dwa kroki i wpadł do wody, a raczej do jakiejś mazi po głowę... Po pierwszym szoku na wół bezwiednie przebierał nogami i rękami, ale miał na szczęście głowę na powierzchni, grunt był twardy... Jeszcze dwa kroki i maść sięgała mu po ramiona... Z tyłu usłyszał - No jak tam, do jasnej cholery? - Machinalnie odparł - prosto! prosto! I za sobą usłyszał chlupnięcie, a potem najbardziej znane polskie przekleństwo na k... wypowiedziane w sposób wydłużony i zdecydowany z literką „o” na początku. Szli jeszcze jakiś czas umorusani, mokrzy od stóp po głowy, deszcz siąpił. Nie pamiętali już nawet, że kazano im wysoko podnosić nogi, żeby nie zaczepić o druty. Zatrzymali się przed granicą i czekali - to był najgorszy okres podróży - zmiana warty była za godzinę i dopiero wtedy mogą iść dalej... Wreszcie przeszli, byli w Jugosławii. Straż graniczna przyjęła ich z uśmiechami. Widzieli się, byli umorusani w błocie - zaczęli powtarzać - a rowek przeszedłeś... No tak... Jak i ty. . . prosto... prosto... prosto. - Każdy żołnierz otrzymał gorącą herbatę z jakimś alkoholem na rozgrzanie, cały dzień suszyli odzież. Najgorsze było to, że mieli pozalewane plecaki i papiery. Więc to wszystko się suszyło i czyściło przed dalszą drogą.

Jugosławia była tylko kolejnym etapem na drodze ku wolności. Żołnierzy przewieziono do Zagrzebia, następnie do Splitu, gdzie jakiś czas pozostawali, zwiedzając starożytne miasto Trogir i okolice. Stąd przetransportowano ich do Macedonii a dalej przez Bułgarię i Grecję do Turcji do Istanbuhu. Stamtąd do portu Mersin nad Morzem Śródziemnym i drogą wodną przez Cypr do Hajfy w Palestynie. Następny etap podróży to wyjazd do Latrum, gdzie dziadek 20. 09.1940 r. otrzymał przydział do Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich do plutonu Pionierów.

Z tego okresu pamiętam tylko jedną informację dziadka dotyczącą Turcji. Opowiadał, że na bazarach ceny były niezwykle ruchome, zależne od nacji. Najwięcej musieli płacić Anglicy i Amerykanie, mniej Francuzi, jeszcze mniej Włosi, a najmniej Polacy i Rosjanie. Kupcy tureccy świetnie orientowali się, jakie narodowości mają najwięcej pieniędzy i tak ustawiali ceny. Wyjazd Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich do Egiptu nastąpił 2.10.1940 do miejscowości Dikcheila.

Przeniesienie na pozycje nastąpiło w kwietniu 1941 roku Wyjazd do Marsa Mabruch na front 25.5.1941 r. a wyjazd do Tobruku 22.08.1941 r.

Polacy nie byli jedynymi obrońcami Tobruku. Obok nich mieli tam też stanowiska żołnierze z Nowej Zelandii i Australii, z którymi współżycie układało się bardzo dobrze. „To tacy sami weseli ludzie jak my” - mówił dziadek. Część żołnierzy mówiła coś niecoś po angielsku, więc próbowali z tymi Australijczykami i Nowozelandczykami dogadywać się. Z rozmów tych wynikały nieraz bardzo śmieszne sytuacje, np. Australijczyk pytał Polaka, co on w Polsce robi - ten odpowiadał, że jest rolnikiem, co niby równa się farmer - Aaa! - Fahrmer! Potem pokazał na siebie, że on też farmer, ma ranczo z ojcem! Pytanie Australijczyka. - Ile Polak ma owiec czy krów? - Polak odpowiada - Ani jednej owcy, a krów dwie - tu osłupienie - tylko dwie! - Przecież to niemożliwe! - Potwierdzenie Polaka - dwie - Australijczyk zachodzi w głowę - nie... nie... - Nagle mówi - mój ojciec i ja... Mamy 700 krów. - Polak bez zdziwienia przytakuje - rozumie. - Australijczyk mówi coś szybko do stojących kolegów. Jeden z Polaków zwraca się do rozmawiającego z Australijczykiem rodaka. - Ty wiesz, musisz mu postawić flachę... On powiedział, że będzie rozmawiał ze swoim ojcem i że dadzą ci 30 krów - masz już te 30 krów... Bo on ciebie bardzo lubi - śmiech, zdziwienie, poklepywanie - wiadomo, transakcja nierealna, no, ale takie tam były żarty i rozmowy. Był też dziadek świadkiem zatopienia przez niemiecki U-Boot polskiego okrętu „Warszawa”. Okręt wypłynął z Tobruku i kilkaset metrów od brzegu został storpedowany. Zatonął natychmiast. Uratowała się tylko lekarka uczipiona drzwi i małpka, reszta ludzi utonęła wraz z okrętem, który, jak mówił dziadek, bardzo szybko poszedł na dno. W pewnym okresie walk o Tobruk racje wody zostały zmniejszone do 1 litra dziennie i była to dodatkowa męka dla żołnierzy.

Po zluzowaniu Polaków, Nowozelandczyków i Australijczyków przez żołnierzy ze zdobytych przez Anglików kolonii, głównie niemieckich w Afryce, żołnierze ci, którym przekazywano pozycje w języku nie angielskim, lecz niemieckim, gdyż tylko taki język znali, bardzo szybko, jak mówił dziadek, poddali Niemcom Tobruk. - To był oczywiście błąd Brytyjczyków. Gdy zapytałem dziadka, czy to była właściwie klęska, odpowiedział, że najważniejszy okres aktywności i przewagi Niemców minął i poddanie Tobruku, choć było niekorzystne dla walk w Afryce, nie miało już takiego znaczenia, gdyż Brytyjczycy byli wzmocnieni i szybko Tobruk ponownie odbili. Innym razem znów mówił, że Polacy bronili Tobruku przez wiele miesięcy, a Brytyjczycy roztrwonili w ciągu paru tygodni ich cały wysiłek.

Kampania Libijska dziadka obejmowała walki głównie na północy Libii w Cyrenajce, w okolicach takich miast jak Bengazi, Gazala, Derna, Tobruk. Narażenie żołnierzy wynikało nie tylko z konieczności utrzymania pozycji ale także z ciągłych nalotów bombowych, konieczności rozminowywania terenu oraz uderzeń na pozycje wroga.

Zdjęcia załączone do opracowania obrazują sposób walki i warunki, w jakich wojsko przebywało. Pewne niedogodności związane były z gorącym klimatem libijskim, robactwem, oszczędnością wody, piaskiem, którego wszędzie było pełno, nie mówiąc już o nostalgii za rodziną i krajem.

Któregoś dnia - opowiadał Dziadek, kompania miała gdzieś przemaszerować w okolice miasta Mekili. Marsz miał trwać cały dzień... Żołnierze są w stanie w przeciągu 10-12 godzin przejść około 40-60 km, w warunkach libijskich pewnie znacznie mniej, za połowę drogi miał być strumień ze źródlaną wodą, był zaznaczony na mapach i tam mieli uzupełnić sobie zapasy wody i odpocząć. Szli w pełnym rynsztunku, kiedy po kilku godzinach marszu zapasy wody skończyły się, bardzo pragnęli już dotrzeć do tego źródła... Gdy w końcu dotarli do strumienia, ku ich zdziwieniu czy nawet osłupieniu, okazało się, że wody praktycznie nie ma, a w miejscu źródła po prostu kapie ona jedynie szybkimi kroplami kap... - kilkanaście kropli na sekundę. Cóż było robić! Dowództwo podjęło błyskawiczną decyzję. Plutony podchodzą kolejno, wyznaczeni podoficerowie stają przy źródle i odliczają każdemu żołnierzowi półtorej minuty czasu na korzystanie z wody. Mogłeś tę wodę pić... nabrać do menażki, obmyć sobie twarz... No, robić, co chciałeś, „ale co tego było - ze trzy garście” - skomentował dziadek. Potem poderwali się i ruszyli w dalszą drogę. Nawyk do oszczędzania wody pozostał dziadkowi na całe życie. Miał zwyczaj, który oczywiście pochodził z Afryki, mycia się z garnuszka. Wodę nabierał do ust, a następnie wypuszczał z ust na dłonie i rozprawał po twarzy, szyi, uszach. Byłem zdziwiony tą metodą mycia, ale kiedy raz spróbowałem, zorientowałem się, że można się naprawdę w ten sposób obmyć stosunkowo niewielką ilością wody i wcale nie miesza się ona ze śliną - jak mi się na pierwszy rzut oka wydawało. Mówił też dziadek, że w Afryce do zwykłej wody do picia dodawali szczyptę soli, aby uzupełnić jej brak w organizmie i po wypiciu takiej wody podobno nie miało się takiego pragnienia, jak pijąc wodę zwykłą.

W Libii nauczył się dziadek jeździć dżipem. Pierwsza lekcja była bardzo prosta. Wsiadł do samochodu i chwycił za kierownicę a dwóch kolegów uczących go, po uruchomieniu wozu, zeskoczyło z auta i dziadek został w nim sam - jeździł po pustyni aż mu się benzyna skończyła. Zresztą koledzy rzetelnie informowali go, że ma jeszcze paliwa na cztery godziny później, że jeszcze 3 godziny... 2 godziny... 1 godzinę i 20 minut... i tak jeździł, aż w końcu stanął z powodu jego braku.

Po kampanii libijskiej nastąpiło połączenie wojsk polskich z przybyłą z ZSSR armią generała Andersa. To spotkanie z żołnierzami przybyłymi z ZSSR było dla wszystkich Polaków bardzo ciężkim przeżyciem. Żołnierzy, którzy wydostali się z Rosji, nazywano „Cierpiętnikami” dla ich przeżyć i stanu, w jakim się znajdowali, ich z kolei nazywano „Ramzesami” z tego względu, że stosunkowo długo przebywali i formowali się w Egipcie. Polacy przywitali swoich rodaków w Iranie. Dziadek także wyjechał z Egiptu do Iranu na spotkanie z rodakami i zorganizowanie im pierwszej pomocy.

Postaram się przekazać wrażenia dziadka dosłownie jego słowami: „Wszyscy wyglądali okropnie - pełno było kobiet, dzieci, ludzi schorowanych, wycieńczonych, obszarpanych. -

Anglicy w Teheranie od razu puścili ich do łaźni tureckiej, z jednej strony wchodzili osobno mężczyźni a osobno kobiety i dzieci, rozebrani do naga lub prawie do naga. Żołnierze te ciuchy, co oni zrzucali od razu walili widłami na kupy i palili oblewając benzyną z karnistrów. Jak to wszystko płakało. - Nie można im było wytłumaczyć, że za chwilę po łaźni parowej, po odwszeniu, dostaną nowe angielskie mundury... Nie wierzyli, że będą ubrani w czystą pachnącą odzież. Mundurów brakowało dla kobiet i dzieci albo były po prostu za duże. Panie nasze chodziły w mundurach męskich. Anglicy szybko jednak uzupełnili zapasy i dostarczyli odzież zarówno dla kobiet jak i dla dzieci".

W tym okresie bardzo wielu Polaków zgłaszało się do radzieckich ambasad i zasypywało pracowników pytaniami o swoje pozostawione w Rosji rodziny. Wytworzyły się jakieś tam kontakty. Widziano Rosjan w różnych sytuacjach. Pracownicy ambasad szastali pieniędzmi na prawo i lewo. Płacąc podwójnie, potrójnie, nie brali reszt - byle by tylko przekonać Arabów do komunizmu.

Kiedys dziadek, opowiadając jakąś tam historyjkę, mówił: „Cały dzień jechaliśmy z Bagdadu do Teheranu"- Byłem zdziwiony tym stwierdzeniem, zastanawiałem się nawet, czy to możliwe, aby samochodem wojskowym przejechać taki kawał drogi i to jeszcze w tamtym okresie. Z Bagdadu do Teheranu jest chyba z 800 km no... ale skoro dziadek tak mówił - widocznie tak było.

Rozdział VI

PALESTYNA

Po kampanii libijskiej żołnierzom, którzy brali w niej udział, zaproponowano kilkutygodniowy wypoczynek. Do wyboru były tylko dwa miejsca - Cypr lub Palestyna. Dziadek wybrał, tak zresztą jak i większość żołnierzy, Palestynę. Chodziło im głównie o zwiedzenie miejsc świętych, wiedzieli także, że tam więcej zobaczą. Po wylądowaniu w Palestynie i zakwaterowaniu w hotelu w Tel Awiwie dziadek postanowił pójść do magistratu i zapytać o Żydów ze Stanisławowa. Jak pomyślał, tak zrobił. Tą drogą dało mu się ustalić dwa nazwiska znajomych. Jedną z tych osób był właściciel hurtowni towarów kolonialnych ze Stanisławowa, przeciwko któremu dziadek prowadził dochodzenie dotyczące spalenia się tej hurtowni, gdyż zachodziło podejrzenie umyślnego podpalenia w celu uzyskania kwot ubezpieczeniowych. Dziadek miał z tym śledztwem coś wspólnego. Gdy Żyd zobaczył go, ucieszył się, ale - jak mówił dziadek - obie strony nie miały do siebie zbyt wielkiego zaufania. Zresztą Żyd od razu zaczął: „Teraz pan nic mi już nie może zrobić" - była to gadka, która denerwowała dziadka, tym bardziej, że obaj byli przecież w innej sytuacji. Gdy dziadek zapytał, czym się teraz zajmuje, odrzekł, że tym samym, co w Polsce. Prowadził hurtownię artykułów kolonialnych (orzeszki ziemne, herbata, cytryny, pomarańcze, kawa, itp.). Miał dziadek od tego człowieka propozycję przesyłania żołdu, który otrzymywali żołnierze w angielskich funtach, do Palestyny, aby je następnie wymienić na jakieś inne pieniądze niż funty brytyjskie, ale mówił, że z tej propozycji zrezygnował, gdyż wydawała mu się w warunkach wojennych bardzo niepewna.

Inną znajomą, którą dziadek odszukał w Palestynie, była lekarka, córka zaprzyjaźnionego z nim Żyda ze Stanisławowa. Ta dziewczyna, a raczej już kobieta, знаła również dziadka, gdyż bywał gościem w ich domu. Ten żydowski kolega dziadka miał dwie córki. Z jedną nie było kłopotów, za to druga - ta właśnie, która spotkał w Tel -Awiwie, spiknęła się z komunistami i aby przerwać niepożądane kontakty, ojciec wysłał ją do Wiednia na studia medyczne, które ukończyła, a później pojechała do Palestyny, gdzie wyszła za męża i podjęła pracę. O swoim ojcu wiedziała, że zginął rozstrzelany przez Niemców po ich uderzeniu na ZSSR. Rozmowy w tych warunkach były ciężkie. Wspominali trochę czasy przedwojenne, poinformowała go, że ma męża z naszych stron, z Buczacza. Dziadek spotkał się z nim, też był lekarzem, oboje pracowali w kibucach lub może dla kibuców. W okresie tym, jak dziadek mówił, była straszna bieda w Palestynie, kto żył dobrze, ten żył, ale na ogół wszyscy byli biedni a kraj na dorobku. Gdy lekarka wpadła na pomysł, aby pokazać syna, dziadek chętnie przystał. Dziecko wychowywało się w kibucowym żłobku. Rodzice oddawali je na cały tydzień do tego żłobka a

sami szli do pracy, odbierali go tylko na dzień wolny - piątek. Gdy dziadek wszedł na salę, gdzie były dzieciaki, zdębiał. Zobaczył dziesiątki łóžeczek, gołe dzieci w łóžeczkach, ani poduszek, ani kocyków, nic, tylko drewno, smród i zaduch amoniaku, w każdym łóžeczku dziura na odchody i mocz, aby to wszystko zlatywało niżej. Widok ten wprawił go w osłupienie. Gdy podeszli do łóžeczka, ujrzał małego brzdąca 2-3 letniego. Dziecko jak dziecko, matka pocałowała je na przywitanie. W tym momencie dziadek nie wytrzymał i rzekł. - Oj żeby to Pani tatuś widział? - Dziewczyna wybuchnęła wtedy wielkim szlochem, byli to bogaci Żydzi - Hasyci, zestawienie z kibucem było dla dziadka szokiem.

Dziadek zwiedzał Ziemię Świętą, miejsca, w których przebywał Chrystus i miejsca związane z naszą chrześcijańską religią. Przywiózł trzy łańcuszki złote oraz kilka krzyżyków jerozolimskich pocieranych o grób Chrystusa. Z niedzieli palmowej w Jerozolimie przywiózł kawałki palmy, które są w moim domu do dziś. Był też przy Ścianie Płaczu, w Ogrodzie Oliwnym i na dachu domu Piłata, przy grobie Chrystusa i w wielu innych miejscach. Któregoś dnia, kiedy zwiedzał z kilkoma kolegami Jerozolimę, jeden z nich, który oddalił się za jakimiś pamiątkami, nagle zawołał: - Chodźcie, tu chodźcie! - Widzicie tam, tych ludzi - ten w środku w kapeluszu to jest zastępca papieża, Sekretarz stanu i jeszcze kilku księży i ochrona! - Patrzyli na nich... I nagle któryś z kolegów powiedział - no to wielki Pan. Dziadek wyjaśnił mi też, że biblijna przypowieść Chrystusa o tym, że łatwiej jest wielbładowi przejść przez ucho igielne niżli bogaczowi dostać się do Królestwa Bożego nie dotyczy oczywiście główki od igły, gdyż to by był jakiś absurd. Przypowieść dotyczy jednej z siedmiu bram, jakie prowadziły do starej Jerozolimy. Tę bramę zwaną „Uchem Igielnym", mówił dziadek, widziałem. Jest ona niska a w pomniejszeniu wygląda jak ucho od igły. Wielbłądy podchodząc do tej bramy są tak wyszkolone przez Arabów, że przyklękają i na tych klęczkach pod nią przelazą. Nie ma to nic wspólnego z igłą, i Chrystus właśnie tę bramę miał na myśli w przypowieści o bogaczach.

Z tytułu dwukrotnego zwiedzenia Ziemi Świętej miał dziadek prawo do zakupu krzyża papieskiego. Nabył taki krzyż będąc w Rzymie. Gdy go zapytałem, jak to wyglądało - wyjaśnił, że zakupił sobie z tytułu zwiedzenia Ziemi Świętej krzyż papieski srebrny za jakąś tam kwotę. Na złoty nie było go stać, gdyż kosztował kilka razy więcej, brązowy kosztował znów dwa czy trzy razy mniej niż srebrny. Słyszałem także inną wersję dotyczącą nabycia złotego krzyża papieskiego, że otrzymanie go wiąże się już z poważnymi zasługami dla kościoła katolickiego.

W okresie, w którym dziadek przebywał w Palestynie na urlopie, tj. 1942 roku, terytorium to było kolonią angielską zamieszkałą przez Arabów i Żydów. Ci ostatni zaczęli się osiedlać w Palestynie już na początku XX wieku, aby w końcu lat trzydziestych stanowić poważny odsetek ludności. Po II wojnie światowej nastąpił podział tego terytorium na Izrael z większością żydowską i Jordanię arabską. W konsekwencji tego wytyczenia granic wybuchły wojny arabsko - izraelskie. Nie chcę oczywiście niczego imputować, ale nawet na przykładzie Izraela widać, że problem współżycia narodów jest złożony i rodzi prawie zawsze nieporozumienia oraz konflikty.

Przed kampanią włoską miało miejsce pewne wydarzenie, które bardzo poruszyło wszystkich Polaków. Otóż wicekról egipski obchodził którąś z kolei rocznicę objęcia tronu. Zaproszono wielu gości. Gdy w polskim obozie pojawiła się delegacja królewska, wszyscy byli przekonani, że zaproszoną osobą będzie Generał Anders - głównodowodzący polską armią. Jakież było zdziwienie żołnierzy, gdy okazało się, że zaproszenie otrzymał jedynie porucznik hrabia Potocki, którego wicekról znał ze swego pobytu w Łańcucie.

Rozdział VII

KAMPANIA WŁOSKA

Kampania włoska dziadka to miasta: Tarent, Rimini, Monte Casino, Faenza, Pescara, Bolonia, gdzie dla żołnierzy polskich praktycznie zakończyła się II wojna światowa. O Monte Casino

dziadek opowiadał dość dużo. Góra ta broniła dostępu do Rzymu. Próby jej zdobycia były wcześniej podejmowane przez Amerykanów, Brytyjczyków, Hindusów, Nowozelandczyków, Polacy mogli teoretycznie odmówić zdobycia szczytu, ale generał Anders odmówić nie chciał, wszyscy to rozumieli. Bitwa ta miała jakby dwie fazy. Pierwszą było przygotowanie do walki, a następną zdobywanie góry. Dziadek mówił, że góra została straszliwie zbита przez angielskie i amerykańskie lotnictwo oraz artylerię, jednak Niemcy siedzieli w bunkrach, którym ani lotnictwo ani artyleria nie mogły nic zrobić. Trzeba było wysadzać bunkier po bunkrze. Dziadek brał udział w przygotowaniach do bitwy. Polegały one na okopaniu się jak najbliżej wzgórze, podciągnięciu sprzętu i punktów sanitarnych, dział, magazynów z amunicją itp.

Przeżył tam pewne zdarzenie. Gdy wracał dżipem spod góry, kierowca dostał w ramię, krew tak trysnęła na twarz i piersi dziadka, że był całutki czerwony. Dziadek w pierwszym momencie zastanawiał się, czy i on też nie otrzymał postrzału, ale nie czuł w żadnym miejscu na ciele ciepła, które jest nieraz oznaką, że się zostało trafionym. Zraniony kierowca trzymał kierownicę i jechał dalej. Dziadek zapytał, czy może prowadzić, a ten odrzekł, że tak - jeszcze kilkaset metrów i będziemy bezpieczni. Dojechali. Gdy wyskoczyli z dżipa, sanitariusze widząc, że dziadek jest cały okrwawiony, rzucili mu się na ratunek Dziadek krzyknął! - Nie ja! To kierowca jest ranny! - Na szczęście, pomimo że bardzo mocno krwawił, rana okazała się niegroźna i już po kilku dniach był całkowicie sprawny. Pod Monte Casino zginął dziadka kolega rozerwany na polu minowym. Drugą osobą, która zginęła i to zaraz po bitwie pod Monte Casino, był Władysław Kopała, przyjaciel dziadka i łukowianin. Trafiony z niemieckiego działka, został pochowany na cmentarzu w Faenzie.

Wracając jeszcze do Monte Casino. Dziadek opowiadał, że pomimo tego, że Polacy wiedzieli, iż straty będą duże, podjęli się zdobycia szczytu. Po prostu przyszedł ten czas. Musieli iść i chociaż pełno było tablic z napisem „Rodzina czeka na ciebie”, „Nie bądź głupi, nie daj się zabić” a nawet „Tylko frajerzy giną” - wiadomo było, że pójdą i będą walczyć do ostatka. Czy dziadek miał szczęście, że cofnięto go do innego zadania. Chyba tak... Powiedział właśnie tak: „Zamiast na górę cofnięto mnie w ostatniej chwili do innego zadania” - czy mieli podciągać działa, czy zbierać rannych, czy przenosić amunicję i sprzęt, nie wiem. Kiedy patrzyłem i pożerałem oczyma jego Krzyż Pamiątkowy za Monte Casino, myślałem, że on szedł tam, przedzierał się, chował się za skały i wspinał coraz wyżej. A dziadek powiedział skromnie. - Krzyż dostałem za udział i wkład pracy, a to, że mnie cofnęli, to zasługa moich żołnierzy. Oni tak chcieli i dowództwo w ostatniej chwili wycofało mnie z pierwszej linii.

Jeszcze przed walkami o Monte Casino miało miejsce pewne zdarzenie w plutonie, które potwierdziła mi i zrelacjonowała moja siostra Danuta. Dziadek rozdzielił jakieś prace żołnierzom. Później wezwano go gdzieś i musiał wyjechać, nakazał jednak, aby do rozminowywania nie wysyłać najmniej doświadczonych żołnierzy, w żadnym wypadku nie może tego robić nowo pozyskany do plutonu 18-letni chłopak. Jednak podczas jego nieobecności przyjechał porucznik P... i pomimo że żołnierze przekazali porucznikowi sugestie dziadka, że nie kazał tam posyłać nowego, porucznik zrobił na odwrót. - „Właśnie niech się uczy” - powiedział i posłał chłopaka z dwoma bardziej doświadczonymi żołnierzami. Gdy dziadek wrócił, chłopak już nie żył - został rozerwany na minie. Dziadek był bliski szału, wpadł do namiotu, uderzył kilka razy w łeb siedzącego na krzeselku porucznika, a gdy ten upadł i leżąc próbował wyciągnąć pistolet, dostał kopa, na dodatek jeszcze dziadek wyciągnął swój pistolet szybciej i machając nim, ryczał, że go ukatrupi za zabójstwo dzieciaka. Zrobił się harmider, w końcu żołnierze jakoś go uspokoiili. Ale sytuacja była okropna. Za podniesienie ręki na dowódcę groził dziadkowi sąd wojenny, tym bardziej za groźbę użycia broni. W konsekwencji tego wydarzenia żołnierze postawili porucznikowi ultimatum, że sprawa ma być wyciszona i nie ma prawa wyjść poza pluton. I tak to się dziadkowi upiekło, a żołnierze jeszcze bardziej go polubili. Oczywiście dziadek przeprosił w szerszym gronie porucznika. Szkoda tylko, że zginął młody chłopak. Wypada jeszcze tu powiedzieć, że dziadek nie lubił porucznika. Wyrażał się o nim kiedyś tak - „Jego interesowały tylko te kurwy i nic więcej, praktycznie wszystko było na mojej głowie”.

Dziadek wyjaśnił mi kiedyś, że w armii polskiej był specjalny batalion z ludźmi wykształconymi - artystami, pisarzami piosenkarzami, aktorami, byłymi dygnitarzami itp. Batalion ten był oszczędzany, choć też wykonywał jakieś zadania, ale oni tam głównie pisali... malowali... tworzyli i to była taka rezerwa naszej inteligencji. Już dla potrzeb III Dywizji Strzelców Karpackich w 1941 roku wydana była „Biblia Jerozolimska”, także „Przewodnik po Ziemi Świętej” oraz „Vade Mecum żołnierza kierowcy”, a później także czasopismo „Goniec Karpacki” itp.

Anglicy czy Amerykanie, o czym już wspominałem, gdy mieli zdobyć jakiś teren, najpierw bombardowali go z samolotów, potem ostrzeliwała go artyleria, a na końcu ruszały czołgi samochody i ludzie. Gdy napotkano poważniejszy opór, cofano się i następowały znowu naloty i bombardowania - taką mieli technikę walki. Na „Wschodzie” zdobywano więcej terenu na hura. Większość żołnierzy zdawała sobie sprawę, że warunki, w jakich prowadzą walkę Kościuszkowcy, są o wiele cięższe od tego, co oni tu mają, tym bardziej, że znaczna część żołnierzy w obu armiach to byli ludzie z Polski Wschodniej, tzn. Kresowiaczy. Mówił dziadek, że mieli pełną świadomość, iż Kościuszkowcy walczą w gorszych warunkach.

Po Monte Casino w plutonie nastąpił duży zgrzyt. Jeden z chłopaków posprzeczał się z kolegą żydowskiego pochodzenia i powiedział mu, no niby nic, tylko: „Ty Żydku”. Kontekst był jednak pogardliwy i dwóch żołnierzy w plutonie pochodzenia żydowskiego poczuło się dotkniętymi jego słowami i nie przyjęli odznaczeń. W konsekwencji rozmów dziadka z tymi żołnierzami Polak przeprosił kolegę Żyda i obaj żołnierze żydowskiego pochodzenia przyjęli krzyże za Monte Casino.

Kilka miesięcy później obaj ci chłopcy zgłosili się do dziadka na rozmowę. Przekazali mu wiadomość, że po zakończeniu wojny chcą iść do Palestyny do wojska. Dziadek odradzał im, ale - jak mówił - użyli ciężkiego argumentu. Jeden z nich powiedział: - Pan przecież był w Legionach, w wojsku polskim, jak Polski jeszcze nie było, my chcemy praktycznie zrobić to samo. Dziadek powiedział, że tym stwierdzeniem wybili mu ostatnie atuty z ręki, takie jak to, że w Palestynie bieda i nie ma tam po co jechać. Jeden z tych żołnierzy nazywał się Benjamin Fale (Fahle) i podobno awansował w izraelskiej armii na generała. Dziadek efekt tej rozmowy określił słowem „puściłem ich”... Myślę, że takich kompetencji dziadek nie miał, ale po prostu, żołnierze ci zamiast do Anglii pojechali do Palestyny.

Chcę jeszcze wspomnieć o staruszku zakonniku Polaku, który, gdy usłyszał, że rodacy są w okolicach Monte Casino, postanowił zobaczyć swoich. Od wczesnego ranka szedł wiele godzin, aby dotrzeć do polskiego obozu. Akuratnie żołnierze całą kompanią mówili pacierz, specjalnie nie zwracali uwagi na mnicha stojącego nieopodal. Po modlitwie ktoś zaintonował pieśń maryjną Jana Kasprowicza, „Kiedy ranne wstają zorze Tobie ziemia Tobie morze...” dopiero wtedy na szlochającego do głębi wzruszonego staruszka żołnierze zwrócili uwagę. Po odśpiewaniu pieśni podeszli do niego i zaczęli rozmowę. Mówił im, że jest z klasztoru Monte Casino, przeniesiony gdzieś tam ze względu na działania wojenne i że nie myślał, że na koniec życia będzie mu jeszcze dane ujrzeć polskich żołnierzy modlących się, wspaniałych, niezwyciężonych. Któryś z chłopaków poprosił o błogosławieństwo i ukląkł przed zakonnikiem. Zaczął, więc błogosławił... reszta żołnierzy ustawiła się w kolejce... i błogosławił każdemu podchodzącemu do niego, czyli wszystkim.

Dziadek dzielił żołnierzy na dobrych i złych. Do dobrych zaliczał Polaków i to na 1-szym miejscu, dalej Anglików i Niemców, do złych Francuzów i Włochów. Gdy zapytałem, jakie to są kryteria podziału, wyjaśnił, że chodzi o to, że dobrze się bili i radzili sobie w warunkach wojennych. Np. Francuzi czy Włosi nie potrafili sami nawet przyszyć urwanego guzika przy płaszczu... Włosi poddawali się całymi masami i choć dziadek dobrze wiedział, dlaczego oni to robią i tak uważał, że są z nich kiepscy żołnierze.

Bogate rodziny włoskie bardzo serdecznie przejmowały oficerów angielskich i polskich. Dziadek z racji umiejętności gry w szachy często też był zapraszany na takie imprezy, nawet w towarzystwie oficerów, gdzie miał zakazane pić podczas pierwszych partii, dopiero jak wygra 2-3 partie - mógł przegrywać. Chodziło też na ogół o to, aby Włochów nie deprymować. Pili na tych spotkaniach często wino grantfatero, co znaczyło, że było ono

zrobione jeszcze przez dziadka osoby zapraszającej.. Jak mówił dziadek, były to galaretki jedzone łyżeczką. Dziadek zresztą specjalnego pociągu do alkoholu nie miał, więc i picie nie stanowiło u niego żadnego problemu. Oprócz obowiązków żołnierza miał dziadek zarówno w kampanii libijskiej jak i włoskiej jeszcze jeden obowiązek: obsługę naffii, czyli sklepu wojskowego. Wiązało się to z jego znajomością zasad zakupu i handlu wynikającą z prowadzenia sklepu na Łukowcu. Rozliczanie, wyjazdy po towar na targowiska, zakupy odpowiednich ilości towaru zajmowały mu wiele czasu. W każdym bądź razie praca kierownika sklepu batalionowego stanowiła dla niego dodatkowy kłopot. Kiedyś - było to po kampanii libijskiej - wybrał się dziadek na targowisko samochodem z kierowcą i tłumaczem na duże zakupy. Gdy wysiedli i zaczęli chodzić po bazarze, urwała się dziadkowi rączka od walizki, w której było bardzo dużo pieniędzy. Dziadek, specjalnie nie zastanawiając się nad sytuacją, podszedł do stoiska z przyborami przypominającymi szewski stragan i poprosił o naprawienie rączki. Arab potwierdził chęć wykonania zlecenia i zaczął pracę. W pewnym momencie teczka otworzyła się i wypadły z niej pieniądze i to duża ilość, Arab chwycił się za głowę, powstał ruch, dziadek i stojący przy nim tłumacz a także kierowca zaczęli zbierać pieniądze przy asyście gapiów... Po naprawieniu teczki i zakupie towarów, gdy wracali do obozu, tłumacz powiedział: „Radzę wam więcej na tym bazarze się nie pokazywać, bo jak ja się orientuję, w tutejszej sytuacji to życie wasze może być zagrożone”.

Po Monte Casino Polacy poszli dalej na północ, kampania praktycznie została zakończona na Bolonii. Z tego okresu opowiadał dziadek jeszcze jedno zdarzenie. Któregoś dnia, a było to już na północy, Włoch wysłał go i jeszcze jednego plutonowego na zwiad, aby sprawdzić teren. Wiadomo było, że za szosą są Niemcy i Włosi, ale nikt za bardzo nie wiedział, co jest przed szosą. Mieli podejść jak najbliżej i zorientować się, czy przed szosą nie ma wrogów. Przedzierali się przez ogródki, jakieś łąki, laski, szuwary. W pewnym momencie usłyszeli śpiew, więc kierowali się w jego stronę. Zza krzaków ujrzeli chodzącego po szosie włoskiego żołnierza pogwizdującego sobie i podśpiewującego jakieś włoskie piosenki. Kolega szepnął, że to ta szosa. Tak - odparł dziadek - możemy powoli wracać. Nagle ni stąd ni zowąd kolega zdjął karabin z ramienia i powiedział - zdejmę go. Dziadek chwycił za karabin. Nie - powiedział - szkoda tego chłopaka, z Włochami nie walczymy. - To wróg - powiedział kolega. - Ja tu jestem dowódcą - dodał dziadek... Zabraniam - to rozkaz i...wyszarpnął na chwilę koledze karabin.... Zresztą musimy jeszcze pójść na bok i zobaczyć, czy i tam jest pusto. Uszli jakieś 200-300 m. Dziadek zaproponował wejście na drzewo... Kolega wszedł..i zobaczył wozy pancerne, samochody i czołgi za szosą. Liczymy - powiedział dziadek - najpierw czołgi, później wozy pancerne, na końcu samochody. Wracali w milczeniu. Zgłoszę - powiedział w pewnym momencie kolega... że nie pozwoliłeś mi zdjąć tego Włocha - ale dziadek nie odezwał się słowem. Gdy wrócili do jednostki, wyjaśnili w dowództwie, że do szosy nie ma nieprzyjacielskiego wojska, dopiero na szosie zauważyli wartownika, a za szosą stały włoskie samochody, czołgi i wozy pancerne, podając także widziane ich ilości. Kolega nie wytrzymał i palnął: - Plutonowy Faszynkieder nie pozwolił mi zdjąć wartownika z drogi. Nastąpiła drobna konsternacja, a po chwili usłyszeliśmy słowa jednego z oficerów: „No i bardzo dobrze - nie mogą wiedzieć, że my tu już wleźliśmy. Ty się od niego ucz i myśl trochę”. Byłem całkowicie usatysfakcjonowany - mówił dziadek. Kolega, który był z nim na zwiadzie, był także plutonowym, tylko z innego plutonu, a ponieważ dziadek był od niego znacznie starszy, jego zrobiono dowódcą.

Z Włochami były różne perypetie, kraj po zakończonej wojnie biedny, ludzie walczyli przeżycie. Żołnierze otrzymywali żołd w funtach. Było to w Rzymie. Któryś z kolegów zaproponował dziadkowi wymianę funtów na liry... Dawali dobrą cenę, więc dziadek poszedł na to. Wymiana miała się odbyć na ulicy o umówionej godzinie, było trzech Włochów dwóch Polaków. Jeden Włoch stał nieco dalej, aby kontrolować teren przed karabinierami. Gdy dziadek po potwierdzeniu ceny podał Włochowi pieniądze, a ten zaczął liczyć, stojący na czatach krzyknął: - Karabinieri...Karabinieri! - Włoch trzymający dziadka pieniądze rzucił się do ucieczki. Dziadek złapał go za rękę. Nastąpiła krótka szamotanina, w efekcie Włoch się wyrwał, a dziadkowi w ręce został rękaw marynarki Włocha urwany aż po ramię. - Oj! Stracili

wtedy makaroniarze w oczach dziadka bardzo dużo, ale i miesięczny żołd przepadł i to w funtach angielskich.

O Włochach opowiadał dziadek, że gdy się modlą np. do Świętego Antoniego i proszą go o coś, to potrafią też figurce grozić: - „Jak mi Święty Antoni nie pomożesz, to ja przyjdę i figurce odłamię rękę” - czy w ogóle ją rozwalę. W Polsce takie zachowanie byłoby po prostu świętokradztwem.

Włochy nie wywarły na dziadku zbyt dobrego wrażenia i chociaż armia stała tam jeszcze do 1946 roku, czyli dziesięć miesięcy po zakończeniu działań wojennych i praktycznie nie robiła nic, to i tak Włosi w dziadka oczach nie poprawili sobie opinii. Na dodatek pozbawienie życia Mussoliniego i jego kochanki oraz znęcanie się nad ich zwłokami Anglicy a także Polacy odebrali jako zwykłe zdziczenie - dziadek wprost powiedział: „Niby chcieli się włoscy komuniści Anglikom przypodobać. Gdy jednak Anglicy zobaczyli te pokaleczone nagie ciała, natychmiast kazali je przykryć. Zrobili też Mussoliniemu normalny pogrzeb z salutem. Toż to przecież był człowiek, a nie jakieś bydlę”. Wracając jeszcze do dziadka. Miał jakąś nie najgorszą opinię o Mussolinim. Twierdził np., że to Mussolini wyciągnął Włochów ze straszliwej biedy. Gdy raz zacząłem mu tłumaczyć, że Włosi w Abisynii w walkach o ten kraj praktycznie zagazowali armię etiopską, On zaczął mówić, że pobudowali w Libii bardzo dobre drogi i nieźle się gospodarzyli. Przemilczałem, jedno z drugim nie ma przecież nic wspólnego. Przez okres pobytu we Włoszech, od 1944 r. do 1946 r., żołnierze sporo zobaczyli. Zwiedzili między innymi Rzym, Bolonię, San Marino, Loretto, Neapol, Pescara, wybrzeże Adriatyku i góry włoskie, mieli różne szkolenia, kursy. Atmosfera stworzona przez Włochów była bardzo serdeczna. Pomimo tego żołnierze nasłuchiwali głównie wieści z Polski i o Polsce.

Jadąc wiele razy we Włoszech tą samą drogą widzieli zawsze w tym samym miejscu dróżnika ścierającego na szosie pomalowane sierpy i młoty, które ktoś na tej drodze stale malował. Pewnego razu zatrzymali się i zaczęli wypytывать Włocha o to, kto to mógłby tak uparcie malować te ruskie gwiazdy, i te sierpy i młoty. Zapytany spokojnie wyjaśnił: - W nocy ja je maluję, a w dzień też ja je wymazuję. Byliśmy zaszokowani jego postępowaniem i szczerością. Włoch dalej wyjaśniał, że za jedną namalowaną gwiazdę dostaje od komunistów 30 lirów, a od tych drugich (chyba chadeków) za zmazanie 10 lirów”. I tak tam ta demokracja, mówił dziadek, wygląda.

Rozdział VIII

ŁUKOWIEC I SAMOOBRONA

Łukowiec tymczasem zorganizował Samoobronę. W całym powiecie rohatyńskim zostały tylko dwie wioski (oba Łukowce) z polską ludnością, reszta albo została wyrżnięta przez Ukraińców albo uciekała do miast, gdzie stacjonowali Niemcy i można było jakoś przetrwać. W końcu na Łukowcu nie było domu, w którym nie mieszkaliby uciekinierzy z innych wsi. Ile tych ludzi było, dokładnie nie wiadomo. Padawane są różne liczby, np., jedni mówią, że 4 tysiące, inni twierdzili, że najwyżej półtora tysiąca, a jeszcze inni, jak np. Pan Kureń z Lubina, że mogło być razem z łukowianami nawet 10 tysięcy ludzi. Przywozili swój dobytek, zwierzęta - co mogli uratować, to ściągali. Lokowano ich, gdzie się dało, a potem bardzo często dogadywali się z gospodarzami i kolejny raz przenosili się wewnątrz Łukowca tak, że na wsiach wrzało jak w przysłowiowym ulu. Przybysze byli w gorszej sytuacji od miejscowych, bo nie mieli po prostu na czym gospodarować, byli więc trochę na łasce łukowian, ale ci dzielili się, czym mogli. U Szczepana Furtaka mieszkała kobieta z dzieckiem, wpadli raz Niemcy i Azarbajdżanie ruszyli do stajni i dalej wyciągać krowę. Dwóch stało z bronią gotową do strzału, a dwóch ciągnęło na samochód krowinę i to tę, którą przyprowadziła z sobą uciekinierka. Kobieta w ryk, chciała biec ratować dobytek. W drzwiach stanął Furtak... Chwycił ją szlochającą i trzymał, dopóki Niemcy i Azarbajdżanie nie odjechali. Potem rzekł spokojnie - Nie płacz. Czy twoja krowa czy moja, to jest jakby wszystko jedno - póki tu będziesz, na Łukowcu mleka ci nie zabraknie.

Każda rodzina przeszła swoją gehennę. Łukowiec musiał wystawiać kontygenty ludzi do pracy dla okupanta w Baudinscie i na wyjazd do Niemiec. Zdawał produkty rolne i mięso w ilościach ustalonych przez Niemców, lokował uciekinierów, zaopatrywał się^{broń}, Najgorszym okresem był tak zwany „głodny rok z 1942 na 1943”. Po prostu na skutek wylewu Dniestru i obfitych opadów niewiele się urodziło. Na dodatek Niemcy nie pozwalali na sprowadzenie żywności z okolic, gdzie sytuacja była lepsza. Kontrybucje, podatki musiano bezwzględnie pooddawać. Nagle okazało się, że ludzie nie mają co jeść. W sąsiednich wioskach ukraińskich było jeszcze gorzej. Zdarzały się opuchnięcia z głodu a nawet trupy w rowach, jedzono obierki po ziemniakach, karpiele, buraki, mlecz, pokrzywę - zwożono zboże, skąd się dało. Bardzo często zabierali je Niemcy, którzy grasowali na stacjach i wyłapywali ludzi próbujących przywieźć coś do domu. Każda z rodzin doświadczyła w jakiś sposób niedostatku, a wiele po prostu głodu. Bardzo dobre świadectwo za ten okres wydała moja mama wujkowi Wierzbickiemu, który wtedy pracował w młynie. Nie było czego mleć, ale robił co mógł, starał się każdemu pomóc, każdego żebrzącego wspomagał choćby paroma kilogramami mąki czy jakiegoś śrutu. Wujek, człowiek zaglądający ostro do kieliszka, dał się w tym czasie poznać ze swojej najlepszej strony. Melasy, bimber, grys, lebioda na zupe były na porządku dziennym. Następne lata były już, jeżeli chodzi o wyżywienie, lepsze, ale za to zwiększało się zagrożenie ze strony Ukraińców, a napływ ludności polskiej z okolicznych miejscowości powiększał trwogę. Przyjeżdżali ludzie, by ratować życie swoje i najbliższych. Nieraz po straszliwych przejściach. Łukowiec bał się ludzi niepewnych. Były pomyłki, kilka osób niepotrzebnie (tak i dziś mówi się wśród Łukowian) poniosło śmierć na skutek szybkich decyzji. Wydarzeniem na wsi był pobyt Niemców i Azarbajdżan w służbie niemieckiej na wypoczynku. Wsi to niby odpowiadało, bo miała ochronę przed banderowcami, ale żołnierze zaczepiali dziewczyny z różnym zresztą skutkiem, były też pobicia mężczyzn za obronę kobiet. Pijackie zabawy Azerów w kilku przypadkach skończyły się postrzałami mieszkańców wsi. Praktycznie cały czas Łukowiec był kontrolowany przez policję ukraińską i Niemców. Wystarczył donos czy podejrzenie, a zjawiali się i robili przeszukania, kontrole, niszcząc przy tym dobytek. Jedno takie przeszukanie zrobiono u Wincentego Marka. Ukrainiec przekazał, że tam jest magazyn broni. Zjechali Niemcy, przetrząsnęli cały dom, stajnię, stodołę, nawet szpikulcami szukali na podwórzu i przy płocie. Upokarzali przy tym domowników, każąc im przenosić rękami gnój w stajni z jednego miejsca na drugie. Gdy przekonali się, że broni nie ma, zaczęli mieć pretensje do Ukraińca, który ich przyprowadził. Ten z kolei tłumaczył się, że taką informację otrzymał od innych Ukraińców, podając ich nazwiska. W końcu odjechali, zostawiając za sobą porozrzucany dobytek i sprzęty gospodarcze. Za godzinę ponownie przyjechał samochód z Niemcem i Ukraińcem. Trzy córki Marka sprzątały obejście. Młody Niemiec wyjaśnił, że zgubił złoty nóż, wszyscy zaczęli go szukać. W trakcie tego szukania doszło do wymiany zdań pomiędzy Niemcem a Kasią, najstarszą córką Marka, która знаła język niemiecki. Niemiec zdjął karabin, palcem pokazał na dziewczyny i zaczął je odliczać; eins...zwei... drei... następnie wystrzelił do Kasi. Pozostałe dwie dziewczyny uciekły. Wróciły po odjeździe Niemców, ale zastały już siostrę martwą. Opowiadając mi to zdarzenie pani Agnieszka Wojcieszak mówi: „To prawda, że siostra powiedziała Niemcowi coś w rodzaju: - Wy świnię, coście nam tu narobili” nawiązując do tej chamskiej rewizji oraz poniszczonych i porozrzucanych po całym obejściu narzędzi i różnych rzeczy, ale on ją zabił za wypowiedzianą prawdę... Za nic. Wincenty Marek, który po rewizji Niemców wyszedł z domu, nawet nie mógł się spodziewać, że po powrocie zostanie taką tragedią. Franek Burdzy, mój stryj, zginął tylko dlatego, że przygadał coś sąsiadce żyjącej z Niemcem. Podjudzony przez sąsiadkę Szwab zastrzelił go na podwórku strzałem w brzuch. Osierocił gromadkę małych dzieci. Wspominając to wydarzenie pani Bronisława Dobosz mówi: „Ojciec sąsiadom nawet nieraz pomagał... Bo im było jeszcze ciężiej niż nam i tak mu się wywdzięczyli”. Jedna z rodzin przyjezdnych na Łukowiec przywiozła zgwałconą przez banderowców dziewczynę. Co ta biedaczka przeżyła, nikt nie wie. Po urodzeniu dziecka wsadziła je główką do wiadra z wodą... Siekierskiego, niepełnosprawnego chłopca mieszkającego po sąsiedzku z dziadkiem, przerznięli Ukraińcy piłą. Trzech chłopców, którzy pojechali na swoją wieś po resztę rzeczy, powieszono na lejcach. Byli to bracia Stanisław i

Władysław Bednarze, Jan Groszek i Kazimierz Burdzy, ten ostatni nadszedł na to miejsce i został zarąbany siekierą. Gdy Armia Krajowa zatrzymała ukraińskie wozy z solą, które następnie po sprawdzeniu wypuszczono, a po wyjeździe z Łukowca ktoś ich obrabował (najprawdopodobniej Polacy), Ukraińcy poskarżyli się Rosjanom, a ci zaatakowali, Łukowiec. Idąc tyralierą przez wieś, zabili 14 ludzi. Nie opiszę tu wszystkiego, co na Łukowcu się działo. Chcę tylko pokazać jakiś fragment tego, co ludzie tam przeszli.

Po wsi kręciły się masy ludzi, bliżej nieokreślonych, również i dezterzy z armii niemieckiej. Po incydencie, gdy jeden z nich podpisał sobie, zaczął wyzywać Polaków i chwalić Hitlera, wszystkich Niemców rozstrzelano. Była to decyzja okrutna, wzbudziła wiele kontrowersji. Samoobrona nie ograniczała się tylko do siedzenia na Łukowcu, zadawała też ciosy, czyściła szeregi, likwidując ludzi niepewnych, podejrzanych i nierozważnych. Nie obyło się bez wzajemnych oskarżeń - niektóre fakty zostały ujawnione w książce Edwarda Polaka „Los Polaka” opisującej samoobronę na Łukowcu i swoją syberyjską tułaczkę. Na Łukowcu partyzantka rekrutowała się głównie z młodzieży swojej wsi i okolicznych miejscowości.. Wzmocnienie stanowili żołnierze i oficerowie przysłani ze Lwowa i Stryja. Były to często grupy partyzantów przeznaczone do zadań specjalnych. Przebywała tu także część żołnierzy AK „spalonych” we Lwowie czy Stryju. Młodzi ludzie, którzy przybyli wraz z uciekinierami, chętnie zasilili szeregi samoobrony i Armii Krajowej. Głównym zadaniem partyzantki rakowieckiej była przede wszystkim ochrona polskiej ludności.

Wypada tu wspomnieć kilkunastu ludzi, którzy zorganizowały Samoobronę i odgrywały w niej poważną rolę. Komendantem był pochodzący z Łukowca urodzony w Stanach Zjednoczonych Edward Polak. Jego zastępcą Piotr Król, Ślęzak, dezter z armii niemieckiej. Oficerami i dowódcami batalionów byli: Drozd Franciszek, Sikora Kazimierz, Skowron Mieczysław, Kryciński Władysław, inni oficerowie to cichociemny Michał Wilczewski, Marian Burdzy, Ludwik Kędzierski, Ludwik Martka. Bardzo duże zasługi posiadali też księża Józef Wanatowicz i ks. Józef Galik, sołtysi Józef Cacaj i Jan Bal oraz sekretarz Józef Dziuba a także aktywni podoficerowie: Stępień Stanisław, Kosior Andrzej, Stadnik Jan, Górak Wincenty, Wojciech Ślepokura i wielu innych. Ewentualnym na Łukowcach było czterdzieści placówek rozmieszczonych dookoła wsi, na których przez 3 lata noc w noc pilnowało wiosek po 8-12 ludzi. Czyli, że co noc czuwało tam około 400 ludzi.

Gdy wypytywałem o wydarzenia z tamtych lat, tylko raz ktoś umniejszał znaczenie partyzantki łukowieckiej. Wszyscy pytani, nawet starszki babuleńki mówiły, że: „To te nasze partyzanty nas uratowały, a pewnie, że to tylko oni”. Zbierając materiały na temat wydarzeń w czasie wojny w Łukowcu i w okolicach Łukowca, spotkałem się z tak różnymi interpretacjami tego, co tam się działo, że w końcu zawęziłem swoje pole działania i skoncentrowałem się w większym stopniu na losach dziadka i jego najbliższych. - Szkoda, bo historia Łukowca i wydarzenia, jakie tam się rozgrywały, zarówno pod okupacją sowiecką jak i niemiecką, warte są utrwalenia.

Rozdział X

ANGLIA

We wrześniu 1946 roku armia polska z Włoch została przewieziona do Wielkiej Brytanii, a ściślej do Anglii. O podróży statkiem za wiele dziadek nie opowiadał, jedynie trochę o Gibraltarze, że mają tam straszliwe kłopoty z wodą i że Gibraltarczyki łapią ją spływającą ze skał. Miał dziadek wrażenie, że jedna ze ścian góry jest specjalnie przygotowana tak, aby wodę można było zbierać.

W Anglii żołnierzy zakwaterowano niedaleko miasteczka Chippenham. Dla lepszych kontaktów z ludnością żołnierze mieli naszywki oznaczające ich stopień znajomości języka angielskiego, np. Dziadek miał naszywkę, że jest się w stanie porozumieć - inni... że mówią dobrze... Jeszcze inni, że nie mówią wcale po angielsku. Dziadek przywiązywał dużą wagę do znajomości tego języka. O Brytyjczykach mówił, że żadnym prawem nie można Szkota

pomylić np. z Anglikiem czy Irlandczyka z Walijczykiem, wtedy są wściekli. Na każdego jednak ze spokojem można powiedzieć Brytyjczyk.

Zaraz po przyjeździe do Anglii miało miejsce zdarzenie, które ukazuje mentalność Brytyjczyków. Jeden z żołnierzy polskich otrzymał areszt domowy za awanturę z Anglikami w pubie. Chodziło o jakąś dziewczynę, w każdym bądź razie w prasie lokalnej ukazała się notatka na ten temat i wzięto Polaka w obronę. Zresztą Polacy w czasie wojny i nie tylko mieli i mają stosunkowo dobrą opinię u Brytyjczyków. Gdy Polakowi zachciało się opuścić areszt i po prostu gdzieś pójść, znowu w prasie ukazała się notatka, że skrzywdzony żołnierz uciekł z aresztu. W konsekwencji tej notatki, przed wszystkimi domami w miasteczku gospodynie powystawiały na noc flaszki z napojami i pozawijane w papier kanapki - na wypadek, gdyby ten nieszczęśnik przechodził koło ich domu, aby miał się czym posilić. - Najśmieszniejsze w tym wszystkim było to - mówił dziadek, że nasze dowództwo żadnej krzywdy chłopakowi nie zrobiło, chcieli by przez tydzień nie wychodził z obozu i trochę ochłonał, taki to był areszt. Anglicy tymczasem uznali, że żołnierz został straszliwie skrzywdzony. Po rozformowaniu się armii żołnierze szukali zatrudnienia, gdzie kto mógł. Dziadkowi trafiła się praca na pocztce polowej i stąd pokazały zbiór znaczków, jaki przywiózł z Anglii.

Wkrótce żołnierze zaczęli się rozjeżdżać - jedni wracali do Polski, inni wyjeżdżali do Australii, jeszcze inni do USA, niektórzy pozostawali w Wielkiej Brytanii. Agitacja kwitła - byli tacy, którzy optowali za krajem, inni mówili, że nie ma tam naprawdę po co jechać. Dziadek utrzymywał kontakty zarówno ze swoim bratem z Filadelfii, jak też i z rodziną w Polsce. Niestety, od brata dostał list, który wybił mu wyjazd do USA raz na zawsze z głowy. Dziadek napisał bratu, ile ma pieniędzy i że gdyby zdecydował się na wyjazd do USA, to by chciał założyć tam jakiś sklep. Brat odpisał mu, że z tym co ma, to nawet nie wie, czy mu na kiosk wystarczy. To dziadkowi dało wiele do myślenia i jednocześnie przekreśliło amerykańskie plany. Od córki dostał list, że zamierza wyjść za mąż za Mariana Burdzego - chłopaka z Łukowca. Nie sprzeciwiał się małżeństwu, lecz chciał wiedzieć, co kandydat na zięcia robi i jakie ma plany. Myślał nawet o ulokowaniu młodych w Australii. Jednak w następnym liście otrzymał informację, że przyszły zięć z kraju nie wyjedzie, między innymi dlatego, że ma rodziców w podeszłym wieku i jest dla swojego ojca jedynym dzieckiem. W tej sytuacji dziadek wysłał córce Jadwidze błogosławieństwo. Pisał jej też, że zastanawia się co robić, gdyż chciałby rodzinie pomóc i dlatego ma zamiar jeszcze w Anglii jakiś czas pozostać. Żołnierze polscy tymczasem powoli rozjeżdżali się po świecie. Niby mieli do dyspozycji wszystkie kolonie i kondominia angielskie, a także USA i Amerykę Południową. Tak naprawdę mieli jednak bardzo duże trudności ze znalezieniem sobie miejsca gdziekolwiek. Anglików uważano za zdrajców sprawy polskiej i można śmiało powiedzieć, że wśród żołnierzy panowało rozgoryczenie. Dla dziadka brak jakichkolwiek informacji o tym, co się dzieje z synem Ryszardem, był najbardziej przygnębiający. Wujek Rysiek został wysłany z Łukowca do Krakowa, do swojego stryja, zaraz jak tylko zaczęły się mordy ukraińskie. Miał wtedy 9 lat. W 1945 roku opuścił Kraków z kolegą, a praktycznie uciekł z domu od stryjka. Gdzie przebywał - tego nikt nie wiedział.

Dziadek był w stosunkowo dobrej sytuacji, gdyż pracował na wojskowej pocztce. Praca ta nie była pewna, ale na razie poczty nie likwidowano. Któregoś dnia odwiedził go w obozie Generał Duch, prosząc o drobną przysługę. Chodziło o przygotowanie paczki do Polski, do Warszawy, gdzie przebywała jego rodzina. Generał pragnął wysłać bliskim kilka złotych pierścionków. Prosił dziadka, aby mu te pierścionki umieścił w obcasach. Umówili się i gdy dziadek przyszedł do niego wieczorem z drobnymi przyborami, szybko w obecności Generała przeciął obcas, następnie wyciął niewielką dziurę w pozostałej części obcasa i po włożeniu do niej pierścionków ponownie zabił obcas kołkami i gwoździkami. Miał okazję chwilę porozmawiać z Generałem, który pragnął wspomóc rodzinę. Chociaż robota była zrobiona dobrze i Generał był z niej zadowolony, to jednak po jakimś czasie przekazał, że niestety, pierścionki znaleziono i nie dotarły do żony.

Dziadek spotkał się też z pułkownikiem lub podpułkownikiem Baranem, który pochodził najprawdopodobniej z Góry Ropczyckiej i którego brat był podoficerem zaprzyjaźnionym z dziadkiem. Rozmawiali na temat powrotu do kraju. Baran był pesymistą - wy może tak, mówił do dziadka i swojego brata - tam jechać, ale ja życia w Polsce mieć nie będę i na powrót raczej się nie zdecyduję. Rozmowy te zajmowały żołnierzom dużo czasu, poza tym stale ktoś wyjeżdżał, to do Australii, to do Polski, to do USA, to znowu komuś udało się znaleźć pracę w Anglii. Niby było jakoś, ale ludzi zżerała tęsknota za swoimi rodzinami, za Ojczyzną. Jak już wcześniej pisałem, znaczna część armii na Zachodzie to byli ludzie z Kresów, ci praktycznie nie mieli do czego wracać. Mówił dziadek, że gdy kiedyś dowiedział się w pracy z radia, że Rosja zabiera nam ziemie po Bug, rozplakał się. Przybiegli pracujący na pocztę Anglicy. Pytali, co się stało. Dziadek wyjaśnił im całą sytuację i że praktycznie stał się w jednej chwili żebrakiem. Anglicy cywile nie mogli wprost w to uwierzyć. A dziadek po latach tak to skomentował: „Anglicy człowiekowi nie zabiorą nawet koszuli a jak wezmą coś, to odszkodowanie zapłacą i to rzetelnie, ale całe narody potrafią sprzedać i nawet nie zadrzy im powieka. Pomimo że dziadek darzył Anglików sporym szacunkiem, to jednak twierdził, że w swoich koloniach tubylców traktowali z góry, narzucali im swoje porządki w przeciwieństwie do Francuzów, którzy na ogół z ludnością swoich kolonii bratali się.

Rozdział XI

POWRÓT DO POLSKI

Tymczasem w rodzinnej miejscowości dziadka, na Łukowcu, ludzie nie mieli ochoty nigdzie wyjeżdżać. - Tu jest nasze miejsce, tu jest nasza Ojczyzna - mówili. - Uważali, że sytuacja polityczna jest taka, że prędzej czy później dojdzie do wojny pomiędzy Rosją Radziecką a USA, a po wojnie będzie tu znowu Polska. Część młodzieży poszła do Istriebitelnych Batalionów, jeszcze inni do Ludowego Wojska Polskiego. Między innymi aż do Berlina doszli Majdański Józef, Ludwik Babula, Ziemiański Marian. Turbak Stanisław zginął będąc członkiem Istriebitelnych Batalionów. W potyczce z Ukraińcami, gdy się wycofywali, zatrzymał się, aby ratować rosyjskiego oficera. Gdy ten się wycofał, Turbak został trafiony w nogę i unieruchomiony. Bronił się do końca. Ostatnim granatem sam się rozerwał.

Amerykanie daleko a Rosjanie na miejscu i ci ostatni zaczęli działać po swojemu. . Pierwszymi aresztowanymi byli: Edward Polak - Komendant Bazy na Łukowcu, dowódca Samoobrony, dalsi to: Józef Cacaj - sołtys wsi, Józef Dziuba- sekretarz, Genowefa Kontor, Władysław Burdzy. Czekala ich wieloletnia zsyłka za przynależność do Armii Krajowej, czyli za wrogi stosunek do radzieckiej władzy. Po pierwszych aresztowaniach szykowały się nowe. Aresztowano Ludwika Kędzierskiego. Zawzięcie szukali Pioruna - zastępcę komendanta Bazy. Widomo było, że to tylko początek... Pod Ruskimi ...życia nie będzie, powtarzali to wszyscy - jak Amerykanie tu przyjdą to i my wrócimy... a teraz trzeba nam zmienić zdanie i się wynosić. Ruszyli więc na Zachód.

I tak ze stacji w Chodorowie zaczęły odchodzić jeden po drugim transporty na Śląsk. Wyjechali wszyscy. Większość ludzi osiedliła się w powiecie Środa Śląska we wsiach Osiek, Jankowice, Mieczków, Zabłoto, Wichrów, Kostomłoty, koło Malczyc we wsiach Rzeczyca, Chomiąża, Lipnica, także koło Brzegu Dolnego we wsiach Stary Dwór i Wały Śląskie oraz koło Lubina we wsiach Brunów i Szklary Dolne - Kolonia, koło Chocianowa we wsi Pogorzelska, po kilka lub kilkanaście rodzin osiedliło się w Malczycach, Żmigrodzie, Lubiążu oraz w wielu innych miejscowościach - od Świdnicy i Strzegomia po Wrocław, Szczecin, Bydgoszcz, Gdańsk, Lubin, Chocianów itd.

Rodzina mojego ojca - Mariana Burdzego - opuściła Łukowiec jako jedna z pierwszych. Ojciec musiał się ukrywać, gdyż jego kuzyn, też Marian Burdzy, był na liście najbardziej poszukiwanych i najbardziej niebezpiecznych wrogów władzy radzieckiej. Ruskim było wso ryba, którego Mariana złapią, ten pojedzie na Sybir. Na Łukowcu było aż czterech Marianów Burdzych - wszyscy mieli się więc na baczności. W końcu Rosjanie nie złapali ani jednego,

ale na Sybir wzięli ojca poszukiwanego Mariana - Władysława. Sztuka jest i tak poszedł ojciec za syna. W tej sytuacji Tato i Dziadek Burdzy wyjechali stosunkowo szybko. Na Dolnym Śląsku upatrzyli sobie dwa domy, jeden na Starym Dworze a drugi na Wałach Śląskich. Do domu na Wałach Sl. wprowadził się Dziadek.

Babcia Faszynkiederowa opuściła Łukowiec także stosunkowo wcześniej. Nie pojechała jednak na Śląsk, lecz na starą ojcowiznę męża w rzeszowskie, do Góry Ropczyckiej. Tam sytuacja była beznadziejna. Rodzina ulokowała ją wraz z rodziną Wierzbickich w małym domku, który należał do pradziadka Józefa Faszynkiedra. Krów, które przywiozła ze Wschodu, nie było gdzie paść - tylko po miedzach i rowach. Ludzie wyzywali ją od Ukrainki, słowem bieda i jeszcze zła atmosfera. Gdy przyszedł następny list z Anglii od dziadka z błogosławieństwem i zgodą na ślub mamy z Marianem Burdzym, mama nie zastanawiała się, pojechała na Śląsk i za dwa tygodnie, bez aprobaty babci, wyszła za męża. Wesele odbyło się na Wałach Śląskich. Młodzi znaleźli jeszcze mieszkanie w Wołowie ze sklepem na ulicy Zwycięstwa 8 i natychmiast je zajęli. Niemka, która tam mieszkała, przyjęła ich serdecznie. Do jej wyjazdu do Niemiec mieszkali razem. Ta pani o nazwisku Bros (Bross) pisała później do mamy przez wiele lat listy. Zadomowienie się mamy na Ziemiach Zachodnich było jednak niekompletne. Prowadzenie sklepu, przyjazd siostry Janki, która przez pewien czas mieszkała z moimi rodzicami w Wołowie nie dawały mamie poczucia stabilizacji. Wyprosiła w końcu męża - jedź do Góry Ropczyckiej, porozmawiaj z teściową, może by tu jeszcze przyjechała. Tato zdecydował się pojechać porozmawiać z babcią. Przyjęła go w miarę życzliwie. Była już pogodzona z zamążpójściem córki. Na propozycję wyjazdu na Ziemię Zachodnie wyraziła zgodę, choć było już stosunkowo późno i okolice te były zasiedlone. Stał jeszcze jeden dom w Starym Dworze w środku wsi, pusty, kiepski jak mówił ojciec, ale to dom, nie szopa. - Mamo, będziesz miała swój kąt - tłumaczył - Gdy wrócił do Wołowa, miał do zakomunikowania żonie dobre wieści. - Ciesz się - udało się... Twoja mama przyjedzie równo za 10 dni. Umieścimy ją w Starym Dworze - jeden kilometr od wsi moich rodziców, będzie wśród swoich. Za 10 dni dwa wozy Łukowian nowych sąsiadów przywiozły babcię do Starego Dworu. Babcia przywiozła ze sobą krowę i maszyny szewskie dziadka (J^{eq} na krowę babcia sprzedała w Górze Ropczyckiej). Była u siebie, wśród swoich po kilkumiesięcznej tułaczce. Nie przeszkadzało jej to, że dom jest lichej, że jedna ściana z gliny. Znowu była gospodynią a obok sąsiedzi Łukowianie, Martkowie, Starkiewicz, Watrasy, Łukawscy, Przewiędy, Kubale, jak to się mówi - swoi.

Po trzech latach pobytu w Wołowie rodzice przenieśli się na Wały Śląskie do moich dziadków ze strony Ojca i tam mieszkali już przez kilkanaście lat.

Powrót dziadka z Anglii nastąpił w 1948 roku. Przyjechał z jedną walizką, reszta rzeczy dojechała za kilkanaście dni. Były to kolejne cztery walizki z odzieżą, ubraniami, kocami, płaszcami i rzeczami osobistymi. Miał oczywiście też jakieś pieniądze i biżuterię, ale przede wszystkim miał nadzieję, że będzie dobrze i że ujrzy po ośmiu latach rozstania rodzinę - żonę, dzieci, braci, znajomych, po prostu Polskę.

Mając już kilkanaście lat, zapytałem dziadka, czy nie miał żadnych kłopotów z UB. Odpowiedź dziadka była taka: - „Nawet mnie ciągal, ale nie było tak źle - wszystko powiedziałem, całą prawdę - może trafiłem na jakichś rozumnych ludzi... Trudno powiedzieć, dali mi jednak spokój - w końcu generałem nie byłem. Ludzie pretensji do mnie nie mieli, więc jakoś przeszło”.

Inaczej o tej sprawie wypowiadała się ciocia Janiny Szulc. Córka dziadka twierdziła, że dziadek musiał pisać co tydzień sprawozdania z tego, co robi. Na szczęście wyznaczonym kuratorem okazał się Marcin Skórny - kapitan armii austriackiej, mieszkaniec Brzegu Dolnego, człowiek rozważny i kulturalny, który traktował dziadka po przyjacielsku, a nie jak podejrzanego i dzięki niemu dziadek nie miał większych kłopotów z nową władzą. Dziadek oczywiście spotkał się ze swoimi braćmi, Staszkiem i Ludwikiem oraz siostrą Henryką. Bracia byli urzędnicy w Krakowie, a siostra Henryka ze swoim mężem mieszkała jakiś czas w Urazie, we młynie, gdzie Wierzbicki był kierownikiem. Był to podobno bardzo dobry fachowiec, pamiętam go, zawsze grzeczny wprost serdeczny, umiał się zachować. Nigdy nie

podnosił głosu, sprawiał wrażenie człowieka z klasą z jedną tylko wadą - dużo pił. Pierwszym zadaniem dziadka było odszukanie syna. Sobie tylko znanymi drogami ustalił, że jest on w lubelskim. Jak do tego doszedł, ciężko dzisiaj dociec. Od braci dowiedział się, że uciekł z Krakowa w towarzystwie kolegi z podrobionym dowodem na nazwisko Ochał - może dziadek skontaktował się z tą rodziną? Trudno jednoznacznie stwierdzić - w końcu jednak dziadek był policjantem i swoje sposoby miał. Gdy z Krakowa przyjechał do Starego Dworu, był zadowolony. - Wiem gdzie jest Rysiek - powiedział - za 2-3 dni jadę w lubelskie do Lubyczy Królewskiej, on tam jest. Babcia, dla której wujek Rysiek był ukochanym dzieckiem, cieszyła się bardzo. Nie minął tydzień jak dziadek wrócił z synem. Radość była wielka, rodzina w komplecie. Kiedyś, gdy spytałem dziadka, jak wyglądało jego spotkanie z synem, odparł, że gdy trafił do sierocińca w Dębach koło Lubyczy Królewskiej, wyszedł dyżurny i zaczął z nim rozmawiać - był wieczór - dziadek poprosił o widzenie z kierownikiem. Chłopak krzyknął: - Rysiek, zaprowadź pana do naszego kierownika!

-Wyszedł drugi chłopak - był to syn.... Dziadek od razu go poznał... W gardle mu zaschło z wrażenia. Wujek Rysiek miał wtedy 15 lat. Szli w milczeniu. Gdy wujek zameldował kierownikowi przybycie jakiegoś człowieka - odszedł. Dziadek tymczasem przedstawił się i wyjaśnił, po co przyjechał. Trafiłem znowu mówić na życzliwego człowieka. Zawołano wujka Ryśka i wtedy dziadek mu się przedstawił. Wujek był raczej zaskoczony, dziadek bardzo wzruszony. Propozycja powrotu do domu była dla wujka obojętna. Dziadek przekonywał syna, kierownik również. W końcu wielokrotnie wypowiedziane słowa; synku... Rysiu... coś zdziały... Wujek zgodził się na wyjazd z ojcem.

Plan dziadka był prosty. Nauka i jeszcze raz nauka. Jednak grunt był gorzej niż twardy. Wujek ani myślał się uczyć... Zaczęło się koleżeństwo, dziewczyny, zabawy, późne wracanie - jakby coś nadrabiał... Jakiś stracony czas... Komentując ten okres życia wujka, dziadek powiedział: „Siły na niego nie było... Wlałem mu ze trzy razy, ale sensu to nie miało, był wyższy, silniejszy.. Jakby mu przyszło do głowy odwinąć mi, byłoby jeszcze gorzej”.

Moja mama, komentując powrót brata, była jeszcze bardziej krytyczna. Pił, łąził po zabawach, dziadka nie słuchał. Więc i posądzano go o wszystko co najgorsze. Gdy zginął złoty pierścionek z platynowym oczkiem, jemu przypisywano jego upłynięcie. Na dodatek babcia broniła go jak mogła, był przecież jej ukochanym synkiem.

W tej sytuacji dziadek zatrudnił go na budowie elektrowni wodnej na Wałach Śląskich, gdzie był księgowym. Któregoś dnia wszedł do jego gabinetu majster Bolesław Dołęgowski i powiedział: - Panie Antoni, proszę ze mną na chwileczkę. A o co chodzi? - zapytał dziadek - Proszę, proszę nad Odrę!

- Widzi Pan tam tego chłopca na barce?- pokazał ręką Dołęgowski - to pana syn?... Dziadek zobaczył, że jego Rysiek siedział na workach z cementem, podsuwał sobie co chwila jeden, rozrywał go nożem a zawartość wywalał do Odry... Dziadek poczerwieniał jak burak... Rysiek! Rysiek!, Co ty u diabła robisz!!! - krzyknął. Chłopak na barce zeszytywniał... Popatrzył w stronę stojących na brzegu, a potem wstał i spokojnym krokiem poszedł na drugą stronę barki.

Cóż było robić, musiał dziadek pogodzić się z losem, na dodatek jeszcze urodził się dziadkowi wnuk. Rysiek ani myślał o żeniaczce. Był więc i nowy problem. Po latach, kiedy wujek ustabilizował się i ożenił oraz podjął pracę jako lakiernik w Nysie, mówił o tym okresie swego życia tak: - „Mógł mi Ojciec jeszcze parę razy przylać, może wtedy bym coś zrozumiał... a tak musiałem całe życie ciężko pracować!” Wujek Rysiek zawsze sprawiał na mnie wrażenie dobrego, rozważnego człowieka... Pomimo wielu grzechów młodości ma życzliwy stosunek do ludzi... słucha... wypowiada się mądrze i rozsądnie, z sądami tak jak i dziadek nigdy się nie spieszy. Zastanawiałem się nieraz, czy między nim a dziadkiem jest coś, co ich dzieli, ale na to nie wyglądało.

Gdy zapytałem wujka o tamten okres życia, wyjaśnił, że w 1942 roku pojechał do Krakowa do swoich stryjów aby tam przeczekać wojnę. Zatrzymał się w Górze Ropczyckiej u swojego dziadka. Tu został zatrzymany przez Niemców i wywieziony do obozu w Płaszewie z podejrzeniem, że jest błakającym się żydowskim dzieckiem. W Płaszewie, mówił, Żydów palili... Miał sprawę do wyjaśnienia - a tu nagle w obozie znalazł się i stryj Ludwik z Krakowa.

Poznał go, powiedział, że w jakiejś łapance go zwinęli i siedzi aż Niemcy zadecydują co z nim zrobić. Doradził wujkowi, żeby mówił, że złapali go w Krakowie w tej samej łapance i w tym samym dniu co jego i że mieszka u stryja i ma się tego adresu nauczyć na pamięć, a ponieważ naprawdę był już zameldowany w Krakowie - wszystko pasowało. Ma też mówić, że nazwisko ma takie, bo jest austriackiego pochodzenia. Ze stryjem spotykał się przez jakąś ubikację przechodząc podkopem z jednej części obozu do drugiej. Raz Niemiec zauważył, że wszedł do klopa i zniknął, puścił psa do tunelu a pies ugryzł go w tym tunelu w pupę. W końcu po jakimś czasie wypuszczono ich obydwu z obozu i wyładowali w Krakowie. Wujek zamieszkiwał u stryja Staszka. Stamtąd zdecydował się wracać do domu, a tak naprawdę uciekł i wędrował na Łukowiec, do domu. Szedł dwa miesiące. Kiedy Ruscy postawili granicę na Bugu, nie mógł iść dalej. Zmienił nazwisko na Ochał, gdyż bał się, że jak wyjdzie na jaw, że jest dzieckiem policjanta, to będzie jeszcze gorzej. W końcu trafił do sierocińca w Dębach i tam znalazł go ojciec.

Rozdział IX

W POLSCE LUDOWEJ

Dziadek po zakończeniu budowy elektrowni wodnej na Wałach Śląskich otrzymał za swoją pracę Srebrny Krzyż Zasługi i był w grupie najbardziej wyróżnionych pracowników tej budowy.

Później został wybrany na Przewodniczącego Gromadzkiej Rady Narodowej w Jodłowicach, a po rezygnacji z tej funkcji po 2 latach został Wiceprezesem GS-u w Brzegu Dolnym, gdzie pracował aż do emerytury. Ludzie w GS-sie bardzo go szanowali, pomimo że wiedzieli, iż raz na pół roku wpada w szał. Wtedy nie przebiegał w słowach, krzyczał a raczej ryczał, na twarzy robił się sino - czerwony i z ust jego padały straszne słowa: ty szubrawcu, bydlaku... itp. Dziadek wpadał w taki szał, gdy ktoś go chciał np. oszukać lub kłamał w żywe oczy - nie wytrzymał wtedy... Większość ludzi o tym wiedziała i wiedziała też, że jutro będzie... cisza, spokój i dobra atmosfera.

W tym okresie ludzi wykształconych było niewiele. UB czepiało się wielu ludzi zajmujących przed wojną jakieś stanowiska. Dziadek, mając przedwojenną szkołę zawodową handlową lub coś w tym rodzaju, bardzo dobrze radził sobie w każdym środowisku. Przechodząc na emeryturę z GS-u w Brzegu Dolnym, został praktycznie dożywotnio związany z tą instytucją. Pełnił różne funkcje od członka do Prezesa Rady Nadzorczej ku obopólnemu - rzecz by można - zadowoleniu stron, jeszcze przez kilkanaście lat. Dziadkowi sprawiało radość, że raz na miesiąc przyjeżdża po niego auto i że widzi się z ludźmi, z którymi przepracował tak wiele lat. Praca w Radach Nadzorczych w okresie władzy komunistycznej w Polsce była za jednodniową dietę. Dziadkowi jednak to nie przeszkadzało. Czuł się potrzebny i to było właśnie to. Dzisiaj praca w Radach Nadzorczych jest zwykłym złodziejstwem i przypomina raczej historyczną synekurę niż jakikolwiek uczciwy sposób dorabiania. Na zakończenie chciałbym jeszcze przedstawić dziadka rodzinę. Najstarsza córka Jadwiga, która wyszła za Mariana Burdzego, miała pięcioro dzieci. Córka Janka miała czwórkę dzieci - wyszła za Władysława Szulca, pochodzącego z Kozar, wsi polsko - ukraińskiej niedaleko Łukowca (podczas wojny Władysław Szulc uciekł z Kozar na Łukowiec i razem z łukowianami rodzina ta przyjechała na Ziemię Zachodnie).

Wujek Rysiek, syn dziadka, ma dwóch synów - Henryka i Marka.

Bracia dziadka: Ludwik miał dwóch synów - Andrzeja i Jerzego, drugi brat Stanisław - syna Józefa i dwie córki Hanię i Elżbietę. Obydwaj bracia dziadka mieszkali w Krakowie. Siostra dziadka, Henryka Wierzbicka miała niepełnosprawną córkę Alę. Brat Władysław, zamieszkały w USA w Filadelfi, miał syna i córkę (Henryka i Wandę).

Dziadek zmarł w 1989 roku w Brzegu Dolnym, pochowany jest na pięknym wiejskim cmentarzyku w Jodłowicach obok żony Marii. Śmierci się nie bał, przyjął ją spokojnie, jak żołnierz.

W ostatnich latach życia, kiedy dziadek bardzo narzekał na wzrok i kiedy po operacji w Legnicy wzrok ten nieco mu się poprawił, miałem przyjemność gościć go kilkakrotnie w

moim domu. Przyjeżdżał chętnie, przebywał po kilka dni, spał z moimi najstarszymi synami. Opowiadał im o wojnie, Saharze, o armii polskiej. Bardzo pragnąłem aby dzieci dziadka zapamiętały... Któregoś wieczoru, kiedy jak zwykle obaj poszli spać do dziadka, ni stąd ni zowąd przylecieli... Tato, boimy się! - Czego? - zapytałem... Tarantuli... Co? - Dziadziuś opowiada wam o tarantuli - tak - odpowiedzieli chłopcy - Nie bójcie się - tarantuł w Polsce nie ma - są w Afryce! - Uspakajałem maluchów. - No chodźcie, chodźcie - krzyknął dziadek, coś wam jeszcze opowiem. Jeden zdecydował się wrócić do dziadka, drugi chciał już spać z mamą. Nagadałem się wtedy z dziadkiem, nie grał już w szachy... Ciągłe coś opowiadał, o polityce mówił z nadzieją: „Powinno być lepiej” - wierzył w to mocno, twierdził nawet filozoficznie: „Ponieważ nie może być gorzej, może być tylko lepiej”.

- Jakoś czułem, że każda chwila spędzona z dziadkiem jest ważna. Gdy moja żona miała obawy, czy dziadkowi będzie u nas dobrze, czy wydoła z kuchnią, ze spokojem odpowiedziałem... Dziadek będzie jadł to co i my, nic się nie martw... Wie, że jest kryzys a cudów on przecież nie je! Gdy przyjechał drugi raz, żona już się tej wizyty nie bała. Po śmierci babci dziadek przebywał też około roku w Krzeczynie u swojej ukochanej wnuczki Danuty Czerwińskiej - mojej siostry. Później powrócił do Starego Dworu do córki Janki, gdzie już przebywał do końca życia.

Filozofia życia dziadka była dość prosta... W każdym ustroju idzie się dorobić... Złodziei nazywał „szubrawcami” i było to jego ulubione słowo na określenie złych ludzi. Do PSL-u należał, a gdy go zapytałem, dlaczego? - odrzekł. „Chciałem coś dla tej naszej wsi zrobić a taka była sytuacja, że będąc w PSL-u mogłem, stojąc na boku - nie”. Komunistów nie lubił, ale ich tolerował... Dziwił się, że często są to złodzieje pierwszego gatunku. Gdy w kościele katolickim wprowadzono język polski, dziadek powiedział - „Wiesz, czy to w Palestynie, czy we Włoszech, czy na Węgrzech, zawsze w niedzielę były msze po łacinie - czuliśmy się, słysząc tę łacinę, jak w kraju i chociaż jej się nie rozumie, jednak jestem za łaciną”. Miał takie swoje, inne niż wszyscy zdanie.

Dziadek korespondował z bratem Władysławem, ale także ze Stachowskim z Anglii, spotykał się też z kolegami z wojska i z policji, między innymi z Burakiewiczem służącym w plutonie Pionierów, mieszkającym we Wrocławiu, który przed wojną był mieszkańcem Lwowa i Tłumacza. Władysław Burakiewicz był przed wojną urzędnikiem skarbowym, na Zachód dostał się przez Rumunię. W plutonie Pionierów był tak jak dziadek plutonowym. Wojnę skończył tak samo jak dziadek w stopniu sierżanta. Ten urodzony lwowianin miał w swoim życiorysie epizody z okresu obrony Lwowa przed Ukraińcami. Wystawiony do czujki zwiadowczej na przedpolach Lwowa został schwytany do niewoli. Dowódca ukraiński kazał go rozstrzelać jakiemś młodemu chłopakowi. Jednak Władysław nie pozwolił zawlec się do pobliskich krzaków - doszło do szamotaniny. Widząc to dowódca ukraiński zdecydował, że rozsieką chłopaka szablami z koni. Ukraińcy powiadali na konie i wepchnęli Władysława do kółka z zamiarem posiekania go - ale stało się inaczej - chłopak tak wywijał się szablami, że żaden z Ukraińców nie mógł mu zadać śmiertelnego cięcia. Zabawa trwała kilka minut i skończyłaby się wiadomo jak, gdyby w pewnym momencie nie rozległy się strzały od polskich stanowisk - kule zaczęły świstać, konie się popłoszyły, niektórzy Ukraińcy pospadali na ziemię, inni uspakajali konie a jeszcze inni zaczęli za nimi biegać. Widząc to Burakiewicz zwietrzył szansę i zaczął uciekać w kierunku domków modrzewiowych, których było pełno na tej wychodzącej ze Lwowa ulicy. Ukraińcy dalej łapali konie i za bardzo nie przejmowali się tym, że Polak ucieka. Wiedzieli, że znajduje się on pomiędzy dwoma liniami ukraińskich strzelców i szansy nie ma. Burakiewicz tymczasem wbiegł do najbliższego modrzewiowego pustego domu i po schodach pobiegł na piętro. Tam zobaczył drabinę przystawioną do dachowego okna. Wszedł po niej na dach i jak Zagłoba wciągnął ją za sobą a później zamknął okno. Usadowił się przy kominie i tam siedział skulony, modląc się tylko o jedno; żeby Ukraińcy nie wpadli na pomysł spalenia domu. Gdy po chwili strilcy zaczęli szukać zbiega, nie przyszło im do głowy, że jest on na dachu. Doszli do wniosku, że poleciał do innego modrzewiowego domu, pobiegli więc penetrować dalsze wille. Na drugi dzień Ukraińcy wycofali się a teren zajęli Polacy. Kazimierz był uratowany. Wylądował w szpitalu, gdyż miał

kilka draśnięć, nie były one jednak groźne. W domu radość z odzyskanego chłopaka była wielka. Tę historię opowiedział mi syn Pana Władysława, Kazimierz, mieszkaniec Wrocławia. Innym kolegą dziadka był Stefan Ściobłowski, policjant z Chodorowa, mieszkający w Lubinie na ul. 1-go Maja. Kilka domów dalej od dziadka mieszkał w Starym Dworze Stanisław Starkiewicz, który był także w armii polskiej na Zachodzie i był także w Egipcie - jednak w innym miejscu niż dziadek. Starkiewicz dotarł do Egiptu i przeszedł szlak armii polskiej podobnie jak Dziadek, jednak na Zachodzie nigdy się nie spotkali. Byłem kiedyś świadkiem rozmowy Dziadka ze Stanisławem Starkiewiczem. - Wie pan, Panie Antoni - mówił Starkiewicz - dowódcą mojego plutonu był pański kolega ze Stanisławowa i gdy dogadaliśmy się, że jestem pana znajomym z Łukowca, miałem u niego chody". - Rozmowa ta miała miejsce jakieś czterdzieści lat temu. Starkiewicz bił u dziadka świnie a ja asystowałem przy tym obrządku i słuchałem, jak rozmawiają dwaj żołnierze. Gdy na końcu zapytałem dziadka o rzeczy, których nie usłyszałem, Ten wyjaśnił mi wszystko w taki sposób, że na zawsze zapamiętałem, o czym gawędzili. Chciałbym jeszcze opisać pewne drobne wydarzenie. Otóż, gdy byłem studentem, przyjechałem kiedyś z moim przyjacielem, Markiem Borowikiem, do dziadka, aby pochwalić się, że umiem już grać w brydża. Marek był dobrym brydżystą i liczyłem na sukces. Dziadek przyjął wyzwanie, poszedł po najbliższego sąsiada, Ludwika Martkę i zaczęliśmy grę. Rozwalili nas dwa razy, raz bez partii, a raz z partią. Na swoje usprawiedliwienie mogę jedynie powiedzieć, że zapis brydżowy dziadka był jakiś niezrozumiały. Oni mieli robra, a my wyjaśniamy, że jeszcze go nie ma. W końcu Marek mówi: - Ty, to jest zapis austriacki a nie międzynarodowy. - Nie było siły, musieliśmy grać austriackim.

Łukowianie dobrze zaadaptowali się na Ziemi Śląskiej.

„Piorun”, Z-ca komendanta bazy Topór czyli Łukowca, miał zakład fotograficzny w Opolu, Kryciński Józef był ordynatorem szpitala w Środzie Śląskiej i sprawował w tym mieście w radzie miejskiej różne funkcje. Stach Watras założył Liceum Ogólnokształcące w Brzegu Dolnym. Pełnymi pułkownikami byli Kryciński Edward i Iwanicki. Franek Drozd był dyrektorem banku w Wołowie, a później w Legnicy, Izabela Skrybant - Dziewiątkowska założyła zespół muzyczny o nazwie „Tercet egzotyczny”. Mieszkający przez okres wojny na Łukowcu Kazimierz Dziedzic był prorektorem Uniwersytetu Wrocławskiego. Franciszek Hawrysz ukrywający się u Bzikotów był dyrektorem Liceum Technicznego w Lubinie. Można by tych przykładów jeszcze wiele mnożyć - słowem, Łukowianie dobrze zaaklimatyzowali się na Śląsku i trwają.

Ojciec mój przez wiele lat był pracownikiem Rokity Brzeg Dolny oraz nauczycielem tj. dochodzącym w Technikum Chemicznym w Brzegu Dolnym, po przeniesieniu do Lubina pracował w Kombinacie Budownictwa Ogólnego jako główny księgowy a później już na niższych stanowiskach w Kombinacie Górniczo-Hutniczym Miedzi oraz w Zakładzie Transportu.

Konkluzja:

Oczywiście w pewnych miejscach musiałem coś niecoś dodać od siebie, aby tekst stanowił jedną w miarę możliwości zamkniętą całość - jednak nie próbowałem zmieniać żadnych faktów czy nawet modyfikować opowiadań dziadka. Jeżeli on sam coś w swoich opowieściach dodał, to już tak musi zostać. Zapewniam jednak, że dziadek był człowiekiem prawdopodobnym i z igły nigdy nie zrobiłby przysłowiowych wideł.

W trakcie pisania i gromadzenia materiałów dużą pomoc otrzymałem od mojej siostry Marii Muszyńskiej, która chętnie przekazała mi album ze zdjęciami dziadka. Poszukiwania moje wspierała także ciocia Janina Szulc, która wypożyczyła mi sporą część dokumentów. Pewne zapisy i dokumenty utwierdziły mnie w przekonaniu o niektórych faktach, niektóre musiałem zweryfikować. Zaczynając pisać „Życiorys” nie byłem pewien, czy dziadek był w Palestynie tylko raz. Po przeglądnięciu albumu i zapoznaniu się z datami pod zdjęciami wiem, że na pewno był tam przynajmniej dwa razy. Pierwszy raz przed formowaniem III Dywizji Strzelców Karpackich a drugi raz na urlopie, po kampanii libijskiej.

Nie znalazł się, niestety, kalendarz dziadka z 1944 roku, o którym już pisałem. Nie znalazły się też dyktowane przez dziadka zapisy mojej siostrze Danucie Czerwińskiej, które mogłyby znacznie poszerzyć jeszcze życiorys dziadka. Medale dziadka, które mam, są także niekompletne, ale dwa najważniejsze, tj. odznaka za Tobruk i krzyż za Monte Casino są.

Niektóre fakty z życia dziadka trudno mi było umiejscowić. Na przykład takie zdarzenie, że któregoś dnia stał na warcie i zasnął. Mówił, że zrobiło mu się słodko i tyle... Tymczasem nad ranem przyszedł żołnierz, aby go zmienić i zobaczył, że dziadek po prostu zamarzł. Narobił krzyku... Przyszło jeszcze kilku żołnierzy, ciało wrzucono do szopy na liście, rano trzeba je pochować. Wszyscy już wiedzieli, że Faszynkieder zamarzł na warcie. A tu dziadek nad ranem wstał, otrzepał się z liści i poszedł do żołnierzy, osłupiałych z przerażenia. - „Ty żyjesz!”... Dziadek nie bardzo wiedział, co się stało. Nam mówił: - Jeszcze mi się widać to serce kołatało, w tej szopie było ciepło, a w tych liściach odtajałem i żyję. Gdzie to zdarzenie miało miejsce, nie mam pojęcia. Jedna z moich siostr powiedziała, że na Węgrzech, choć ja raczej umieściłbym je w górach w Iraku. Kiedy indziej znów mówił, że we Włoszech spał w ziemnym bunkrze z kolegami i nagle coś kazało mu wstać i wyleźć z tej dziury, jakby jakiś głos natrętny. Więc wpółprzytomny z kocem w rękach wyszedł i odszedł z dwadzieścia metrów od tego bunkra. Był tak zaspany, że nie bardzo kojarzył, co się wokół niego dzieje - dopiero straszliwy wybuch obudził go i uświadomił mu, że tych, z którymi, spał już nie ma. Boże - mówił - choć cię nie pojmuję, dzięki Ci.

Opowiadał też dziadek, że w Afryce żołnierze mieli siatki do spania chroniące ich przed robactwem i groźnymi pajakami. W Palestynie nad morzem rzucali kawałki chleba ptakom, a te łapały go w locie. Widział raz, jak żołnierze znaleźli na pustyni skorpiona, rozlali dookoła niego benzynę i podpalili. Gad się zwinął i wstrzyknął sobie śmiertelny jad, popełniając samobójstwo.

Pozostaje nierozwiązany problem autora drugiego pamiętnika. Ani razu w jego treści autor nie wymienił swojego nazwiska. Jest więc prawdopodobne, że mógł zginać, a dziadek pamiętnik wziął albo mu go dano jako pamiętnik po koledze. Mniej prawdopodobne jest, aby dziadek ten pamiętnik dostał od żywego żołnierza, bo i po co. Żyjący autor może zawsze ze swoim dziełem zrobić więcej niż ktoś, komu takie dzieło wpada w ręce. W pamiętniku jest zapis, że w kompanii nie ma ani jednego oficera. Z tego wynika, że autor nie był oficerem, bo napisałby, że: „z oficerów tylko ja zostałem” czy coś w tym stylu. Wynika z tych słów, że był żołnierzem lub podoficerem. Dziadek najprawdopodobniej go znał. Myślę, że był on tak jak i dziadek podoficerem. Na to wskazuje jego pewne rozeznanie w sytuacji, a także ostatnia strona zawierająca liczbowe ujęcie plutonu i wymienione niektóre nazwiska żołnierzy. Na uwagę zasługuje też fakt, że dziadek i autor pamiętnika mają dość podobne rozeznanie sytuacji, podobną mentalność, podobnie zapisują i podobnie widzą to co się wokół nich dzieje. Na zakończenie pragnę jeszcze raz podzielić się pewną refleksją; opisując dziadkowe dzieje trzymałem się w zasadzie opowiadań relacjonowanych kilkanaście i kilkadziesiąt lat po wojnie. Częściowo są one pozbawione już lęku o życie, znoju żołnierskiego, wiele w tych opowieści ma anegdotyczny charakter. W pamiętnikach jest ukazany trud i czyhająca na żołnierzy na każdym kroku śmierć. Czy to jedno z drugim się uzupełnia i tworzy całość? Mam taką nadzieję. I jeszcze jedno co rzuca mi się w oczy. W obu pamiętnikach odczuwa się stałe nękanie żołnierzy ostrzałami artyleryjskimi nieprzyjaciela. Ale tak naprawdę to przewaga ognia była po stronie aliantów. Te bombardowania niemiecko-włoskie a później niemieckie miały swój odpowiednik w bombardowaniu pozycji niemieckich przez aliantów i to najprawdopodobniej jeszcze bardziej intensywnych.

Same pamiętniki są wspaniałe. Pisane poprawnie w trudnych warunkach frontowych z użyciem zrozumiałych form i ocen. Autorzy posiadają pewną wiedzę wojskową i polityczną. Dziękuję swoimi refleksjom, Nie boję się też napisać, że mają one również jakąś wartość historyczną.

Pamiętnik pierwszy

Na obczyźnie i kampania libijska



Autor: Antoni Faszynkieder

Pamiętnik

od dnia 23. VIII. 1939 r.

Baszynkieder Antoni

Dnia 23. VIII. 1939r. Delegowany wraz
z Hwareckim. i Konieczka ze Stonista
wowa do Dowódz. Baonu Korpusu Obr.
Pogranicza w Delatynie.

Dnia 29. VIII. 1939r. Przydzielony do dyspoz.
Dowódcy Placówki Półworskiej Hydriatu II.
majora Swidy w Strzys, z Kóbką i Pote
ratą z por. Hadwornickiego.

Dnia 30. VIII. 1939r. przydzieleni zostaliśmy
do okresowych posterunków granicznych
wraz z rancarmami P. D. J. Kopr. Hornia
kiem i Dejnetą i post. Nowickim, pod dow.
porucznika Grabowskiego.

Dnia 31. VIII. 1939. przybyliśmy z Konieczką,
Nowickim, Horniakiem i w kilka dni
później przyjechał Dejnetę do Tucholki
do specjalnych zadań na tym terenie.

Dnia 14. IX. 1939r. z rozkazu wtadę policyjną
opuszciliśmy wraz z ratą miejscowego
Pstr. P. J. którego komd. był st. post. Drab
Tucholkę udając się do Łorowej skąd
następnego dnia powróciliśmy.

Dnia 18. IX. 1939r. z rozkazu porucznika
Grabowskiego opuściliśmy Tucholkę udając
się do Pkolego, celem przekonajowania

taborów wojskowych przez teren zagro-
ny przez dywersantów ukraińskich ze
Łkolego do Ławornego.

Dnia 19. IX. 1939r. powróciliśmy do Tuch
olki celem koncentracji policji, skąd wiero-
nem odmaszerowaliśmy do Klimca
przygranicznej wioski

Dnia 21. IX. 1939r. o godz. 7⁴⁵ przekroczyli-
śmy z kompanią policyjną Stryska
na przelocie Tucholskiej granicy Polsko
Węgierska, udając się do Wini Wiercha
po stronie Węgier tam otrzymaliśmy broń

Dnia 22. IX. 1939. podzielono nas na
kompanie i tu wystawiono mi 274 pengi
jako sekretarowi Stryskiej pol. komp.
Tęda nas na kotł przypalający po 2. p
na szeregowego a po 40 pengi na oficera
na 10 dni.

Dnia 23. IX. 1939r. wyjechaliśmy koleją ze stacji
Wotowiec w skład Węgier przeważnie polskimi
taborem kolejowym.

Dnia 25. IX. 1939r. wyładowaliśmy się
na stacji kolejowej Tótkél w pobliżu
Budapesztu. Skąd nas zakwaterowa-
no w opustoszałych stajniach folwarku
Jermianajev.

Do kilku dniowym pobycie 465 ludzi w tych stajniach, przewieziono nas samochodami ciężarowymi do innego folwarku Felső-sziniogpuszta również do stajen lepiej urządzonych ale dla koni i bydła.

W kilka dni później w wymienionych stajniach odprawiono msze św. podczas której kilka set policjantów przystąpiło do stołu Bonistki a zaintonowana na zakończenie mszy pieśń „Bóg cię polski” była raczej wyszłuchana.

Warunki w jakich znaleźliśmy się były różne. Władze ludności Węgierskiej ustosunkowały się do nas bardzo przychylnie, a jedynie stajnie te nie nadawały się na mieszkanie dla ludzi, betonowe żłoby podłoga i ściany przysparzały chorób reumatycznych, tak że kilku już poruszać się nie mogło.

Do kilku tygodniowym pobycie na skutek chorób reumatycznych u ludzi z tych stajen przeniesiono nas do Fiskundlachazy do opuszczonego zameczku zwanego pod węgiersku „Szenthiraly - Kaszall” około kilometr od miasteczka Fiskundlachaza, gdzie cześć ludzi umieszczono po kwaterek prywatnych a cześć ulokowano w tym właśnie zameczku, gdzie jednym i drugim było już dobrze.

W pokoju którym mieszkaliśmy między nami byli przeważnie policjanci z powiatu Rudeskiego a to Baranowski Michał, Wit Ludwik Bajorek Władysław ten z Trakowa, Andrzejowski Jan, Pankiewicz Bronisław, Antoniewicz Ludwik, Cudrilo Wojciech, Adamuszek Józef

Hopszta Jan ze Skolego, Bryta Jan, Czech
Emil, Muszyński Stanisław, Ruczkowski Thari-
mier ze Stawsko, Napora Stanisław z Choziovej
Bartosz Józef ze Stryja, Poterato Bronisław
z Kadubyny, Psótko Stefan z Worochty i Helśki
Michał z Rudeckiego.

Dowodca polskim na zamiek był komison
Rouwriniak, węgierskim Hlamojer podp.
catego obozu rolnistn Rosner Thalmann
a polskim komisarz Oktawian Jan

Przydzielono również dwóch lekarzy do tych
obozów a to polskie kapitał Thapacka
Marelego i węgier podpor. Pintera oraz
kiedra kapela na strata Michalskiego.

Dnia 6. XII. 1939r. obozy nasze pierwsze
raz wzięły udział w uroczystości św. Węgieńskiego
Imienion Prezenta Kapłan Mikotaja Flotygo

Dnia 10. XII. 1939r. otrzymaliśmy pierwszą wiadomość
z Krakowa od brata Stanisława

Dnia 18. XII. 1939r. otrzymaliśmy list od ojca
brak u niego wiadomości o rodzinie i druziźnie

Dnia 19. XII. 1939. Floniwsko wyjechał

Dnia 23. XII. 1939r. zachorowaliśmy na
grypę, święta Bożego Narodzenia były
dla nas ciężkie i smutne z różnych
względów które są prawie że znane
wszystkim.

Polskie koledy śpiewane w madziarskim kościele w dniu św. Bożego Narodzenia przez Polaków, w takiej chwili i sytuacji jakiej my się znaleźli byty bardzo boleśne dla wszystkich, nawet ludności węgierskiej która była na tym nabożeństwie, płakało dostojnie wszyscy.

Dnia 10. I. 1940r. otrzymałem telegram z domu od żony a podpisany przez Janka

Dnia 11. II. 1940. otrzymałem od brata Władka z Ameryki 55 pengó i 60 felerów

Dnia 24. II. 1940. otrzymałem od niego list.

Dnia 4. III. 1940. przyjechali do Hiszpanoschere z Hiszmaros. Jóseph Józef, József Jan Chraszer Władysław z Krakowa, po zlikwidowaniu obozu tam.

Dnia 2. IV. 1940r. otrzymałem pierwszy list od żony z dnia 8. II. b.r. pisany przez córkę Jadwigę, w którym donosiła mi, że są zdrowi trzy listy odemnie otrzymali również otrzymali od ojca i brata z Krakowa by się o nich nie martwić.

Dnia 4. IV. 1940r. otrzymałem list od siostry z Kraji z Oskrysiem.

Dnia 22. V. 1940r. otrzymałem drugi list od żony i córki z dnia 3. IV. 1940r.

Dnia 23.V.1940. wyjeżdżat Tropko.

Dnia 2.VI.1940. wiezka nie udana z
obozu w Thiskunlachary na Węgrzech.

Dnia 3.VI.1940. powtórna wiezka
z obozu do Budapesztu i wyjazd do niego
o godz. 22³⁰.

Dnia 5.VI.1940r. o 5⁵⁵ wyjazd z Buda-
pesztu do obozu cywilnego nad gra-
nicę jugosłowiańską miejscowości
"Lomogij-Berexence" i wyjazd tam o 15³⁰
Dnia 16.VI.1940. o godz. 24⁰⁰ przekroczeniem
granicy Węgierska-jugosłowiańska
między Berence a Zidala po stro-
nie jugosłowiańskiej

Dnia 7.VI.1940. o godz. 4tej meldowa-
łem się na posterunku Landarmenji
jugosłowiańskiej w Zidalu, a o godz. 6tej
przeprawiliśmy się łodzią przez rzekę
Drawe udając się do najbliższej sta-
cji kolejowej Virje, skąd o godz. 11¹⁵
odjechaliśmy do Illostor a następnie
do Krizeva z kąd o godz. 20⁴⁵ odjecha-
liśmy do Zagrzebia gdzie przybyliśmy o
godz. 21⁴⁵

Dnia 8.VI.1940r. o godz. 19⁰⁰ odjechaliśmy
do Splitu odnalezliśmy tu kolegów
Hawarskiego i Gebala

Dnia 1. VI. 1940. o godz. 7⁰⁰ przyjechalismy
do Splitu, po przyjeździe nas przez Dowode
tej placówki J. Geibela zakwaterowa
no mnie w pensjonacie „Split” tuż
nad morzem Adryjatykiem.

W czasie mego pobytu w Splicie zwie
dziłem także tego miasta jak i jego
okolice; a to Muzea archeologiczne
z czasów przed chrześcijańskich, pierwszych
i późniejszych wieków chrześcijańskich.

Wykopaliska amfiteatru miasta Sa
lone dawnej stolicy cesarów Rzymskich
w których stawano na porzeczce drzewami
zwieśniętymi pierwszych chrześcijan na
publicznym widoku cesarów ich dwo
re i zebranej publiczności oraz zwiedziłem
odkopane przez ks. Bulicę, świątynie tego
miasta pałac władców, ich przewoźne
karnie i cmentarz z grobowcami.

Zwiedziłem Muzeum Narodowe Ju
gosławii, przedstawiające prastarą
kulturę Słowiańską, jak i banatów
Jugosławii, jak Dalmacji Chorwacji
Bośni Hercegowiny i Czarnogóry, przepiękne
stroje tych ludów, porównawczy od pastery
a skomplikowany na arystokracji.

Następnie zwiedziłem w Splicie katedrę
budowaną za Dioklecjana Rzymskiego
cesarza, Góre a także półwysp Marjan
park deszczowy przemieniony dawniej na
tury dla cesarów.

Zwiedziłem stare jakby zachowane
w postępie miasto Trogir za bytki
jego jak baszty, domy, kłanoty obronne
tego miasta katedrę w której to królowa
nasza Sw. Jadwiga modliła się
po śmierci swego ojca, króla Ludwika
Węgierskiego będą jeszcze panna, domy
i kościoły z trzynastego wieku.

Dnia 18. VII. 1940. Zwiedziłem klasztor c. k.
Franciszkańców w Splicie budowany
w trzynastym wieku, obrary i otłone
a w szczególności tabernakulum oraz księgi
z roku 1659. ozdoba moraiha pisane
na pergaminie z kory skóry, są to
psalmy Dawida, ręcznie drukowane
~~z roku~~ swecznego zakonnika specjalnie
dotieraniem farisei niejakiego Ojca
Bonawanture na te przeróżnych
wzorów moraih i obrarów, a wykona-
nie tych ksiąg trawo 16 lat.

Dnia 31. VII. 1940r. Przyjąłem Sakrament
bierzmowania z rąk J. E. Ks. Biskupa
Radonińskiego, który przybył z Trogir
do Splitu jako wicekierownik.

Dnia 3. VIII. 1940r. wyjechaliśmy ze
Splitu, przypuszczalnie do Starlowanu
a w szczególności do Stupa-Seta
za Zagreb.

Dnia 13. viii. 1940. Wyjechaliśmy z Dugo Sela
do Zagrzebia.

Dnia 19. viii. 1940. Wyjazd z Zagrzebia przez
Beograd do Utranie gdzie przybyliśmy
20. viii. 1940. o 15⁰⁰.

Na wstępie do tego miasteczka napotkaliśmy
na trudności, ponieważ miejscowy starosta
nie chciał nas przyjąć, dopiero interwencja
Polskiego Konsulatu w Beogradzie spowo-
dowała że nas przyjęto.

Utranie jest to serbskie górskie miastecz-
ko o 8 tysiącach mieszkańców, ludność
bardzo biedna przeważnie rolnicza.

Przy zwiedzaniu tamtejszych cerkwi napot-
kaliśmy na taki obyczaj religijny „ślub”
para nowożeńców, przybyła do cerkwi
rozprawia głośno ze sobą. Zgośmił imię
się a pop „ksiądz” odprawia przewidziane
modły i ceremonie religijne a inni
goście z taką samą uciechą rozmawiają
a nawet mają niektórzy na kryciach
głow, po skończonym ślubie wtedy
przez podchodzą do siedzącego koto-
łowi Driaka i pyta po serbsku ile
ma płacić = 400 dinaarów „pauzaje”
któżnia w końcu płaci potowe.

Wiera, Bóg, kościół czy cerkiew, są
wymieniane i na ostatnim miejscu.

Dnia 1. IX. 1940r. wyjazd z Jugosławii
z Vranii.

Dnia 2. IX. 1940r. przejazd o g. 9⁰⁰ przez
granice Bułgarii
o g. 20³⁰ przejazd granice Grecja
- " - 22³⁰ - " - " - Turcja

Dnia 3. IX. 1940r. o 8¹⁵ przyjazd do
Istanbulu, "Konstantynopola"
w Turcji

Dnia 4. IX. 1940r. zwiedziłem okre-
tem przez morze Bosfor wyspy
Prisarence, w Turcji

Dnia 5. IX. 1940r. zwiedziłem okre-
tem przez zatokę "Złoty róg"
Istanbul, Meczet, kościół
św. Sofji, złote moszki i części
wo podziwieniu malowidła które
Turcy przy kamieniu na murze
zamalowali, kościół ten jest jeden
z największych na świecie.
Türk süttana, Muzea wojskowe
urządzone w kościele. przez władze
wojskowe Turckie.

Dnia 8. IX. 1940r. wyjazd z Istanbu-
tu, kolejną przez Turcję do portu
Hersin

Dnia 9. IX. 40r. g. 23⁰⁰ przyjazd do
portu Mersin. w Turcji

Dnia 12. IX. 40r. załadowanie na
polski statek "Warszawa" w porcie
Mersin. z Turcji

Dnia 15. IX. 40r. godz. 22⁰⁰ wyjazd
okretem "Warszawa" do wysp Cypr
a następnie do portu Hajfy w Pa-
lestynie.

Dnia 17. IX. 40r. o g. 12⁰⁰ przyjazd do
portu Hajfa w Palestynie

Dnia 20. IX. 40r. wyjazd z Hajfy i
przyjazd do I. P. S. P. "Latrun"
przydzielony do Komp. Dowodzenia
plet. pionierów.

Dnia 23. IX. 1940r. otrzymałem list od
brata z Krakowa wystany do Splitu
do Jugosławii, w miejscowości "Latrun"
obok Emata Palestyna.

Dnia 27. IX. 40r. wyjazd na strzelnicę
między Jafa a Lerafa w Palestynie

Dnia 29. IX. 1940r. Wyjazd do Jerozolimy z Latrum Palestyna zwiedzenie Betlejem gdzie Pan Jezus się narodził. Złobka gdzie się narodził. Groty gdzie Matka Boska karmiła Jezusa zwiedzenie Jerozolim Góry Oliwnej ogrodu kościoła i miejsca na którym się Pan Jezus modlił przed pojmaniem go.

Drogi Jerozolimskiej miejsca z które go Piłat pokazywał Jezusa tłumom mówiąc oto człowiek aby się opowiedzieli czy ma go uwolnić czy ukrzyżować. Dom Piłata miejsce w którym Jezus czekał na wyrok, miejsce bixowania.

Golgota, na której stoi bazylika poświęcona przez księży i prawosławnych a zaledwie coś próż księży

trymsko katol, miejsce na którym ukrzyżowano Pana Jezusa otwór pękniętej skały miejsce gdzie stała Matka Boska jak Pana Jezusa ukrzyżowano wreszcie Grób Pana Jezusa.

Grób Matki Boskiej i wiele wiele innych religijnych pamiątek.

Żydowska Isciane płacze i grób Racheli matki Żydostwa.

144
Dnia 2. I. 1940r. Wyjazd z Latrun
do Egiptu, wraz z całą Brygadą

Dnia 3. I. 1940r. ok. 7⁰⁰ przekroczenie
granicy Palestyny a Egiptu przez
khanat Tueski koło Elkantara.

Wieczorem przybycie na miejsce nad
jezioro koło Dikhela za Aleksandrią

Dnia 6. I. 1940r. wyjazd do Komp.
Saperów, plut. pionierów t.p.s.k.
do miejscowości koło morza zwanej
El Dikhela koło Aleksandrii.
w Egipcie. 29. I. 40r. wystanie listu do brata do Ame-
ryki.

Dnia 1. XII. 1940r. po raz drugi byłem w Aleksan-
=drii, portowym mieście Egiptu.

Dnia 18. XII. 1940r. zwiedziłem obóz jeńców włos-
kich, koło Aleksandrii w Egipcie. "Dikhela"
zabranych w Sidi Barani przez Australczyków

Dzień 24. XII. 1940r. "Wieczór Wigilijny"

Wspólna kolacja plutonów pionierów
w kompanji Saperów z Saperami oficerami
komp. Sap. oraz Dowócy Brygady Generała
Stanisława Kopanistego, w namiotach
również odbyły się mszy w obydwie dni
Świąt i tak spędziłem Świąta w Egipskiej pustyni.

Prok 1941r.

Rozporządzeniem z wola Boga w Afryce,
nad morzem w Śródziemnym w m.
Dikeili obok miasta portowego
Aleksandrii w Egipcie, w pustyni
kamienistych pagórkach, które są
razem z piaskowatą pustynią.

Dnia 21. I. 41. przesłuchanie w Sadzie Pol.
w charakterze świadka w sprawie
oskarżonego sap. Mandzianza.

Dnia 31. I. 41r. przybycie plut. Sap. do Łompy.
Dow. 1. B. S. B. S. 18.

Dnia 10. II. 41r. wyjazd z Plut. w raz
z Łompy. Saperów na kurs do
Ismaili nad Kanat Sueski
w Egipcie.

W niaś świadectwanych wolnych od rzezi
z wiedzitem miasto Ismaille
Port, parli, Kanaty łączące się
z portem i Kanatem Sueskim
oraz pomnik zwycięstwa roku
1914-1918. wojsk angielskich
nad tureckimi nad tym
Kanatem dzielącym Afrykę
w niektórych miejscach od

- Śródziemne z Prerwowym.

Dnia 3. IV. 41r. wyjechatem z Ismailij do
Brigady Koto Aleksandrii.

Swięta Wielkanocne spędzilem z kolegami
w Komys. Drwoderenia 1. B. S. 13. S. 14. z nadzieją
że przysze Wszechmogący Bóg, pozwoli
spędzić w Posce.

Dnia 16. IV. 41r. przenieśmienie w porzeje.

2. V. naloty większe za Hola Boga bez rad
nych strat dla nas, bomby spuszczone
na spadochronach nie eksplodują
zostają przed wybuchem rozbrojone.

Dnia 24. V. 41. wyjazd na inne miejsce
Mersa Matruh, nad brzegiem
morza Śródziemnego. przyjazd 25. V. 1941.

Od 9. VI. do 18. VI. 41r. naloty samolotem
niem. na rejonowaną przez nas
miejscowość i porzeje, mimo tak
silnego bombardowania po kilka
dziesiąt bomb. ^(co dzień i noc) Jednego zniszczenia
z naszych raniono. Opatrzność Boża
nas chroni, widai nie zaprzeczalnie.

Dnia 29. VI. 41r. wysłałem list do Ameryki
do brata już któregoś czasu, uciśnięty bez rad
nej odpowiedzi.

5. Lipca 41r. Wyjazd z Marsa Matruh
do Sidi Hanisz,

17. Lipca, 41r. Odjechał D-ca plut. pion.
podpor. Wysocki Wacław do L.O.

18. Lipca 41r. Wyjechał nowy D-ca. pl. pion.
por. Friege Bernard.

Na tym m. p. nowy D-ca. pl. rządowych
zmian nie robił, prace w pl. szty jak
poprzednio.

18. Sierpnia 41r. Wyjazd z Sidi Hanisz, do
Amriji pod Aleksandrię w Egipcie,
tu zdatem sprzęt saperów I. Bzoru S.B.Sh.
części sort mundurów ~~posobiste~~ i
pluton.

22. Sierpnia 41r. Wyjazd z Amriji do portu
w Aleksandrii, skąd po zataśowaniu
na kontrtorpedowce Angielskie odje-
chalismy do Tobruku.

W czasie podróży morzem, samoloty
npl. próbowały nalotu na nasze
okręty, lecz siła eskadry "myśliwców"
czy innych posągowych samolotów prze-
ciwiała je tak, że spokojnie przybyliśmy
do Tobruku og. 23^{go}.

23. Sierpnia 41r. Odszukałem pluton, który
poprzedniego dnia przybył do Tobruku
meldując D-ey, o zdania wszystkiego
sprzętu w porządku.

Pierwsze wrażenia z Tobruku.

Miasto i port zniszczone, z miasta iupy
guru, a w porcie sterwa tylko maszt

zatopionych włoskich okrętów, tak, że
z trudem okręt holuje do portu, a resz-
ta pustynia i morze, tylko drogi asfaltowe
znawra że istniało tu życie ludzkie.

W Tobruku zmieniał nasz Baon
dość często miejsce postoju, w zależności
od potrzeb, plut. pion. miał specjalne
zadania przy mineralnych, bardzo niebezpie-
cznych.

7. Września 41r. Ginie pion. Lech Jan od wybuchu
miny pułapkowej na włoskim odcinku
położony w Tobruku War Cemetery str. 735.
Miejsce poległego przechodzi do plut.

7. Września 41r. St. pion. Bartoszak Władysław
i ginie w podobny sposób bo odminy
tylko z dodatkiem artylerji npl.

26. Września 41r. D-ca plut. por. Krieger.
ciężko ranny w nogi. zast. pion. podh.
Członek plutonu a St. pion. Kosiński
i St. pion. Borek, naszego plut. lekko
ranny, zaś szofer. z pl. mord. Szewczyk
ciężko ranny w nogi,
Pluton bez dow. i zastępy porostaje
kilka dni - Po kilku dniowym pobycie
w szpitalu wraca zast. dow. pl. i pluton
zmieniając m.p. zmienia pracę
na fortyfikacyjną już mniej niebezpie-
czna bo jedynie artyleria npl. tylko
przeszkadza ale dzięki Opatrności
Boga i Szatki Bożkiej jakoś nam
do dnia dzisiejszego d.j. 25. X. 41r. uchodzi.

Z 30 na 31. X. 41. w nocy Patrol z 1. Bp. Rakolem
pod D-tem p.p. Musiata z 4. Komp. Str.
oraz ośmiu ludzi z tej kompanii,
zadanie patrolu, rozpoznawanie i wyszukanie
min npl. na ich porzeczach.

Patrol zapuszcza się na 1800 mtr poza
własne porzeje w kierunku npl. min
nie napotyka, a napotkaniem jedynie
dwa moździerze włoskie a Rakol
oderwana ludzka ręka podchodzi
na 100 mtr. pod stanowiska C. i E. M. npl.
z których zostaliśmy ostrzelani, dzięki
Bogu wrócilismy wszyscy cali.

Z 8 na 9. XI. 41. w nocy podobny patrol.
pod D-tem p.p. Kubita z 3. Komp. Str.
po spełnieniu swego zadania patrol wraca
szczęśliwie.

14. XI. 41. Przybył do Tobruku, Wacław Wódz
i Premier Pradu P. P. w Londynie,
Generał Władysław Sikorski,
po odejściu przestaje rozkaz do D-ey Brygady
Gen. Hołenderskiego z Kairo stolicy Egiptu,
wyznaczając zadowolenie z mężstwa i ducha
Brygady w słowach, że dumnym jest
z naszej Brygady, dzięki jej w imię
nie Polski i Ona nam tego nigdy
nie zapomni, Wszystko co mogło się
zmieścić w tych słowach tego Wodza.

Z 20 na 21. XI. 41. Cety pluton Kierudziat
w wypadku z 4. Baonem, wypadł się
uścisnąć, zrobić włoskom i Niemcom
taką niespodzianą tarczę, że zapiszą

sobie w pamięci Polaków z Tobruku na zachodnim odcinku.

Straty po naszej stronie por. Drelichare ramy i dwóch zaginionych, reszta wraca dzięki Opiece Bożkiej do wiatym Batalionie.

2. 13 na 24. XI. 4hr.

Patrol z Matyjasikiem i Karkolem, pod B-twem p.p. Kowalskiego z 3. komp. Strzel. I. Baonu.

Zadanie: wybranie - rozbrojenie min wroskich przeciw wrogowych na odcinku 800 metr npl. połud. zach. Patrol podchodzi na odległość kilku dziesięciu metrów od npl. powstaje u nich ruch niemy kryjaka "for uns", dojeżdża do nas ogień z P. K. S. oświetla rakietami, jednak dzięki Bogu ogień od 5 do 8 metr za krótko przed nami, sytuacja dość nieprzyjemna, bo pole równe jak stół, strzelak nie wolno by nie siał ogień na siebie mordując i dając i nie zamieniając sobie odwrotu, wycofujemy się nie wykonując swego zadania.

2. 27. na 28. XI. 4hr. Patrol na zachodnim odcinku npl. z naszego plutonu jedynie, bez szeregów nijszych. przygod.

(Wypad na White Knoll.

2. 9. na 10. XII. 4hr. Natarcie i zajęcie Medaera koło Tobruku przez I Baon. najwęższym punktu wzgórza z którego npl. obserwował wszystkie porzuty Tobruku. Zabrano kilku dziesięciu wrochów w tym kilku niemień. materiału wojennego tak

Karabinów ręcznych i maszynowych
żywności soków, wina, wódki.
Znaszej strony, jeden razginiony.

12. XII. 41. Wyjazd z Dobruki do El. Aden.

14. XII. 41. Wyjazd pod Garale

15. popoł. natarcie I. Bronu na npl.
rajęcie jego poręczy, straty dość duże
10 zabitych i około 70 rannych.

Następne 16. lutym natarcie zabitych
poręczy.

Brygada rozlokowana się do
koniec roku 1941. w 1. lotu Garale
korzystała z zabitych typów
npl. i radzieliśmy sobie z Bożym
wrodzeniem jakże takie, zabrać
śliwowie, amunicję i wino.
Zanim koniecznie rok 1941. w pustym
1. lotu Garale, Przy danem nam bledzie
przyszły rok z koniecznie już w Polsce?
Pod tym znakiem zapytania
koniec dnia 31. grudnia 1941r.

Z Woli Boga rok 1942. wyruszając
wyjardem w niewiadome rozporządzeniem
pod Garalą w Afryce.

Dnia 8. I. 42r. wyjazd z pod Garali a przyjeżdżamy
do Luigi Rara, Kolonii Włoskiej w Erytrei.

Dnia 25. I. 42r. wyjazd z Luigi Rara, a
przyjeżdżamy 26. I. 42r. w pustynię na
południe od Demy do Mekili, celem
zatrymania npl. który w kontry ofensywie
posunął się pustynią na południe na
wiele.

Po kilku dniowym zatrymaniu
się i czasowym umocnieniu w dniu 3. II. 42r.
wycofujemy się z Mekili znowu pod
Garalę.

Na nowym miejscu postoju od nowa
fortyfikujemy wyznaczone nam
pozycje, by stworzyć taką obronę
na którą musi się wstrzymać npl.

Dnia 9. II. 42r. przed południem, nalot niemieckich
samolotów "Stuka" na nasze m.p.
pod Garalą.

Bombardowali bardzo silnie wielkiego
kalibru bombami i z miskiego putapu.
Linię na miejscu kilku ludzi a kilku

Dziesięciu rannych odwoła do szpitala
w Tobruku.

Dnia 10. II. 42 r. taki sam nalot i nie mniejsze
straty, jedynie odległość od poprzedniego
naszego m.p. jest o kilka dziesiąt kroków
większa. Wprosił ktoś stworzyć z nami
że żadnemu z naszego najbliższego sąsiedztwa
we nie się nie stało.

Także, że codziennie jedynie z zmienną
szronymi furjami nalatywali kilka
a nawet kilka nasie rary nadzien.

Obrona p. lot. nie widziata by spadł
samolot. npl. zaraz na miejscu,

Dnia 26. II. 42. wieczorem zbyt pewnie i nisko
npl. samoloty ugariały nad naszymi
porcjami, tak, że trzy z nich spadło na
miejscu, w jednym tylko uratował się
pilot niemiecki.....?

Także powoli biegi pod Garab

len ras. urozmaicony npl.

nalotami do dnia 17. III. 1942 r.

W dniu tym zdaliśmy swoje stanowiska
schrony mieszkalne „pietarnie” kuchnie
i materjał saperki angielskim
Pionierom. Potódnio Afrykancom.

O godz. 17³⁰ wyjechaliśmy samochodami
do Tobruku a stamtąd do Trepuro
stacji kolejowej wybudowanej przez
wojska angielskie w pustyni.

Jedną nową rzecz jest skres reorganizacji
przesuwania z jednego oddziału do drugiego.

W trakcie tego zostaje przeniesiony do Kandar-
mii w Gederze gdzie pełnił służbę kilka tygodni
służbę, skąd po powrocie przydzielono mnie
do Kancelarii Kom. Dowod. a następnie
rozkazem D-cy Baonu na Kierownika Sklep-
Żołnierskiego I. B. S. 12.

Praca na tym stanowisku jest bardzo my-
ślnie i niewdzięczna z różnych względów. Trudno jest
pogodzić wszystkie strony, jak wojsko jako
kierujących z D-ctwem jako gospodarza
a Komisję Kontrolną jako ramię Kontrolne.
Dnia 4. X. 1942 r. wyjeżdżamy do Iraku z Palestyny
gdzie dla mnie jako Kierownika pogarszają
się warunki prowadzenia sklepu z braku
towarów a 5-cio krotnie powiększonej sile
nabywców a na dobitkę zainstalowania
wyborowej sily sklepowej „Siemirskiego”.
W poszukiwaniu towarów wyjeżdżam po
400 klm. do Persji by można sklep jako
tako zaopatrzyć, a przejeżdżając do Bagdadu
kilka set klm. To na porządku dziennym
przy hamsinach pustyni braku dróg i nie-
znajomości języka i drogi.

Tak przesuwają się nasze wojska z jednego
końca Iraku na drugi wokół północy
z Iraku wyjeżdżamy do Tripoli w Syrii
skąd wyjeżdżamy do Beirutu w sprawach
handlowych

Pamiętnik drugi podoficera

kampania włoska



Autor: żołnierz nieznany

01 .XII.1943r. Kampania druga I baonu zwiedziła w miejscowości Qrassasiu w Egipcie (nowe m.p. Brygady) muzeum broni zdobycznej niemieckiej i włoskiej z ostatniej kampanii afrykańskiej. Obfity był sprzęt artyleryjski działa p.lot i p. panc. zarazem art. dalekonośna oraz czołgi z niem. Mk IV., nośniki dział art. i p.panc.

02.XII.1943r. Korzystając z tego że m.p. położone jest niedaleko stolicy Egiptu kompania (30l) odbyła jednodniową wycieczkę do Kaira - zwiedziła piramidy i sfinksa, była w ogrodzie zoologicznym, zwiedziła szczególniejsze zabytki miasta. Wieczorem tegoż dnia powróciła do obozu.

03.XI.1943r. W dniu dzisiejszym odbyło się strzelanie bojowe drużyn w obronie - oraz strzelanie szkolne, celem którego było sprawdzenie i przestrzelenie kb.

09.XII.1943r. W dniu dzisiejszym większa część komp. była przy spowiedzi Św., która odbywała się w kaplicy 3 baonu wg godz. popołudniowych. Także rozpoczęła się powolna likwidacja obozu.

10.XI 1.1943r. Po wczorajszej spowiedzi komp. w dniu dzisiejszym przyjęła komunię św.

11.XII.1943r. Uzupełniona była bielizna zimowa jakoż i rękawice i szaliki.

12.XII.1943r. Godz. 22.15 wyjazd z m. Quassasiutwórzaw m. Redde, gdzieśmy się załadowali na pociąg.

13.XII.1943r. o godz. 01.55 pociąg ruszył w kierunku Post Saidu, gdzieśmy przybyli o godz. 06.30 rano. Na statek nas załadowano o godz. 10.30,

14.XII.1943r. Dzień spędziliśmy na statku zatrudniając się porządkowaniem pomieszczenia nam przydzielonego, spacerami po statku i graniem w karty itd. Imię statku naszego Valendam -Rotludam

15.XII.1943r. Dzień przeszedł bez zmian.

16.XII.1943r. Do godz. 16.00 bez zmian, od tej godz. statek ruszył wraz z konwojem za pochmurnej pogody.

17.XII.1943r. Zaraz z rana było widać niezwykle ruch na pokładach. Większość żołnierzy pojechała do „Rygi”. Wieczorem kazano nam spać w ubraniach z przyczyn zrozumiałych.

18.XII.1943r. Sytuacja ta sama co w dniu poprzednim. W godz. przedpołudniowych dostrzec można było wzrokiem brzegi afrykańskie.

19.XII.1943r. Żadnych zmian nie ma. O godz. między 8.30 a 9.30. odbywały się nabożeństwa rzymsko-katolickie i prawosławne.

20.XII.1943r. W tym dniu pokazały się na widnokręgu morza brzegi Włoch. Wieczorem kazano nam się przygotować na jutrzejsze wylądowanie.

21 .XII 1.1943r. Rano nastał niezwykle ruch w związku z wylądowaniem się. O godz. 10.00 konwój nasz wpłynął w port miasta Tarento. O godz. 11.30 dobiło się do samego mola i rozpoczęło się wylądowanie statku. Kolej na naszą kompanię wypadła o godz. 2.00. Po złożeniu worków na samochód angielski kompania wyruszyła o godz. 15.00 pieszo około 4 mil na nowe miejsce postoju za m. Tarento. Po godz. 18.00 dotarliśmy na miejsce gdzie nam przydzielono namioty i kładliśmy się spać.

22.XII. 1943r. Rano był rozbierany sprzęt kompani, który jako bagaż przybył w godzinach nocnych i pozostaliśmy na miejscu aż do następnego dnia.

23.XII.1943r. W przededniu Świąt Bożego Narodzenia wydany został rozkaz do zlikwidowania naszego przejściowego miejsca postoju i być w pogotowiu do wymarszu. O godz. 11.30 kompania nasza powoli kolejno (rusza) na nowe miejsce postoju około 2 km oddalone od starego. Tam rozładował batalion swoje namioty (2 na jeden) by spędzić Święta B.N. w spokoju. Towarzyszyła nam w pracy paskudna pogoda.

24.XII.1943r. Po obiedzie zrobiono zbiórkę batalionu, przy czym nam składane były życzenia przez dowódcę baonu.

25.XII.1943r. W pierwszy dzień świąt odbyło się nabożeństwo, w którym uczestniczył cały baon **31.XII.1943r.** Ostatni dzień w nowym roku zakończył się zajęciami przedpołudniowymi. Wieczorem zaś ksiądz kapelan Świętoń - pogadanką i wspólna modlitwą.

Rok 1994

01.I. 1944r. Nowy rok rozpoczął się nabożeństwem. Dla żołnierzy zaś przepustkami do miasta Tarento.

04.I.1944r. Przesunięty został z komp. do kompanii 4-tej Zastępca dowódcy Misiewicz Józef. A na jego miejsce zaś z komp. 4-tej p.por. Musiał Tomasz.

10.I.1944r. Przesunięty został z kompanii nasz dowódca por. Ziemiński Ludwik na stanowisko oficera łącznikowego, a na jego miejsce przybył por. Kromkay Józef.

11.I.1944r. W godz. przedpołudniowych wydany został rozkaz do przygotowania się do wyjazdu. O godz. 14.45 kompanie zebrały się na zbiórce i o godz. 15.00 kolumna ruszyła na dworzec w mieście Tarento z któregośmy o godz. 17.00 ruszyli w kierunku miasta Bari.

12.I.1944r. Po całodobowej podróży przybyliśmy do m. Barletta, gdzie zjedliśmy śniadanie i po dalszej godzinie skończyliśmy podróż koleją w m. Canosa Di Pagilio. Ze stacji i na nowe m. p. dojechaliśmy samochodami ang. M.p. nasze oddalone jest 3 km. Na wschód od m. Miurino.

13.I.1944r. Cały dzień zajęty był przez budowanie namiotów, kuchni itd.

24.I.1944r. W dniu tym został wybudowany w komp. stół plastyczny przez z -cę d-cy komp. ppr Musiała Tomasza na podstawie szkicu zrobionego przez kpr. Czesaka Emila dla dowódcy kompanii. Po południu omawiane były na nim ćwiczenia przez Zastępcę dowódcy brygady S.K. podpułkownika Małeckiego oficerom całej brygady.

25.I.1944r. Przed południem kompania przeprowadzała ćwiczenia bojowe, temat: przejście przez pole minowe i uderzenie na umocnione pozycje nieprzyjaciela, któremu się przyglądali oficerowie brygady na czele z p. p.pułk. Małeckim. Kierownikiem tych ćwiczeń był d-ca batalionu I mjr. Raczkowski. Ćwiczenia będą powtarzane ale nie za dnia, lecz jako ćwiczenia nocne.

30.I.1944r. Ćwiczenia nocne, które miały się odbyć, w dniach po 25.I.44r. nie odbyły się z powodu braku czasu.

31.I.1944r. W dniu tym zarządzona została powolna likwidacja obozu. Przed południem zdane były duże namioty i kazano nam się przygotować do jutrzejszego wyjazdu.

01.II. 1944r. Godz. 6.00 wyruszyliśmy w podróż do następnego miejsca postoju.

02.II.1944r. Podróż trwała do dnia 2.II.44r. godz. 19.00. Komp. 2-ga jako odwodowa batalionu została zakwaterowana w miejscowości Riomero. Dzień ten był dniem wstępnym w komp. II do akcji i rozpoczął ją pluton I patrolami ubezpieczającymi m.p. batalionu. Funkcję tą pełniła komp. 10 dni, niezależnie od ubezpieczenia komp., kompania wysyłała codziennie kolejno plutony na placówkę w sile 1+30 zadaniem ubezpieczenia mostu, toru kolejowego oraz skrzyżowania dróg Castel di Sangro-Alfama-Riomero Samnitica.

12.II 1944r. W godzinach wieczornych otrzymała kompania rozkaz zluźnienia kompanii 4-ej i od godz. 19.00 rozpoczęła służbę jak następuje. Każdy pluton ubezpiecza się przez całą noc 2 R.K.M. na stanowisku, a przy każdym R.K.M.-emie po 2-óch strzelców obsługi, wewnątrz plutonu I posterunek alarmowy- wszyscy pełnią służbę na zmianę.

Codziennie od godz. 5.30. do 7.00 i od godz. 18.00 do 20.00. Cała kompania w pogotowiu na stanowiskach. W dzień ubezpieczana przez dwa C.K.M. po 1-nym strzelcu na jeden C.K.M. i reszta w miarę możliwości spoczywa. W dzień dozwolone jest rozbieranie się do spoczynku, w nocy spanie odbywa się w ubraniu bez obuwia. Niezależnie od ubezpieczenia wewnątrz kompanii. Kompania wysyła codziennie na zmianę z plutonu pierwszego i drugiego patrol w sile 1+3 na Wzgórze "Mantagnoca". Pluton III wysyła zaś codziennie patrol w sile 1+3 na patrol do rzeczki płynącej na zachód od stanowisk kompanii. Patrol ten wychodzi rano i wieczorem. Zakwaterowanie kompanii: plutony zakwaterowane są w małych namiotach obłożonych workami lub blachami. W rejonie kompanii znajduje się 2 baraki, jeden przeznaczony jest dla kuchni, magazynu żywnościowego, mundurowego i broni, drugi dla wojska. W obydwu barakach była wilgoć i błoto. Dnia 13.II.44r. dowódca kompanii wydał zarządzenie doprowadzenia

baraków do porządku, a jednocześnie wyłożenia ich kamieniami. Tym sposobem zrestaurowane oddane były do użytku. W namiotach zaś żołnierze urządzili sobie piecyki tak, że przebywanie w nich jest w warunkach dzisiejszych luksusowe. Żywność pobiera pluton I i III w termosach i kotłach przynosząc ją na stanowiska. Pluton II pobiera strawę indywidualnie, gdyż stanowiska plutonu znajdują się koło baraku kuchennego.

16.II.1944r. około godz. 16.00 zwiedził odcinek kompanii dowódca brygady pułkownik Peszek Walenty - obserwował rejon nieprzyjaciela z punktu obserwacyjnego a w drodze powrotnej wstąpił do namiotu dowódcy kompanii.

12. III. 1944 r. Kapr. Steliński, st. strz. Mazur, strz. Kapyś wyznaczeni byli na obserwację dzienną. Ponieważ w dzień dojście do p-ktu obserwacyjnego jest niemożliwe z powodu doskonałej obserwacji ze strony nieprzyjaciela - wyjechali z miejscowości Rionero o godz. 04 15. Po przybyciu na miejsce udali się do domu w którym odbyć miała się obserwacja całodzienna. St strzel. Mazur wyznaczony do ubezpieczania domu, gdy reszta organizowała obserwację, zauważył dwóch osobników w krzakach oddalonych zaledwie o 200 m. Myśląc, że są to Niemcy, zaalarmował wyżej wymienionych towarzyszy, którzy otworzyli ogień w tym kierunku. Po ostrzelaniu ich udali się na miejsce i znaleźli jednego rannego i dwóch cywilów z podniesionymi rękoma w górę. Byli to dezertjerzy włoscy. Mieli przy sobie dużo pieniędzy wydrukowanych seryjnie po stronie niemieckiej.

13.III.1944r. O godzinie 17.00 kompania zaczęła grupami maszerować (grupy złożone przeważnie z celowniczych) na pozycje, celem zluzowania kompani 4 -tej. Wozy z kocami wyjechały o godz. 18.45. Droga była błotnista z powodu tego jeden z wozów ugrzązł w błocie nie dojeżdżając do miejsca przeznaczenia . Całkowita zmiana nastąpiła o godzinie 20.15.

14.III.1944r. Dowódca kompani oglądał stanowiska i odrutowanie kompaniLPo sprawdzeniu udał się wraz z szefem kompani na przedpole w celu zlustrowania stanowisk od strony nieprzyjaciela,

21.III.1944r. O godzinie 19.00 kompania została zluzowana przez kompanię I III Baonu i odjechała do miasta Forla Del Sannio. W miejscowości została zakwaterowana w domach prywatnych (kwatery możliwe).

25.III.1944 r. Dwa plutony z dowódcą kompani wyznaczone były na rozpoznanie do Montenero-Kalwaria. Wyjazd nastąpiło godz. 01.15 - powrót zaś o godz. 21.00. Nie zauważono nic-warunki atmosferyczne nie sprzyjały obserwacji (burza śnieżna).

28.III.1944 r. Pluton II-gi wraz z dowódcą kompani wyjechał do Rianero i po otrzymaniu zadania miał udać się do Maniennero - Kalwaria.Z powodu burzy śnieżnej i dużego wiatru był wyjazd ten anulowany i pluton wrócił do domu.

30.III.1944r. O godzinie 01,00 wyjechał pluton II- gi do Montenero na ponowne rozpoznanie. Dowódcą oddziału był p.por. Musiał Tomasz, wraz z pocztm dowódcy kompanii. Przed południem oddział wykonał rozpoznanie w rejonie nieprzyjaciela - nie zauważono wszak niczego: oddział wrócił do Montenero na odpoczynek.

O godz. 16.00 oddział wyruszył ponownie na rozpoznanie w rejon nieprzyjaciela.(+) Podchorąży Jasiński z drużyną wyznaczony był do ubezpieczenia patrolu, który miał się udać na drogę na obserwację w składzie: p.por. Musiał, sierż. Tyszkiewicz, kpr. Czesak i przydzielonego z plutonu pionierów kaprała - napotkał na człowieka śpiącego pod krzakami. Był to Jugosłowianin pracujący w wojsku niemieckim jako mułowodny wymieniony zabrany był i po przyjeździe przesłany do I-go B.S.K. O godz. 18.20 oddział zszedł ze stanowisk z powodu złej obserwacji i nadchodzącego zmroku. Podczas maszerowania oddział ostrzelany był artylerią niemiecką, która wyjątkowo nie żałowała amunicji. Strat nie było żadnych.

11.IV.1944 r. O godz. 16.00 kompania zmieniła swoje miejsce postoju. Wozów do przewiezienia kompanii było 10. Podróż trwała od godz. 16.00 do 19.00. Po przybyciu na miejsce przystąpiono do budowy namiotów indywidualnych. Praca szła szybko i o godz. 20.00 prawie cała kompania miała namioty wybudowane.

12.IV.1944 r. Wybudowano kuchnię, wybudowano latrynę oraz wszelkie urządzenia kompanii. Ubezpieczenie kompanii: Każdy pluton wystawił posterunek z zadaniem nie

wpuszczania osób nieznanych w rejon plutonów. W dzień była zorganizowana służba w kompanii jak w garnizonie i miała jeszcze za zadanie obserwację nieba.

17.IV.1944r. Kompania przerabiała ćwiczenia bojowe. Temat: zdobywanie schronu betonowego. Celem tych ćwiczeń było nauczenie żołnierzy walki w górach oraz zdobywania stanowisk przez stworzenie grup szturmujących.

23.IV.1944r. O godzinie 12.00 kompania przygotowana na samochodach czekała na godzinę wyjazdu. O godz. 15.00 wydany był rozkaz do wyruszenia i kompania w składzie Baonu wyruszyła w kierunku nowych wydarzeń. Miejszem tym było „Cassino” Przejeżdżano przez miejscowość Izernia. Przed miejscowością Mechelli kolumna została ostrzelana. Strat nie było. Do miejsca Mechelli kompania przybyła o godz. 22.30.

24.IV.1944r. Cały dzień kompania przygotowywała się do dalszego etapu przestrzegając wszystkich środków ostrożności by nie zdradzić swojego miejsca postoju przed nieprzyjacielem. O godzinie 21.30 kompania wyruszyła kierowana przez przewodników angielskich do następnego miejsca postoju. W czasie marszu kompania była ostrzelana przez artylerię nieprzyjaciela - w ludziach strat nie było. Natomiast były ostrzelane muły przydzielone do kompanii, które niosły plecaki celowniczych i koce: dwa z nich zostały zabite. Około godz. 2-giej dnia **25.IV.44r.** kompania dotarła do miejsca przeznaczenia. W dniu tym kompania przygotowała się do odejścia celem zluźnienia kompanii angielskiej na pierwszej linii w rejonie klasztoru Monte Cassino. O godz. 21.40 II pluton wraz z poczetem dowódcy kompanii wyruszył jako pierwszy. Następnie plutony w kolejności II i I w odstępach co 20 minut Całkowite zluźnienie skończyło się o godzinie 01.00 dnia następnego.

26.IV.1944 r. Tego dnia o godz. 02.45 kompania ostrzelana była huraganowym ogniem ciężkim moździerzy niemieckich. Strat nie było. Cały dzień kompania była nękana ogniem nieprzyjaciela.

27.IV.1944 r. Dzień upłynął dość spokojnie

28.IV.1944r. Dzień upłynął spokojnie. Od godziny 22.00 do 22.45 moździerze i artyleria oraz karabiny maszynowe nieprzyjaciela skoncentrowanym ogniem ostrzeliwały kompanię. W tym czasie posuwali się do naszych stanowisk. Na skutek zbliżającego się nieprzyjaciela pluton II otworzył ogień z karabinów maszynowych i tomiganów oraz rzucano granatami ręcznymi. W tym czasie został ranny dowódca plutonu p.por. Psiuk Aleksander starszy strzelec Mazur Józef oraz ciężko ranny Podchorąży Bąk Jan, który na skutek zranienia wkrótce zmarł. Odwagę w akcji tej przypisać należy; podchorążemu Jasiński Eug. podchorąży Kałaska Mieczysław starszy strzelec Mazur Józef i Kapral Bończuk Marian i szczególnie strzelec Bokser Melchior, który w silnym ogniu nieprzyjaciela przeniósł rannego podchorążego Bąka Jana do B.P.O.

29.IV.1944 r. i 30.IV. Było spokojnie o godz. 22.00 III pluton pierwszy został zluźniony III pluton 1 kompanii III B. Następnie pluton II i I kolejno w odstępach co 20 min. Zluźnianie odbyło się sprawnie marsz z linii do obwodów był szczęśliwy- bez wypadków,

1.V.1944 r. Cały dzień kompania poprawiała sobie schrony ani razu nie naruszana ogniem nieprzyjaciela. Dopiero wieczorem i nocą upadło kilka pocisków nie wyrządzając żadnych szkód.

08.V.1944 r. O godzinie 18.00 nieprzyjaciel ostrzelał rejon kompanii. Szczególnie rejon pocztu dowódcy kompanii. Skutek 2 rannych, rotmistrz Sawczuk Konstanty i st. strz. podch. Wemer Jerzy.

09.V.1944 r. Porucznik Musiał Tomasz przesunięty do 4 kompanii, W miejsce jego przyszedł do kompanii porucznik Misiewicz Józefa

10.V.1944r. Dzień spokojny pod wieczór spadło kilka pocisków artyleryjskich nie raniąc nikogo.

11.V.1944r. O godzinie 22,00 kompania poczęła posuwać się. Ruch rozpoczął pluton I, III, II poczet dowódcy kompanii. Na miejsce rozproszenia kompania doszła spokojnie bez żadnych strat. Około godziny 01.00 nieprzyjaciel położył tak silny ogień, że kompania zmieniła swoje miejsce a w tym czasie były straty około 18 rannych. W przesunięciu

kompani powstało zamieszanie, coraz więcej rannych - tak że posuwanie się kompanii było niemożliwe. Kompania zatrzymała się na wzgórzu 465. Łączności do tej pory nie było z dowódcą Baonu. Dowódca kompanii nawiązuje łączność osobiście z dowódcą Baonu. Radiotelegrafista strzelec Migdalski zostaje zabity. Dowódca Baonu przydziela drugiego radiotelegrafistę - łączność jest nawiązana z dowódcą Baonu a ogień nieprzyjaciela tak silny, że posuwanie się dalej jest niemożliwe. Straty 2 + 16. Kompania została tak osłabiona, że prawie nie zdolna do wykonywania jakiegokolwiek zadania. Bo liczyła w tym czasie zaledwie 26 ludzi! Reszta kompani 42 rannych, część zaginionych.

Dnia **12.V.1944r.** o godzinie 14.10 zabity został Dowódca kompanii kapitan Kromkay Józef a po jego śmierci dowództwo objął p.por. Bereś Wacław,

Około godziny 15.00 p.por. Bereś przyniósł pisemny rozkaz wycofania się do dużej miski. Wycofanie odbyło się małymi grupkami tak że około godz. 16.30 reszta kompani była już w dużej misce w liczbie 50 ludzi. Do akcji wyruszyło 87 ludzi.

Dnia **13.V.1944r.** W dużej misce kompania przetrwała cały dzień pod bardzo silnym ogniem artylerii, moździerzy. O godzinie 24,00 p.por. Bereś Wacław i sierżant Jewiarz Stanisław siedzieli w schronie gdzie mieszkał poprzedni dowódca w pomieszczeniu kapitana Kromkaya i tam uderzył pocisk zapalający raniąc ciężko p.por. Beresia i lekko sierżanta Jewiarza Stanisława. W tym dniu zostali ranni: st. Strz. Burdaś Jan, strz. Szunejko Józef, p.por. Bereś odesłany do szpitala i kompania zostaje bez żadnego oficera.

W dniu **14** przydzielony na dowódcę kompanii por. Gmernicki Adam . Dzień **14 i 15** w dużej misce pod ogniem moździerzy.

Dnia **17.V.** Pluton zorganizowany z całej kompanii wraz z dowódcą kompanii wyrusza pod klasztor Cassino celem obsadzenia. Powrót nastąpił dnia **18.V** bez żadnych strat.

Dnia **19.V.1944r.** o godzinie 15.00 wymaszerowała z dużej miski i udała się w rejon do jaru zajmowanego przez 5 kompanię saperów. Tam rozrzućeni pod skałami przebywaliśmy całą noc, a dnia **20.V.1944r.** o godz. 5.30 przybyły samochody i przewiozły kompanię do E Bi gdzie rozbito namioty w oliwkach i zaczął się mały odpoczynek.

21.V.1944r. Około godziny 03.00 nieprzyjaciół przeprowadził nalot w pobliżu zakwaterowania, szkód nie wyrządzono. Tegoż dnia wypłacono **żołd za dnia dla kadry** przystąpiono do uporządkowania broni, umundurowania oraz pranie bielizny i kąpieli szeregowych. **22.V.44r.** Przystąpiono do spisywania depozytów po zabitych kolegach, które odesłano do oficera gospodarczego. Tegoż dnia sierżant Jewiarz i sierżant Tyszkiewicz napisali oświadczenie w sprawie życzeń. Ś.p. kapitan Kromkay Józef, który przed wyruszeniem do natarcia powiedział, gdy by go zabili - nie urządzać po nim żadnej licytacji a oddać to wszystko strz. Kurpios Stanisławowi, jedynie pistolet włoski, sztylet, oraz majtki kobiece oddać jego koledze kpt. Drzewinieckiemu. Papierosy po zabitych sprzedano a pieniądze przekazano do depozytu.

23.V.1944r. Wszystkie koce oraz bieliznę nadliczbową odwieziono do magazynu batalionowego St. Strz. Mróz Franciszek wyjechał do szpitala w celu odwiedzin rannych.

Dnia **24.V.1944r.** St. str. Mróz Franciszek powrócił z delegacji i zameldował, że w szpitalu nr 1. znalazł tylko jednego z naszej kompani tj. strz. Izieniawski Józef, był po operacji i ciężko chory.

Dnia **28.V.1944r.** o godz. 7.00 komp. wyruszyła z m.p i została przewieziona na inne miejsce odpoczynku w rejon. Wozów była wystarczająca ilość, przewóz odbył się bez żadnych przygód. Na miejscu przeznaczenia przybyliśmy o godz. 11.00. Miejscowość górzysta porośnięta krzakami dębowymi, żołnierze zaraz po wyznaczeniu im rejonu przystąpili do rozbijania namiotów praca szła tak zrecznie, że o godzinie 17.00 wszystko było gotowe kuchnia ustęp a nawet kolacja. Następne dni były wypoczynkiem i swobodą. Rozpoczęły się wyjazdy na przepustki do okolicznych miejscowości, żołnierze odwiedzali ludność cywilną u których poprzednio przebywano na kwaterach. Ludność miejscowa spotykając żołnierzy witała szczerością i życzliwie. Były organizowane

wycieczki zbiorowe do Neapolu i letniska kilkudniowe dla słabszych fizycznie, w miejscowości uruchomiono nawet kantinę, którą obsługiwały ochotniczki.

Dnia 1.VI.1944r. Brygada zorganizowała wyjazd do szpitali gdzie leżą ranni. Z kompanii została wysłana delegacja 3 ludzi do każdego szpitala po jednym. W czasie odwiedzin chorzy byli bardzo zadowoleni, że o nich nie zapominają. Wypytywali kto żyje, kto jest zabity no i o tych którzy byli w innych szpitalach, bo jedni o drugich nic nie wiedzieli.

Dnia 5.VI.1944r. Zaczęło się uzupełnianie komp.przez żołnierzy z różnych oddziałów.

12.VI.1944 r. Komp. zmieniła miejsce postoju i przebyła podróż w ciągu dnia około 180 km przed Peskarę tam przenocowała i na drugi dzień ruszyła dalej w podróż za Peskarę do miejscowości Kapli. Tam trwał pobyt do **16.VI.1944** Gdzie wyruszyła pieszo do miejscowości Cellino pieszo, a tylko poczet kompanii wyjechał samochodem. Przy wjeździe do miejscowości ludność cywilna witała kwiatami, ulica była przystrojona w różne chorągiewki o barwach brytyjskich, polskich, włoskich. Ludność opowiadała o Niemcach jak poniszczyli urządzenia w domach pozabierali kury, świnie i w ogóle co tylko mogli formalnie prowadzili rabunek. W czasie drogi napotykalismy na przeszkody gdyż były pozrywane mosty, musiano objeżdżać jarami rozkopywać i równać aby można przejechać.

17.VI.1944 r. Cały dzień maszerowalismy pieszo nie napotykając na nieprzyjaciela,

18.VI.1944r. Cała kompania przewieziona na wozach do miejscowości Omero. Przy wjeździe do miejscowości Omero. Ludność cywilna przygotowała nadzwyczajną dekorację. Miasto przystrojone w różne kolory narodowe prócz tego zorganizowano przyjęcia, Kobiety i mężczyźni przynosili kanapki z kiełbasą każdy żołnierz musiał jeść i pić. Kwiaty sypały się z różnych stron na żołnierzy. W Omero nie bawilismy długo, a udaliśmy się do Ancarano, w drodze zastała nas burza i straszny deszcz z gradem, wojsko zupełnie przemoczone z pełnym obciążeniem doszło do Ancarano i pluton I i II od razu poszedł na ubezpieczenie, pluton III pozostał w obwodzie.

19.VI.1944r. Kompania maszerowała jako straż przednia batalionu po osi Cofida - Kosyniano. Po drodze nie napotkaliśmy na nieprzyjaciela ale marsz był ciężki z powodu uciążliwego terenu i dalekiej przestrzeni.

20.VI.1944r. Wymaszerowalismy o godz. 8.00 w kierunku Monte Urano. Kompania w czasie marszu nie otrzymała żadnego zadania ponieważ dnia poprzedniego była strażą przednią. Marsz odbywał się pieszo ale powoli, wojsko było zmęczone już poprzednimi marszami Dowódca Baonu dowiedział się o nieprzyjacielu i zależało mu na szybszym przerzuceniu komp. Wydał rozkaz kompanii załadować na ciągniki przeciw pancerne i szybko dołączyć do kompanii, która była w przedzie. Gdy dojechalismy do straży przedniej zauważyliśmy jeńców niemieckich. Tam kompania otrzymała zadania posuwać się na Elpidu, tam dojechalismy bez żadnych styczności z nieprzyjacielem, ale już mieliśmy informacje gdzie znajdują się Niemcy. Pluton I i III zaciągnął placówkę pluton II pozostał w odwrocie. Styczności z nieprzyjacielem jednak nie nawiązano.

24.VI.1944r. W nocy dowódca kompanii otrzymał rozkaz posuwać się po drodze Casa Romano wraz z oddziałem rozpoznawczy porucznika Popielarz. Po drodze zaczęły się potyczki. Porucznik Ratajczak +10 z plutonu III-go otrzymali małe zadanie posuwać się dalej po drodze Casa Romano aż do rzeki. Tam doszedł i napotkał na opór niemiecki z drugiej strony rzeki, gdzie zatrzymał się ubezpieczając brzeg. Zameldował o spotkaniu nieprzyjaciela. A reszta kompanii doszła do Casa Romani i tam zorganizowała się obrona o godz. 9.00 został ranny strzelec Rutkowski Tadeusz z karabinu strzelca wyborowego. W szpitalu zmarł. Tegoż dnia o godz. 12.00 starszy strzelec Mróz Franciszek trafiony pociskiem z k.b został zabity w godzinach popołudniowych rejon kompanii ostrzeliwany moździerzami nieprzyjaciela kapral Gładowski Bronisław ranny odłamkiem.

22.VI.1944r. Zarządzono prowokację nieprzyjaciela - czy jest obsadzony po drugiej stronie rzeki. Wysłano patrol w składzie 4 ludzi z R.K.M. Patrol stwierdził że nieprzyjaciel jest po drugiej stronie i zaczął się wycofywać otrzymał ogień spanda. Strzelec Gołąbek Władysław został ranny w twarz w szpitalu zmarł. Skład patrolu jeden plutonowy Nowicki Paweł. Dwóch strzelców Gołąbek i Komandowski.

23.VI.1944r. Dowódca kompanii porucznik Gmernicki Adam około godziny 11.30 zarządził przekroczenie rzeki całą kompanią. Ugrupowanie pluton drugi miał być jako pierwszy. Pluton zebrał się w krzakach nad rzeką. Wysłano patrol w sile 2 ludzi jeden strzelec Dyczko Józef, (drugi) Grzybek Józef patrol wszedł do połowy rzeki i zauważył nieprzyjaciela zaczął się wycofywać, otrzymał ogień ze sponda. Pluton powrócił na swoje stanowiska. Niedługo po powrocie z nad rzeki nieprzyjaciel zaczął ostrzeliwać rejon kompanii z moździerzy. Kapral Nazimiec Wincenty został ranny w głowę odłamkiem. Zmarł w szpitalu.

24.VI.1944r. Około godziny 2.00 patrol składający się z 10 ludzi przekroczył rzekę i usiłował zaatakować naszą placówkę. Strzelec Kozioł Jan, strzelec Mariowski Michał, którzy byli na czujce przed placówką przepuszczają patrol niemiecki za siebie. Kapral Kluziak Bolesław plus strzelec Marczak Wiktor na widok zbliżających się Niemców oddali serię Thompsona i r.k.m. po strzałach patrol wycofał się w popłochu zostawiając jednego rannego; starszy strzelec Kurc. Rannego zabrano, opatrzone i odesłano do Baonu.

25.VI.1944r. - Około godz. 22.20 patrol niemiecki ponownie zaatakował tą samą placówkę wywiązała się walka, patrol odparto a strzelec Bojko Jan został zabity, 7tegoż wieczora kompania wycofała się 350 m do tyłu na zapasowe stanowiska pluton pierwszy z dowódcą kompanii pozostał w rejonie Casa Romanii jako placówka. O godz. 4.00 plutony z zapasowych stanowisk powróciły w rejon Casa Romanii na stanowiska. Około godz. 14.00 patrol niemiecki w sile około godz. 20 ludzi przekroczył rzekę i usiłowało zaatakować stanowiska kompanii. Wywiązała się walka Niemcy wycofali się z powrotem natrafiając na zastawione pułapki, dwie wybuchły, skutków z powodu zakrzaczenia nie zauważono.

26.VI.1944r. - Strzelec Czerniawski Władysław leżąc na stanowisku został ranny odłamkiem z moździerza. Straszy sierżant Bartoszewski Adolf ranny odłamkiem,,

27.VI.1944r. Dowódca kompanii otrzymał rozkaz ponownej prowokacji. Wysłano patrol w składzie: 1 strzelec Chwał 2 Bednarek, patrol został ostrzelany przez broń maszynową i wycofał się. W tym czasie, nieprzyjaciel ostrzelał rejon kompanii z moździerzy. Strzelec Bednarek ładując magazynki pod dachem został ranny odłamkiem w nogę. Około godz. 16.00 przybył w rejon kompanii czołgi w celu wybadania stanowisk nieprzyjaciela czołgi otwały ogień ze wszystkich broni jaka tylko dysponują. Artyleria i moździerze otwały ogień na całym rejonie kompanii. Strzelec Kapryś Aleksander biegnąc do dowódcy kompanii został ranny odłamkiem artyleryjskim. Około godz. 21.30 kompania została zluzowana przez jedną z kompanii z 6 baonu. Kompania nie odeszła całkowicie do tyłu lecz tylko na zapasowe stanowiska 350 m do tyłu tam wytrzymała do godz. 4.00 i dopiero o świcie odpłynęła do tyłu. 28.VI.1944r. Cały dzień na doprowadzaniu broni i oporządzenia.

29.VI.1944r. Dokończenie prania mycia i.t.d. o godz. 21.00 kompania odjechała do Recanati celem dokładnego odpoczynku.

36.VI.1944r. O godz. 13.00 zarządzono pogotowie marszowe a o godzi 7.00 wyruszyła kompania w dalszym pościgu za nieprzyjacielem jechaliśmy całą noc do Monte Kosoro.

01.VII.1944r. O godz. 16.30 Kompania ruszyła dalej w pościg do miejscowości Potencja tam zatrzymaliśmy się do dnia 2 godz. 15.00.

02.VII.1944r. Kompania otrzymała rozkaz ruszyć i ugrupować się za rzeką w okolicy Reconati.

03.VIII.1944r. Kompania otrzymała rozkaz wycofania się z młyna około 13 00 m do tyłu i tam odpocząć godz. 17.00 ruszyliśmy z powrotem za rzekę w rejonie Kastel Fidordo celem ubezpieczenia czołgów tam przetrwaliśmy całą noc bez żadnych potyczek.

4.VII.1944r. W godzinach rannych ruszyliśmy do Castel Fidordo a następnie za miasto - zajęliśmy stanowiska obronne o godz. 16.00 kompania otrzymała rozkaz dojścia do S.Sabino zluzować pluton jednej kompanii II baonu. Po drodze byliśmy ostrzeliwani ogniem artylerii nieprzyjaciela, po przybyciu na wyznaczone miejsce został ranny kapral Rozmarniewicz Arlam. Odszedł do szpitala. Strzelec Borys Łowrzyn ranny pozostał w oddziale. I tam byliśmy ostrzeliwani ogniem artyleryjskim nieprzyjaciela.

5.VII.1944r. O godz. 11.30 kompania ruszyła do natarcia ugrupowanie pluton I i II w pierwszym rzucie pluton III za plutonami czołowymi. Czołgi przesuwali się z tyłu za nacierającymi siejąc ogień z broni maszynowej i dział likwidując gniazda oporu nieprzyjaciela. Żołnierze niemieccy prawie że nie stawiali oporu a podnosili ręce do góry. Dotarliśmy do pierwszych budynków miasta Osimo. Dowódca kompanii postanowił wejść dalej do miasta kompania ruszyła - pierwsze domy zostały opanowane posunęliśmy się dalej ulicą i patrol został ostrzelany z broni maszynowej (spandy) strzelec Dróbka Józef, Cieślak Zygmunt zabici na skutek niewyjaśnionych sytuacji. Dowódca nakazuje wycofanie się do pierwszego domu na skraju miasta i tam ugrupować się. Po wycofaniu się z budynku miasta ostrzeliwał nas spand wysłaliśmy z którego okna ostrzeliwali nas ustawiliśmy piata, oddaliśmy dwa strzały i gniazdo zostało zlikwidowane. Do tego domu zgrupowała się kompania III, II, I na skutek dalszego ostrzeliwania kompania odeszła w bok do innego domu. Tam zorganizowaliśmy się obronnie i przetrwaliśmy całą noc pod ogniem artylerii i ogniem nieprzyjaciela.

06.VII.1944r. Około godz. 5.30 kompania ruszyła do miasta Osimo marszem ubezpieczonym. Po drodze zabraliśmy 6 jeńców. Doszliśmy do Willi Duiti tu zorganizowaliśmy się obronnie.

07.VII;08.VII, 09.VII, 10.VII, 11.VII. Ostrzeliwany rejon artylerią moździerzami.

12.VII.1944r. Ewakuowano 9 osób zamieszkających w willi jako pracownicy kancelaryjni.

13.VII.1944r. Zorganizowano patrol ,który miał za zadanie schwycić jeńca; w skład patrolu:1 plutonowy Nowicki 2. starszy strzelec Tur 3. strzelec Crysza 4. Komandorski, strzelec Byków. Patrol ten zauważył nieprzyjaciela w sile 10 ludzi z odległości 40 m oddali serię z Thomsonów patrol nieprzyjaciela znikł. Patrol własny czekał na tym miejscu 20 min i w między czasie patrol nieprzyjaciela ostrzelał patrol własny. Jest ranny strzelec Komandorski. Patrol własny wycofał się.

14.VII.1944r. Wysłany patrol w celu złapania jeńca, skład patrolu 1. podporucznik Miszczyszyn 2.kapr. Kluziak 3. kapr. Ptak 4. strzelec Klimek 5. strzelec Marczak 6. strzelec Lasota 7. strzelec Dudarenko 8. strzelec Klimiuk. Zadanie: wymaszerować o godz. 22.30 w jar i urządzić zasadzkę o godz. 2.00 skoczyć do domku i znaleźć jeńca. Zadanie, wykonano jeńców nie ujęto nie było w domu nikogo.

15.VII.1944r. Zorganizowano zasadzkę za rzeką celem schwytania jeńca skład patrolu: 1. kapr. Bończuk 2. strz. Dyczko 3. strz Iraszczuk 4. strz Grzybek 5. Gielg. Na zasadzce słyszano z dalekiej odległości rozmowy niemieckie ponadto nikt nie natknął się na zasadzkę.

16.VII.1944r. Wysłany patrol nad rzekę w celu zbadania czy nieprzyjaciel znajduje się na przedpolu, patrol stwierdził, że nieprzyjaciel nie opuścił stanowiska i ostrzeliwuje przedpole. Skład patrolu: 1. kapr. Bania Michał, 2. St. strzelec Rozmarniewicz Mikołaj 3. Strzelec Tarasiewicz Teodor 4. Chwał 5. Byków.

17.VII.1944r. O godz. 6.30 artyleria własna rozpoczęła huraganowy ogień a potem rozpoczęło się natarcie przez trzeci baon o godz. 18.00 kompania otrzymała rozkaz zlikwidowania stanowisk i przygotować się do odmarszu. Kompania wraz z całym baonem ruszyła do Rikka Acewa jako odwrót korpusu. Noc była spokojna.

18.VIII.1944r. O godz. 9.00 dotarł rozkaz być gotowym do odjazdu. O godz. 10.00 kompania ruszyła do Osimo, tam cały baon zatrzymał się przepuszczając artylerię i saperów o godz. 18 00 ruszyliśmy dalej do miejscowości obok Ankony po przybyciu rozłożyliśmy się pod stertami siana i noc upłynęła spokojnie.

19.VII.1944r. O godz. 11.00 zarządzono przygotowanie marszowe po pewnym czasie przygotowanie odwołano i kompania nie wyjechała noc spędziliśmy spokojnie. Dowódca kompanii zarządził przygotowanie obiadu na śniadanie ponieważ cały dzień kompania miała poruszać się bez zatrzymywania.

20.VII.1944r. Batalion zarządził gotowanie obiadu na godzinę 11.00 i od tej chwili przygotowanie marszowe. Na obiad zgotowano herbatę bo obiad zjedzono na śniadanie. Wymarsz nastąpił o godz. 12.10. Ujechaliśmy około 8 km zatrzymaliśmy się o godz. 19.00 po chwili ruszyliśmy dalej jechaliśmy do godz. 22.00. W czasie drogi wóz kaprała

Strzegockiego obsunął się do rowu tak że deferencjał usiadł na ziemi. Niedaleko stały wozy p.lot. poprosiliśmy i wyciągnęli nas za pomocą liny zabrało to nam dużo czasu i cała kolumna musiała czekać na drodze bo nie było objazdu. O godz. 22.30 kompania otrzymała rozkaz zatrzymania się tam gdzie stoi noc spędziliśmy spokojnie.

21.VII.1944r. O godz. 20.30 ruszyliśmy dalej do miejscowości Coloma Marbi Doni o godz. 10.45 pluton I odjechał do przodu z zadaniem współdziałania z czołgami celem zlikwidowania gniazda oporu za Monte Marciano o godz. 12.00 reszta kompanii ruszyła do plutonu I o godz. 12.00. O godz. 18.00 dojechaliśmy do miejsca gdzie stały wozy plutonu I. Pluton natomiast był daleko w przodzie w celu ubezpieczenia czołgów. Wozy zatrzymały się przy wozach pierwszego plutonu a kompania posuwała się pieszo i skrycie. Po przybyciu na miejsce plutony zajęły stanowiska, a o godz. 20.45 nieprzyjaciel ostrzeliwał jeden z domów obsadzonych przez II pluton z broni przeciwpancernej miejscowość ta nazywała się S.Sylwestra tego dnia kolacji nie dowieziono z powodu zbyt bliskiej odległości nieprzyjaciela i nie rozpoznania drogi.

22.VI.1944 r. O godz. 1.20, na przedpolu odezwały się spandy z trzech kierunków i w tym samym czasie artyleria nieprzyjaciela ostrzeliwała rejon kompanii. O godz. 3.40 ogień spanda z tych samych kierunków co poprzednio, oraz artyleria nieprzyjaciela ostrzeliwała dokładnie miejsca czołgów własnych. Na stanowiskach nieprzyjaciela znaleziono 1 spanda i 12 karabinów, 1 garłacz, bez granatów. O godz. 9.45 kompania zmieniła swoje miejsce pobytu przesuając się w prawo około 800 metrów. O godz. 17.30 dom w którym umieszczona była jedna drużyna, pluton I i obserwator obcy kompani, plus obserwatorzy z artylerii, został rozbity przez działko przeciwpancerne nieprzyjaciela. Ranny kapral Sowiński Franciszek, dwóch cywili zabitych na miejscu. Drużyna zeskakiwała z pierwszego piętra oknem i przesunęła się do innego domu, tam okopała się i zajęła stanowiska. Cała noc duża aktywność nieprzyjaciela, ognia art., moździerzy spandu.

23.VII.1944r. W godzinach popołudniowych doszła wiadomość, że kompania zostanie zluzowana. O godz. 12.30 przybyła kompania z baonu V-ego i po zdaniu odcinka kompania nasza odpłynęła do tyłu.

24.VII.1944r. O godz. 9.40, cały baon tym samym i kompania ruszyła dalej do tyłu na chwilowy odpoczynek. Miejsce odpoczynkowe nieodpowiednio zorganizowane, daleko od wody, domów i wielu innych rzeczy.

25.VII. 1944r. Czyszczenie broni, pranie bielizny, itd., popołudniami kąpiel w morzu.

26.VII. 1944r. 6 ludzi + 1 samochód odjechał do kompanii. Golbie razem wyjechali na obstawę.

27.VII.1944r. Od godz.9.00 do 10.00 kompania korzystała z łaźni brygadowej. O godz. 14.00 cały baon wraz z kompania wyjechały nad morze. W celu rozrywki zorganizowanej przez czołwkę teatralną.

28.VII.1944r. Zorganizowana wycieczka do Loretto. Jest to miejsce święte. Z tego to miejsca powstała litania loretańska. Z wycieczki korzystało 35 ludzi. Wyjazd o godz. 13.00., powrót 0godz. 19.00.

29. VII.1944r. Dzień upłynął na porządkowaniu.

30.VII.1944r. -----

31.VII.1944r. Kąpiel w morzu.

01.VIII.1944 r. Wolne wypoczynek.

02.VIII.1944 r. Kąpiel w morzu.

03.VIII.1944 r. Przepustek 19, reszta wolne.

04-05. VIII.1944 r. Zajęcia własne.

06.VIII.1944 r. O godz. 8.45, kompania wyjechała na nowe miejsce pobytu.

Z dniem **06. VIII.1944 r.** zostali awansowani do stopnia podporucznika: 1. Bartoszewski, 2. Harabasz.

07.VIII.1944 r. Dzień przeszedł bez zmian.

08.VIII.1944 r. O godz. 14.00 zawiadomiono kompanię, że ruch do przodu przewidziany na wieczór. Zarządzono pogotowie marszowe. Tegoż dnia został dekorowany Krzyżem Virtuti Military porucznik Gmernicki Adam, kapral Ptak Władysław, kapral Kluziak Bolesław, starszy strzelec Kałaska Mieczysław.

09.VIII.1944r.O godz. 02.45 kompania ruszyła na podstawę wyczekiwania. Czekaliśmy do godz.11.00, tam zjedliśmy obiad i o godz. 11.00 kompania zmieniła miejsce wyczekiwania na podstawę wyjściową. Do podstawy wyjściowej dojechaliśmy samochodami, a dalej ruszyliśmy pieszo, za kompanią trzecią, która była w przedzie oddalona około jednego kilometra. Do kompanii trzeciej dołączyliśmy w krótkim czasie i tam zatrzymaliśmy się, ponieważ kompania trzecia posuwała się skokami. Po dojściu do cmentarza, zatrzymaliśmy się na chwilę gdyż trzecia kompania nie zajęła nakazanego przedmiotu. W tym czasie został zabity: 1. p.pr. Miszczyszyn Romuald, ranni: 1. por. Ratajczak Stanisław, 2. kpr. Woźniak Henryk, 3. st.strzelec Gordzielewski, 4. st. Strzałowy Kipkowski, 5. st. Rottenberg Zyskind, 6. st. Turkiewicz Władysław. Po opanowaniu nakazanego przedmiotu przez trzecią kompanię, kompania ruszyła dalej, przeszła przez trzecią kompanię, z zadaniem opanowania rejonu Porancuty. Przy otrzymaniu tego zadania zapadał prawie wieczór. Rejonu tego nie opanowano, ponieważ n.pl. w tym rejonie był silnie umocniony. Kompania została ostrzelana ogniem ze spandura, a po pewnym czasie z moździerzy. W tym czasie ranni: 1. kpr. Szuba Roman, 2.kpr. Ptak Władysław, 3. strz. Rydzewski Michał. Reszta nocy pozostała bez strat, pomimo dość silnego ognia nieprzyjaciela.

10.VIII.1944r.O świcie wysłany patrol kpr. Jasiński + trzech z zadaniem sprawdzenia czy nieprzyjaciel w dalszym ciągu siedzi na stanowiskach czy w ciągu nocy opuścił zajmowane miejsce. Patrol stwierdził, że nieprzyjaciela nie ma i przyprowadzili 1 jeńca. Kompania ruszyła dalej plutonami. Osiągnęła pierwsze domki a następnie ruszyła dalej do drugich domków patrolami, nieprzyjaciela nie było. Kompania zajęła stanowiska. Patrol wysłany nad rzekę, zauważył, że po drugiej stronie rzeki nieprzyjaciel minuje brzegi i drogę. Kompania zajęła trzy domy, zorganizowała obserwację przedpoła, ubezpieczenia na noc. W godzinach popołudniowych art. i moździerze nieprzyjaciela ostrzeliwały rejon kampanii.

11.VIII.1944 r. Na skutek możliwych warunków terenowych wóz kuchenny przyjechał w rejon kompanii i pozostawał przez cały czas, bo dowóz żywności gotowanej był trudniejszy od żywności suchej. Tegoż dnia wszystkie kompanie zachodziły do tyłu na odpoczynek a kompania 2 pozostawała nadal na stanowisku, wystawiając placówkę na wodzie w sile jednego plutonu, przez całe 24 godziny. Dowódca baonu zaszczyił swoją osobą skromną kolację wydaną przez dowódcę komp. por. Gmernickiego z powodu odznaczenia go Krzyżem Virtuti Militari.

12.VIII.1944r. Art. nieprzyjaciela przez cały dzień i noc ostrzeliwała rejon kompanii.

13.VIII.1944r. Jak dnia poprzedniego.

14.VIII.1944r.Jakwdniu 12. VIII44 r.

15. VII 1.1944r. Odbyła się dekoracja K. W. dekorowani:

1. kpr. Kwast Józef
2. kpr. Kluziak
3. kpr. Heliński Antoni
4. plut. Gurszczyk Franciszek
5. st. strz. Dudarenko Otto
6. st. Strz. Kroi Józef
7. strz. Marczok Wiktor
8. strz. Bryłowicz Ryszard
9. plut. Kocurek Alojzy
10. kapr. Bończuk Marian
11. kw. Bania Michał
12. por. Ratajczak Stanisław

- 13. strz Gul Marcin
- 14. kapr. Ptak Władysław
- 15. strz. Mazur Józef
- 16. p.por Piśnik Aleksander
- 17. kw. Rozmaryniewicz
- 17. ś.p. Mróz Franciszek

16.VIII. 1944r. Kapr. Strzegocki Zygmunt zameldował sierż. Jewiarz Stanisławowi, że skrzynka kancelaryjna z wszelkimi papierami zginęła z samochodu w czasie jazdy. Poczyniono poszukiwania i znaleziono w C.K.M.

Tegoż dnia w godzinach popołudniowych poczyniono przygotowania do natarcia.

18.VIII.1944r. O godzinie 21.30 kompania wymaszerowała za rzekę i wysunęła się w przód przed II baon w celu zajęcia podstawy wyjściowej do natarcia na miasto Mondolfo z kompanią współdziałała kompania 4 - ta. Przemarsz odbył się bez żadnych strat sprawnie i cicho. Na wyznaczone miejsce przybyliśmy o godzinie 24.00, Plutony zostały rozmieszczone i każdy przystąpił do kopania stanowisk, zdając sobie sprawę że dół jest konieczny potrzebny gdyż nieprzyjaciół był bardzo blisko.

19.VIII. 1944r. Oczekiwaliśmy rozpoczęcia natarcia ale ponieważ w nocy padał deszcz natarcia z rana nie było. O godzinie 14.00 artyleria własna rozpoczęła strzelać i natarcie ruszyło. Kompania IV zajęła cmentarz. O tej godzinie zarządzono stały nasłuch z plutonami. O godzinie 15.45 dowódca kompani zarządził odprawę dowódców, plutonów, a o godzinie 16.00 kompania ruszyła do przodu. W celu zajęcia miasta Mondolfo. Miasto było wolne. Za miastem wzgórze 156, które kompania miała zająć. Było obsadzone przez nieprzyjaciela dość silnie. Po wyruszeniu z miasta i skierowaniu się na wzgórze 156 kompania otrzymała ogień ze spanda a kapral Sowiński ranny. Na skutek nierozpoznanej sytuacji i zbliżającego się wieczoru, kompania otrzymała rozkaz zatrzymać się do przyjscia czołgów. Czołgi przybyły, otworzyły ogień ze wszystkich broni jaką posiadały, ponieważ zapadał już wieczór ani czołgi ani kompania do przodu nie ruszyła. O zmroku kompania otrzymała rozkaz od majora Orłowskiego aby zająć budynek szkolny na skraju miasta. Część żołnierzy spała w szkole a część na zmianę ubezpieczała przedpole.

12.VIII.1944r. O godz. 02 00 artyleria nieprzyjaciela zaczęła ostrzeliwać miejsce postoju czołgów i budynek szkolny. Pociski padały bardzo blisko, w budynek szkolny nie trafiono, natomiast trafiono bezpośrednio w czołg, 2-ch czołgistów rannych. Ogień tam prowadzony był do godz. 6.00. W czasie ognia artyleryjskiego żaden z żołnierzy spać nie mógł a czekał kiedy i który pocisk padnie w budynek szkolny, wypoczynku prawie żadnego, a rano trzeba zdobywać wzgórze 156. Około godz. 9.00 kompania wyruszyła na wzgórze 156, nieprzyjaciela na wzgórzu nie było. Po zajęciu wspomnianego wzgórza nieprzyjaciół silnie ostrzeliwał zajęte wzgórze, ranny strzelec Horbaty Józef. Kompania utrzymała zajęte stanowiska przez cały dzień i noc organizując się obronnie. W godzinach 18.00 -20.00 wozy kompani zostały podciągnięte na wzgórze 156.

20.VIII.1944r. Cały baon a w skład wchodziła i kompania wycofał się do m. J. Caperono niby na mały odpoczynek. Po przybyciu do j. Caperono kompania zajęła m. p. w pięknym pałacyku zadrzewionym, zaczęła urządzać przygotowania wypoczynku, przede wszystkim każdy miał noc i sen. O godz. 19.00 rozkaz pogotowia marszowego i dojazd z powrotem do Mondolfo. Po przybyciu zajęliśmy budynek szkolny. Po zjedzeniu śniadania zajęliśmy te same domki, które zdobywaliśmy dnia poprzedniego. Tam bowiem było wygodniej aniżeli w mieście.

21.VIII.1944r. Kompania pozostała na miejscu i żadnych ważniejszych wydarzeń nie było.

22.VIII.1944r. O godz. 6.45 nastąpił wyjazd kwaterunkowych z całego baonu. O godz. 14.00 wozy kompanii ruszyły na nowe miejsce postoju., żołnierze zaś maszerowali piechotą z powodu złego dojazdu. Kompania przemaszerowała na miejsce o godz. 16.00, Każdy żołnierz był zmęczony pomimo że szedł bez żadnego obciążenia! Widać wyraźnie wyczerpanie fizyczne i nerwowe.

23.VIII.1944r. Zarządzono odprawę oficerów na godzinę 10.00 omawiano konieczność prowadzenia walki ze względu na rozwój polityczny.

24.VIII.1944r. O godz. 16.00 jeden samochód oraz 1 oficer + 10 szeregowych, zarządzono pogotowie marszowe do godz. 18.00. o tej godz. wyjechali na nowe miejsce postoju jako kwatermistrze. Kompania pozostała do następnego dnia.

25.VIII.1944r. O godz. 8.30 wyjazd reszty kompanii do m. Tarre Albani. Podróż odbyła się spokojnie i w porządku. **26,27,28** - mały odpoczynek.

29.VIII.1944r. O godz. 08.00 zarządzono odprawę dowódców kompanii Od tej pory żadnych przepustek ni wyjazdów nie było. Cały niemal dzień to nowe zarządzanie a stopień napięcia z każdą chwilą coraz większy. O godz. 18.00 dowódcy odjechali na ćwiczenia na stole plastycznym przed rozpoczęciem akcji.

30.VIII. 1944 r. Kąpiel w łaźni i o godzinie 16.00 odprawa dowódców kompanii

31.VIII.1944r. Wyjazd, jedziemy szosa nadmorską zniszczenia bardziej niż dotychczas. Około godziny 22.00 przyjeżdżamy na miejsce postoju brygady po krótkim błędzeniu. Całą noc spaliśmy spokojnie.

01. IX 1944r. O godz. 6.00 pluton drugi wyjechał jako ochrona saperów, którzy mieli zbudować most przez rów p. panc. Na linii Gotha okazuje się jednak, że jest niemożliwością wybudowanie mostu z powodu ognia spand. Kompania z II baonu która przeszła na drugą stronę rowu musiała się wycofać z dużymi stratami. Około godz. 17.00 wylatuje na minie strzelec Hołownia Edward, który poszedł na ubezpieczenie saperów oderwało mu jedną nogę. O godz. 21.00 reszta kompanii podciąga się w miejsce gdzie był drugi pluton Strada Della Chura

02.IX.1944r. Od rana do południa kompania pomaga saperom przy budowie drogi przez rów p.panc. Niemcy wycofali się.

03.IX.1944r. O godz. 7.00 kompania otrzymała rozkaz dołączyć do baonu, który znajdował się na wzgórzu 131. O godz. 9.20 ruszyliśmy, po drodze widać zniszczenia wśród niemieckich stanowisk. Sprzętu i broni zdobycznej masa, nie brak było i trupów. Do baonu dołączyliśmy około godz. 11.00 zajęliśmy kwaterę i noc upłynęła spokojnie.

04.IX.1944r. O godz. 11.45 kompania wciągnięta w kolumnę i odjazd na nowe m.p. do tyłu.

05.IX.1944r. Obok Fano zatrzymaliśmy się na postój, żadnych ważniejszych wydarzeń nie było.

07.IX.1944r. O godz. 10.00 wyjechaliśmy do miasta Citanowa. Na miejsce przybyliśmy o godz. 15.00. Miejscowość położona nad morzem widok i położenie bardzo ładne. Odpoczynek rozpoczął się przygotowaniem kart urlopowych, przepustek itd. Pierwsze dwa tygodnie spędzone na urlopowach. Urlopy podzielone na 2 tury po 7 dni. W 3 tygodniu zaczęły się normalne zajęcia a w między czasie organizowane były wycieczki do Rzymu.

Dnia 01 .X.1944 r. Zmiana umundurowania z letniego na zimowe.

Letnie szorty miały być zdane czyste. Wyprane zostały lecz wysuszyć było trudno. Deszcze padały prawie przez cały dzień. W czasie odpoczynku por. Ratajczak odszedł na dowódcę kompanii. Podporucznik Harabasz został wyznaczony na zastępcę dowódcy kompanii. Podporucznik Bartoszewski objął pluton I, pl.pchr Pałacik objął pluton II. Plutony o nie pełnych stanach, z powodu braku uzupełnienia.

05.X.1944r. Kompania zmieniła miejsce postoju z miejscowości Citanowa do miejscowości Korydonia. Przewóz odbywał się własnymi środkami lokomocji. Kompania musiała podzielić przewóz na dwie raty. W pierwszej kolejce przewieziono sprzęt i po kilku ludzi z plutonu. Po przywiezieniu sprzętu samochody wróciły z powrotem po żołnierzy. Kompania zakwaterowała się w budynku szkolnym. Pomieszczenie dla kompanii niezbyt wygodne ale pod dachem. Wieczorem niektórzy porozchodzili się po mieście nadużyli alkoholu za co zostali ukarani. Przyszłe dni pobytu uległy polepszeniu w zakwaterowaniu ponieważ 3 kompania opróżniła kilka pokoi i wyprowadziła się do prywatnych domów. Brak urządzeń kanalizacyjnych, wodociągów, światła, tak, że wygodny dla żołnierza nie ma.

16.X.1944r. O godzinie 5.00 kompania zmieniła miejsce postoju. Wyjazd 5.00 rano. Przejeżdżaliśmy z powrotem przez miejscowość Citanowa i dalej droga nadmorską przez Arazzo i dalej do miasta podróż trwała od dnia 16.X- 18.X. godz. 11.00. Po przybyciu na miejsce rejon zakwaterowania był bez żadnych domów i wojsko zakwaterowało się pod namiotami. Namioty 2 osobowe, pomieszczenie małe a co gorsze, że nie wytrzymują deszczu. Prawie codziennie padały deszcze jakby za karę. Namioty przeciekały z góry a woda podchodziła pod spód. Żołnierze naprawdę rozpoczęli życie w warunkach opłakanych. Każdy żołnierz zmoknięty, zmarznięty a nawet i jedzenia przydałoby się więcej. Rozpoczęło się szkolenie, programy ułożone jak w życiu garnizonowym ale niestety deszcz w żadnym wypadku nie pozwalał wykonać przewidzianego programu.

01.X.1944r. O godz. 23.15 rozpoczął się ruch baonu na nowe m.p. W czasie podróży zaczął padać deszcz z początku powolny ale z każdą chwilą zmagął się coraz lepiej. Grzmot huczał niesamowicie. Burza rozszalała się na całego, tak, że przyszły fale deszczu to nie można było nawet samochodem ruszyć. Lało jak z pompy. Jechaliśmy wśród tej szalejącej z piorunami burzy do godz. 2.00. Stało się coś dziwnego. Czoło kolumny zatrzymało się nagle. Dojeżdżające wozy czoła kolumny poczęły zawracać. Droga była zalana wodą przez wylew rzeki. Deszcz nie przestawał padać tak, że szosa i przyległe pola do rzeki stały się jedną rzeką. Dalsza podróż stała się w jednej chwili niemożliwa. Staliśmy na szosie, ale wyglądem podobnej do rzeki. Cały baon rozkwaterował się po domach, wozy zaś pozostały na szosie bo na bok nie można było zjechać. Noc z 2 na 3 XI spędziliśmy spokojnie a nawet lepiej niż na poprzednim miejscu.

03.XI.1944r. O godz. 9.00 wyruszyliśmy w dalszą drogę bo most, który woda zerwała został naprawiony. Podczas drogi mijaliśmy zalane pola a nawet w jednym miasteczku przejazd przez główną ulicę wyglądał jak rzeka. Kobiety chodziły pozginane, a woda sięgała do kolan. Nie jeden z żołnierzy miał możliwość zobaczyć obnażoną nóżkę u pięknych Włosek. Krajobraz bardzo ładny, stopniowo zaczął słabnąć i wreszcie zmienił się w wysokie góry skaliste porośnięte małymi krzakami. W czasie drogi padał deszcz, droga poszarpana od nieprzyjaciela i wody. Do miasta Baleconi dotarliśmy na godz. 15.00. Pomieszczenia były przygotowane w budynkach.

04.XI.1944 r. Dowódca kompanii pojechał na przedpole celem rozpoznania terenu. Po powrocie zarządził odprawę z dowódcami plutonów na której zaznajomił z zadaniem całego baonu.

05.XI.1944r. O godz. 9.30 rozpoczął się ruch na nowo m.p. Kompanii była przewożona plutonami. Kuchnia, amunicja I pluton, II pluton, III pluton. Do godz. 13.00 kompania była cała przewieziona na podstawę rozproszenia. Tam przetrwała pod gołym niebem do dnia **06.XI.44 r.** godz. 5.00.

06.XI.1944r. O godz. 5.00 kompania otrzymała rozkaz droga radiową aby maszerować dalej do natarcia .Rozkaz i zadanie do natarcia jak rozkaz bojowy. Kompania 1, 3, 4 zdobyły swoje stanowiska, kompania 2 przeszła przez wszystkie kompanie i pomaszerowała do miasta Pratello. W czasie posuwania się zabrała do niewoli trzech jeńców niemieckich, którzy byli wysunięci jako obserwatorzy artylerysty. Wraz z nimi zabrano radiostację. Po zdobyciu nakazanej miejscowości Prattello kompania zatrzymała się i zorganizowała się obronnie. Pluton I zajął stanowiska wokół jednego domu. Pluton II zajął stanowiska na wzgórzu. Pluton III zajął stanowiska na wzgórzu 611. O godz. 11.50 artyleria nieprzyjaciela ostrzeliwuje rejon kompanii. W tym czasie zostaje zabity strz. Komandowski Antoni i ciężko ranny st. strzelec Wojrok Władysław oraz st. strzelec Dudarenko Otto. Cały dzień w pewnych odstępach czasu nieprzyjaciel ostrzeliwiał rejon kompanii z moździerzy i artylerii.

07.XI.1944r. O godz. 10,30 wysłany patrol na wzgórze zwane Piramidą. 538. Spośród patrolu wyróżnił się strz. Oluch Kazimierz, który został odznaczony Krzyżem Walecznych. Strat żadnych nie było.

08.XI.1944r. O godz. 11.45 pluton III pod dowództwem Zastępcy dowódcy kompanii por. Sorbińskiego Zygmunta wyruszył celem rozpoznania wzgórza 530 i wzgórza M. Akuto.

Po drodze stał jeden domek, który należało zbadać. Wysłano patrol w sile 5 ludzi. Domek ten został obstawiony wkoło. Strz. Lukasek Jerzy wszedł do wewnątrz budynku i napotkał nieprzyjaciela w sile około 10 Niemców. Widząc to strzelec Lukasek Jerzy wystrzelił do nieprzyjaciela z Thomsona raniąc 6 Niemców. Sam wycofał się ponieważ reszta chwyciła za broń. Cały patrol wycofał się. Nieprzyjaciel rozpoznany. Na wycofujący się patrol nieprzyjaciel otworzył ogień ze spandru, moździerzy i artylerii. Patrol wycofał się bez strat. Reszta III plutonu, która pozostała w celu ubezpieczenia patrolu otworzyła ogień z bena i patrol pod osłoną ognia mógł się wycofać. Na skutek rozpoznania nieprzyjaciela pluton III wycofał się na poprzednie miejsce bez żadnych strat. Po wycofaniu się plutonu ogień z ciężkiej artylerii nieprzyjaciela wzrastał się z każdą chwilą przez całą godzinę.

09.XI.1944r. Od rana panował spokój. O godz. 9 00 został wysłany patrol z plutonu II w sile 3 ludzi celem stwierdzenia czy wzgórze 548 (Piramida) jest wolne od nieprzyjaciela. Patrol stwierdził, że na wzgórzu nieprzyjaciela nie ma. W chwilę później zostały wysłane 3 patrole w sile po 4 ludzi z zadaniem rozpoznania wzgórza 530 i okolicznych domków. Patrole dotarły do wyznaczonych przedmiotów nieprzyjaciela nie było. Patrole po osiągnięciu nakazanych przedmiotów zatrzymały się reszta plutonu dołączyła i zorganizowała się obronnie.. Przez cały dzień nieprzyjaciel nie ostrzeliwał zdobytego rejonu. O godz. 18 00 kompania została zluzowana przez kompanię szkocką. Przewóz boganu. Kuchnia załadowana została na samochód O godz. 9.00 i stała do godz. 16.00 ponieważ nie mogli znaleźć miejsca na zakwaterowanie. Droga do transportu była bardzo ciężka i nie można było więcej razy obrócić po rzeczy żołnierskie jak koce plecaki i.t.d. Kompania po zejściu ze stanowisk spała bez żadnych koców, nawet nie każdy miał płaszcz.

10.XI.1944r. Przewożono resztę rzeczy kompani - obrócono tylko dwa razy. O godz. 16.00 przybył do kompanii dowódca dywizji i awansował do stopnia starszego strzelca, strzelca Lukasek Jerzego za odwagę i poranienie 6 Niemców. Dziękował również całej kompanii za dobrą walkę. Wóz wysłany po żywność na dzień 11 XI nie dotarł wcale do kompanii, ugrzązł w błocie 1 km od miejsca postoju kompanii. Prowiant z aut przywieziono wołami w dniu **11.XI.** o godz. 16.00.

11.XI.1944r. Zakupiono 3 prosiaki i obiad dla kompanii był wyśmienity ale w następnym dniu. **12.XI.1944r.** Około godz. 18.30 zaszczycił na kolacji dowódca baonu mjr. Storkiewicz wraz ze swoim sztabem.

13.XI.1944r. Dzień przeszedł spokojny ale zimny i ponury.

15.XI.1944r. Zarządzono zmianę miejsca postoju kompanii. Jak wyglądała przeprowadzka? Każdy żołnierz miał zabrać po 2 koce płaszcz i tornister. Resztę rzeczy musiano przewozić określną drogą na samochodzie. Do miejsca postoju samochodem nie można było dojechać z powodu zepsutej drogi. Samochód podjeżdżał tam gdzie mógł dojechać natomiast wszystkie rzeczy które pozostały trzeba było wynosić na zepsutą drogę. Zmobilizowano trzy pary wołów zwane (mukami) i na saniach po błocie przewożono rzeczy do samochodu. Deszcz padał niesamowity a burza szalała okrutna. Sanie tonęły w błocie a wszystkie rzeczy obrudzone błotem okrutnie. Rzeczy przywieziono mukami na godzinę 13.00. Po rzeczy kompani jak koce płaszcze - miały przyjść muły. Tego dnia muły nie przyszły. Kompania pozostała do następnego dnia.

16.XI.1944r. Kompania nie ruszyła z powodu późnego przysłania mułów.

17.XI.1944r. O godz. 7.00 kompania rusza z miejsca i na godzinę 11 30 była na miejscu Dora Dora. Dwa samochody i 1 bantam przyjechały z rana. Część rzeczy pozostało w miejscowości Rokka.

19.XI.1944r. O godz. 11.30 kompania zmieniła miejsce postoju i przeniosła się do m... Bagaż przewożony jednym samochodem do następnego dnia do godziny 12.30.

20.XI.1944r. Kompania przygotowała się do działań w dniu 21. O godz. 17.00 odeszli z kompanii do III brygady:

2. kpr. Kukielka Zbigniew
3. st. strz. Mydlarz Tadeusz
4. st. strz. Błaszczak Edward
5. st. strz. Rozmarniewicz Mikołaj
6. strz. Żuniewski Jan

Odchodzący byli pożegnani przez Dowódcę kompanii por. Gmernickiego jak również i przez innych oficerów kompanii, oraz niemal wszyscy żołnierze żegnali z czułością odchodzących, bo było to parę godzin przed natarciem. Pozostali chłopcy na pokrzepienie ducha dostali herbatę z rumem i o godzinie 00 30 z napełnionymi manierkami wymaszerowali do działań bojowych.

21 .XI.1944r. Kompania wymaszerowała na podstawę wyczekiwania o godz. 0.30. Obiad spożyli o godz. 24.00 i każdy zabrał ze sobą racjon i kawał chleba do kieszeni. Na kolację zgotowano ryż z bifem na sucho, samochodem podwieziono na punkt mułowy, tam przeładowano na muły i kompania posiłek otrzymała. Umundurowanie każdy zabrał ze sobą skórę i pelerynę przeciw gazową, do kieszeni łyżkę.

22.XI.1944r. Śniadanie dostarczono na to samo miejsce o godz.7.00. Obiad i kolacja razem o godz. 15.00, wymuszona miejscem pobytu. W tym dniu dowiedziano się, że por. Sarbiński Zygmunt trafiony został odłamkiem od artylerii nieprzyjaciela i poległ na polu chwały. W godzinach wieczornych przyszła wiadomość, że st. st. pchr Nowicki Adolf został ranny.

23.XI.1944r. O godz. 4.00 wyjechał bantam ze śniadaniem, lecz kompanii na poprzednim miejscu nie znaleziono, śniadanie przywieziono z powrotem. Kompania była bez śniadania; w późnych godzinach dowieziono obiad. Około godz. 9.00 przywieziono na b.p.o. rannego strz. Nowaka Jana, Byków Grzegorza, Mużyński Edward, Maćkowiak Kazimierz.

24.XI.1944r. W godzinach wieczornych kompania powróciła z powrotem do miasta Castro Caro. Następnego dnia plut. Gorszczyk zameldował że strz. Zarzycki Stanisław jest za gońca w baonie, aby go zmienić. Wysłano po strzelca Zarzyckiego strz. Sawczuka Konstantego. Strz. Sawczuk powrócił i zameldował, że strz. Zarzyckiego nie ma baonie.

25.XI.1944r. O godz. 11.00 wysłano meldunek w sprawie strzelca Zarzyckiego. Kompania pojechała do łaźni polowej. Po powrocie część żołnierzy zajęła się rozbieraniem i czyszczeniem 4 świni, które przywieziono z pozycji.

26.XI.1944r. W godzinach popołudniowych kompania przeniosła się do miasta Tome d Solle. Zakwaterowała się w budynku magiestrowskim, bez drzwi i okien. Wypoczynku prawie nie było z powodu zimna.

27.XI.1944r. Zaraz z rana sierżant Jewiavz Stanisław znalazł kwatery dla całej kompani. Przeprowadzka trwała krótko, gdyż nowa kwatera była zaraz w drugim budynku. Budynek był z oknami, a nawet znalazło się kilka łóżek.

28.XI.1944r. Żadnych wydarzeń nie było.

29.XI.1944r. Żadnych wydarzeń nie było.

30.XI.1944r. Żadnych wydarzeń nie było.

01 .XII.1944r. Żadnych wydarzeń nie było.

02.XI.1944r. O godz. 12.45 strzelec Zelewicz Antoni potrącony został przez samochód angielski. Złamań nie było, ogólne potłuczenie.

4.XII.1944r. O godz. 4.00 cały baon wyjechał na nowe miejsce pobytu. Dnia poprzedniego na odprawie dowódców powiedziano, że godzina wyjazdu zostanie podana. Żadnego zarządzenia w tym kierunku nie było. Kompania spała normalnie, tylko w ubraniu i butach. Nagle wpada sierżant Paluszkiewicz (mówi), że kolumna miała być wyciągnięta i ustawiona o godz. 4.15. Kompania została poderwana na równe nogi i w mig załadowała się na wozy. Na nowe miejsce przybyliśmy o godz. 9.00 i dowiedzieliśmy się że por. Gmernicki zaawansował do stopnia kapitana.

5.XII.1944r. Cały dzień spokojnie, o godz. 18.00 przyjechał goniec po dowódcę kompanii aby jechał na odprawę. Po odprawie w baonie zarządzono odprawę w kompanii dowódców plutonów -omówić zmianę m. p. do Brisighella.

6.XII.1944r. W godzinach rannych rozpoczęto właściwy ruch. Kompanie przewożono w dwóch kolejkach, na dwóch samochodach kompanijnych. Ostatni samochód przyjechał do Brisighella o godz. 14.00. O godz. 15.30 cała kompania spieszona, koce i płaszcze na muły, kuchnia również maszerowała do miasta Aernello i tam zakwaterowała, wystawiając ubezpieczenie oraz organizując się obronnie. O godz. 19.30 dowódca baonu nakazał zaciągnąć placówkę w przedzie przed kwaterami około 1000 m. Na placówkę jako dowódca poszedł kapral Bania. Noc przeszła spokojnie.

7.XII.1944r. Placówkę od kaprala Banii odebrał pluton II. Jako dowódca placówki poszedł... Dzień był pochmurny i mglisty, obserwacja słaba. Żołnierze zachowywali się nieostrożnie, aż dowódca baonu zwracał uwagę.

O godz. 22.00 artyleria nieprzyjaciela ostrzeliwała rejon zajmowany przez kompanię. Padło 14 pocisków strat nie było.

08.XII.1944r. O godz. 6.00 artyleria nieprzyjaciela ostrzeliwała ponownie rejon zajmowany przez kompanię, padło 12 pocisków strat w żołnierzach nie było.

O godz. 16.00 kapitan Stankiewicz zawiadomił że plutonowy Polocik awansował do stopnia podporucznika. Poza tym cały dzień upłynął dość spokojnie. O godz. 18.00 wyszły patrole z plutonu f1 zbadać Kono Di Rosso, tam patrole nie doszły bo rzeka przybrała. Kapral Hudyma nawiązał łączność z baonem III.

09.XM.1944r. O godz. 14.00 ruszył patrol w sile 10 ludzi dowódca patrolu plutonowy Gurszczyk. Zadanie zabrać z plutonu rozpoznawczego przewodnika, przejść przez Piano Di Wedreto, a następnie miasto Bezdane (261). Jeżeli tam nieprzyjaciela nie ma usiąść i meldować. Wsparcie dywizjon - Pancerny.

Wywołanie ognia za pomocą radia 38, oraz rakiet czerwona. Ustalenie punktu meldowania

1. II- Kawinale 2. Piano di Wedreto 3. Bezdane

W razie gdyby na 261 był nieprzyjaciół meldować "śnieg pada" - w razie gdyby nie było meldować śniegu niema. Patrol doszedł do przedmiotu pierwszego. Radio nawaliło dowódca wysłał gońca pieszego z meldunkiem do dowódcy kompanii, że woda na rzece jest duża i patrol dalej iść nie może. Dowódca kompanii stwierdził, że plutonowy Gurszczyk jest pijany. Zawezwano st. strzelca podchorążego Kotarkę. Celem objęcia zadania, a plutonowy Gurszczyk został odesłany do kompanii.

10.XII.1944r. O godzinie 11.00 dowódca baonu zarządził odprawę dowódcy kompanii, na której omówił przyszłe działanie

11.XII.1944r. O godz. 11.30 dowódca kompanii udał się na odprawę do dowódcy baonu. Na odprawie omówiono wykonanie zadania.

12.XII.1944r. O godz. 17.00 wysłano patrol dowódca kapral Hudyma, zadanie zbadać most na rzece.

13.XII.1944r. Nie zaszły większe wydarzenia.

14.XII.1944r. O godz. 10.30 zawiadomiono kompanię o przemarszu kompanii na podstawę wyjściową. Zorganizowano z całej kompanii 3 grupy a nie 3 plutony bo stany były małe. Grupę I podporucznik Połacik grupę II Kołaska grupę III podporucznik Nowosiadły O godz. 21.00 kompania wy maszerowała na podstawę wyjściową. Wyżywienie zabrano ze sobą suchy prowiant, koce pozostały na kwaterach, płaszcze zabrano na rękę. Do miejsca podstawy wyjściowej kompania doszła 2230. W czasie przemarszu część kompanii odłączyła się i pozostała dość daleko w tyle. Wysłano przewodników i sprowadzono resztę kompanii.

15.XII.1944r. Kompania zajęła dom stojący przed rzeką i cały dzień przesiedziała w stajni razem z mukami nasycając się zapachem stajennego amoniaku. O godz. 17.05 podporucznik Połacik ruszył z plutonem do natarcia, za plutonem drugim ruszył pluton I dowódca porucznik Kołaska Mieczysław godz. 17.15 ruszył poczet wraz z dowódcą kompanii. Plutony przeszły rzekę w ogniu artyleryjskim nieprzyjaciela. Poczet dowódcy

kompani zaraz po przekroczeniu rzeki wpada w ogień artylerii nieprzyjaciela i zostają ranni:

1. kpt. Gmernicki Adam
2. kpr. Gul Marcin
3. st. strz. Trzeciński
4. strz. Nowak

W niedługim czasie sprowadzają rannego por. Połacik Piotra, strz. Syrko Jana, kpr. Hudyma Jana, st. strz. Marcol Hubert

Pluton p.por. Połacika wycofuje się na skutek dużych strat i silnego ognia nieprzyjaciela z broni maszynowej. Łączność z baonem zupełnie nawalona pośredniczył radiota z kompanii 4-tej. Por. Siewierski meldował Dowódcy baonu, że są straty duże i nieprzyjaciel silnie umocniony. Otrzymał odpowiedź aby wykonywać dalej swoje zadanie. Plutony idą do natarcia drugi raz, coś się dzieje. Podchodzą na bardzo bliską odległość bo na 20 m od nieprzyjaciela, zostają obrzuceni granatami, dwóch wylatuje na minach tj. 1. st. strz. Unold Tadeusz 2. strz. Wesołowski W tym samym czasie zleciało ze skały:

1. st. strz. Kolaska Mieczysław
2. strz. Marczak Wiktor
3. strz. Kurpios Stanisław
4. st. strz. Lukosek Jerzy

Por. Siewierski melduje Dowódcy baonu po raz drugi, że są poważne straty i zadania wykonać nie może. Otrzymuje odpowiedź (kiedy naprawdę nie możecie to się wycofać na podstawę wyjściową). W tym momencie przychodzą ranni:

1. strz. Oluch Kazimierz
2. st. strz. Dybowski Franciszek
3. strz. Skórzewski

Wysyła się gońców do plutonów aby wycofały się do domku gdzie znajdował się dowódca kompanii. Gońcy wracają z plutonami żadnej łączności nie nawiązały. Rozbitki plutonów rozbiegły się po jarze każdy na swoją rękę bo prawie więcej jak połowa dowódców drużyn zostało rannymi lub zabitymi. Przedmiot natarcia nie został zdobyty a straty w ludziach bardzo duże. Stopniowo zaczęli przychodzić żołnierze i dopytywać się gdzie są ich plutony, dezorganizacja całkowita. Przybywających żołnierzy zatrzymywano i grupkami odsyłano na podstawę wyjściową do tej cuchnącej stajni. Całkowite wycofanie kompani nastąpiło o godz. 24 30 . Na podstawie wyjściowej w dalszym ciągu zachowana wszelka ostrożność, ubezpieczenie i.t.p.

16.XII.1944r. Cały dzień siedzimy w stajni bez ruchu. O zmroku p.por. Nowosiadły wyszedł z 12 ludźmi do miejscowości Cosa Dywedreto w celu zaciągnięcia placówki.

17.XII.1944r. O godz. 16.00 kompania wymaszerowała zmienić 2 kompanię 4 baonu, miejscowość Kalino 206. Droga do marszu więcej niż straszna, góry, błoto. Na miejsce do maszerowaliśmy około godz. 18.30. Zmęczenie niesamowite. Zaraz przystąpiono do zajmowania stanowisk czyli luzowania. Zluzowanie nie trwało długo. Przez całą noc wszyscy żołnierze czuwali na stanowiskach. Rejon kompanii był ostrzeliwany przez artylerię nieprzyjaciela.

18.XII.1944r. Cały dzień bez ruchu wszystko na stanowiskach. Każdy żołnierz był ubrany w płaszcz, pelerynę p.gaz. w stanowiskach mokro wilgoć i w dodatku pada deszcz. Pod wieczór artyleria nieprzyjaciela ostrzelała rejon kompanii. O godz. 19.00 rozpoczęło się luzowanie kompani przez 5 dywizję 3 kompanię 18 baon. Zluzowanie trwało bardzo długo bo do godz. 20.30. Po zluzowaniu kompania wymaszerowała pieszo około 12

kilometrów. Żołnierze tak byli zmęczeni że nie doszli do wyznaczonego miejsca postoju Brisighelli. Część korzystała z auto stopu a część siadała po drodze czekając na okazję nadejścia samochodu. Pierwsi żołnierze, którzy autostopem dojechali do Brisighelli, wysłali samochód z kompanii, który wyjechał i zbierał po drodze zmęczonych żołnierzy. O godz. 24.20 cała kompania znalazła się w miejscu postoju.

19.XII.1944r. O godz. 13.00 wóz kuchenny dojechał do miasta Predapio. Reszta kompanii czekała w przygotowaniu do godz. 19.00. O godz. 19.00 kolumna baonu ruszyła i z małymi światłami jechaliśmy do Predapio do godz. 23.00. Miejscowość Predapio jest miejscem urodzenia Musoliniego. Pomieszczenia dla żołnierzy niewygodne a przede wszystkim ciasne.

20.XII.1944r. Zarządzono czyszczenie broni i sprzętu.

21.XII.1944r. - 23.XII.44r. - jak wyżej.

24.XII.1944r. Przygotowanie się do Świąt Bożego Narodzenia.

25.XII.1944r. Same święta były smutne tak, że na obczyźnie spędzone wszystkie inne święta - w tym roku były najsmutniejsze.

Rok 1945

Od czasu pobytu na odpoczynku tryb życia prowadzony był normalnie jak w garnizonie. W międzyczasie były udzielane urlopy po 7 dni + dwa dni na podróż. Żołnierze odwiedzali swoich znajomych a jednocześnie zapoznawali nowe niewiasty. Po powrocie z urlopu opowiadali jeden drugiemu swoje przygody i wrażenia. Tak upływał czas dość wesoło do dnia **06.II.1945 r.**

W dniu **06.II.1945r.** p.por. Nowosadły Franciszek oraz kpr. Bańczuk kpr. Dudarenko kwatermistrz Lubiszewski o godz. 14.00 wyjechali na odcinek w celu zapoznania się z ugrupowaniem stanowisk. Na wiadomość o wyjeździe wszystkim żołnierzom miny zrzedły. Nic też dziwnego, bo tak długo wojować i nie na swoim terenie w dodatku nie widzieć pozytywnych wyników dla sprawy Polski - powstaje pewna niechęć.

08.II.1945r. O godz. 15.00 kompania wyruszyła samochodami na luzowanie wojsk hinduskich. Dojechaliśmy do Faezy. Następny etap rozpoczął się pieszo. Droga do marszu błotnista i pod ostrzałem nieprzyjaciela. Odległość do marszu wynosiła około 8 km. Domarsz odbył się w porządku i bez strat. Po przyjeździe na miejsce przystąpiono natychmiast do luzowania. Poprzednicy mieli duże straty - to ubezpieczenia mieli zorganizowane bardzo dobrze. Natomiast nasza kompania nie mogła sobie pozwolić na wystawienie takiego ubezpieczenia, gdyż stan kompani zaledwie 60 żołnierzy. Zredukowano 2 stanowiska. Samo luzowanie odbyło się spokojnie i sprawnie. Kompania zajęła dwa domy pluton I wysunięty. Dom C. Luga, poczet dowódcy i I pluton II C Coropia Kompania objęła zadanie być zawsze gotową do przeciwwuderzenia na korzyść Kompanii 4 -tej. Domy w których mieściła się kompania były pod ostrzałem broni maszynowej.

09.II.1945r. p. por. Nowosiadły rozpoznał teren, wydał zarządzenia w sprawie ubezpieczeń. Placówka, którą co raz wystawiano na moście zredukowano. Natomiast wzmocniono I pluton jednym C.K.M.

10.II.1945r. Artyleria nieprzyjaciela ostrzeliwała rejon kompani.

11.II.1945r. Dowódca baonu rozkazał umieścić posterunki obserwacyjne przez całe 24 godziny w celu mierzenia katów odpalenia artylerii nieprzyjaciela. Problem był bardzo ciężki ponieważ żaden żołnierz nie umiał obchodzić się z busolą.

12.II.1945r. O godz. 17.30 rejon kompanii ostrzeliwany przez artylerię nieprzyjaciela w pociskach były ulotki pisane do Hindusów.

13.II.1945r.-14.II.1945r. O godz. 2.30 zarządzono pełną gotowość bojową. Nieprzyjaciel przedarł się na odcinku 4 kompanii. Nie doszło do poważniejszych zajęć nieprzyjaciel wycofał się tracąc 2-ch ludzi.

15.II.1945r. Żadnych wydarzeń nie było.

16.II.1945r. O godz. 18.00 nieprzyjaciół ostrzeliwał rejon kompanii - pociski były napełnione ulotkami.

17.II.1945r. Żadnych wydarzeń nie było.

18.II.1945r. O godz. 18.00 nieprzyjaciół ostrzeliwał rejon kompanii ulotkami. Tego dnia kompania otrzymała długie kalesony zimowe.

19.II.1945r. Żadnych wydarzeń nie było.

20.II.1945r. O godz. 14.15 Artyleria nieprzyjaciela ostrzeliwała rejon C Carapia - padło 19 pocisków.

21.II.1945r. Żadnych wydarzeń nie było.

22.II.1945r. Żadnych wydarzeń nie było.

23.II.1945r. O godz. 16 30 artyleria nieprzyjaciela ostrzeliwała rejon kompanii pociski, układały się bardzo blisko domu. W godzinach wieczornych przybyło z III baonu.

24.II.1945r. Żadnych wydarzeń nie było.

25.II.1945r. O godz. 5.30 dowódca kompanii por. Siewierski + 3 szeregowych odjechali na nowe miejsce postoju celem objęcia nowych pozycji. O godz. 1 7.30 artyleria nieprzyjaciela ostrzeliwała rejon kompanii - padło 8 pocisków obok domu. O godz. 20.00 zluzowany I pluton przez II kompanię III baonu.

26.II.1945r. O godz. 19.00 rozpoczęło się luzowanie plutonu II przez I kompanię III baonu, Pluton odjechał ze skrzyżowania dróg o godz. 20.00 i obejmował zaraz nowe pozycje.

27.II.1945r. Przystąpiono do ulepszania stanowisk oraz przebudowywania niektórych z kompanii utworzono 3 plutony po 2 drużyny pluton. Rozmieszczono plutony następująco: każdy pluton zajmował budynek. Budynki były zniszczone od artylerii własnej i nieprzyjaciela. Najgorsze pomieszczenia zajmował pluton II. Poruszanie w dzień ograniczone z powodu obserwacji nieprzyjaciela.

28.II.1945r. Zarządzono przywiezienie drutu koncerliny i rozpoczęto ogradzanie gniazd oporu Artyleria nieprzyjaciela bezpośrednio nie ostrzeliwała rejonu kompanii ale pociski padały dość blisko.

01.III.1945r. Żadnych ważniejszych wydarzeń nie było.

02.III -14.III.1945r. Żadnych ważniejszych wydarzeń nie było.

04.III.1945r. W godz. wieczornych artyleria nieprzyjaciela ostrzeliwała rejon kompanii strat nie było

05.III.1945 -10.III.1945r. Żadnych wydarzeń nie było.

11.III.1945r. Artyleria nieprzyjaciela strzelała w rejon kompanii strat żadnych nie było.

12.III.1945 -16.III.45r. Żadnych wydarzeń nie było.

17.III.1945r. Około godz. 16.00 artyleria nieprzyjaciela ostrzelała rejon kompanii strat nie było.

18.III.1945r. Żadnych ważniejszych wydarzeń nie było.

19.III.1945r. O godz. 18.45 artyleria nieprzyjaciela ostrzelała rejon kompanii pociski układały się bardzo blisko budynków zajmowanych przez wszystkie plutony. O godz. 19.10 artyleria nieprzyjaciela ponownie ostrzelała rejon kompanii i skrzyżowanie drogi. Pociski układały się jeszcze bliżej domów strat nie było. Noc była niespokojna i nerwowa ponieważ nieprzyjaciół nękał ogniem przez całą noc.

20.III.1945r. O godz. 18.30 artyleria nieprzyjaciela ostrzelała rejon kompanii. Pociski układały się bardzo blisko budynków gdzie znajdowało się dowództwo kompanii, strat nie poniesiono.

21.III.1945r. O godz. 15.00 zaczął się dosyć duży ruch na drodze. Nieprzyjaciół zauważył ostrzelał skrzyżowanie dróg, które znajduje się w pobliżu rejonu kompanii.

22.III.1945r. Żadnych większych zająć nie było.

23.III.1945r. O godz. 9.00 ciężka artyleria nieprzyjaciela strzelała w pobliżu rejonu kompanii.

24.III.1945r. W godzinach popołudniowych przybył porucznik dowódca kompanii 2 siódmego batalionu w celu zapoznania się z zadaniem i odcinkiem kompani. Ustalono godziny luzowania w dniu następnym. Kompania wieczorem odesłała cięższy bagaż jak śpiwory, amunicja itd.

25.III.1945r. O godz. 20 rozpoczęło się luzowanie. Domarsz na stanowiska odbywał się pieszo i bardzo powoli. Całkowite luzowanie nastąpiło około godz. 22.30. kompania powróciła na miejsce kompanii luzującej tj. Predapio Nowe.

26.III.1945r. W pierwszym dniu rozpoczęto doprowadzenia urządzenia pomieszczeń w kompanii, (do użytkowania) jak zwykle na nowym miejscu. Następne dni upływały nad doprowadzeniem umundurowania do stanu czystości i schludnego wyglądu. Przyszły święta kompania uzyskała osiem miejsc na udzielenie cztero dniowych urlopów. Reszta kompanii pozostała na miejscu i święta spędzała w swoim zakresie, dość ubogie.

03.IV.1945r. O godz. 3.00 kompania wyjechała na ćwiczenia z czołgami. Były to ćwiczenia przygotowane do przyszłych działań.

04.IV.1945r. O godz. 4.45 kompania wyjechała na ćwiczenia pokazowe- działanie miotaczy płomieni i czołgów. Były to ćwiczenia przygotowawcze do działań bojowych.

8.IV.1945r. O godz. 12.30 kompania wyjechała na nowe mp.

9.IV.1945r. O godz. 24.00 kompania wyjechała na podstawę wyczekiwania. Bezpośrednio po przybyciu ostrzelana silnym ogniem nieprzyjaciela.

10.IV.1945r. 12.30 kompania wyruszyła na podstawę wyjściową do natarcia. Godz. 14.35 Wyruszenie do właściwego natarcia.

Godz. 15.15 osiągnięcie kanału, Caza Zacio zabrano 6 jeńców, 2 spandy, 3 szmajsery, 1 radiostacja.

O godz. 16.00 osiągnięto tor kolejowy. Na torze zatrzymano się do godz. 17.00. Ruszono naprzód 200 metrów za torem otrzymano silny ogień nieprzyjaciela. Tam zatrzymano się i nastąpiła konsolidacja obrony na noc.

11.IV.1945r. O godz. 2.10 pluton szturmowy pod dowództwem podporucznika Nowosiadłego ruszył do miasta Solardo i zajął bez żadnego oporu, zabrano 7 jeńców. Reszta kompanii bezpośrednio po zajęciu miasta wkroczyła do miasta. W mieście rozpoczął się ruch. Cywile byli bardzo uprzejmi. Miasto przedstawiało rozpacz, nędzę, kupa gruzów. Wyciągnięto z gruzów 4 jeńców. Ludność cywilna przystąpiła do wyciągania przysypanych gruzami ludzi. Dużo było żywych ale wielu poduszonych.

12.IV.1945r. O godz. 7.00 zarządzono pogotowie marszowe godz. 10.00 dowódca baonu zarządził odprawę dowódcy kompanii. Godz. 12.10 kompania wymaszerowała w rejon 3 baonu do dyspozycji dowódcy 3 baonu. Kompania zatrzymała się w polu przed P.D. 3 baonu. Tam okopaliśmy się i pozostaliśmy przez noc do godz. 5.30.

13.IV.1945r. O godz. 5.30 kompania wyruszyła na podstawę wyjściową. Wyruszenie do natarcia godz. 7.30. Pierwsze strzały z czołgu godz. 8.45. Godz. 10.00 zdobycie Cazy Makarcela tam zdobyto 4 jeńców. Wysłano patrole wprzód i schwytano 6 jeńców, radiostacje, 1 spandera, 3 szmajsery. O godz. 16.45 zajęcie Cazy Farmantuna.

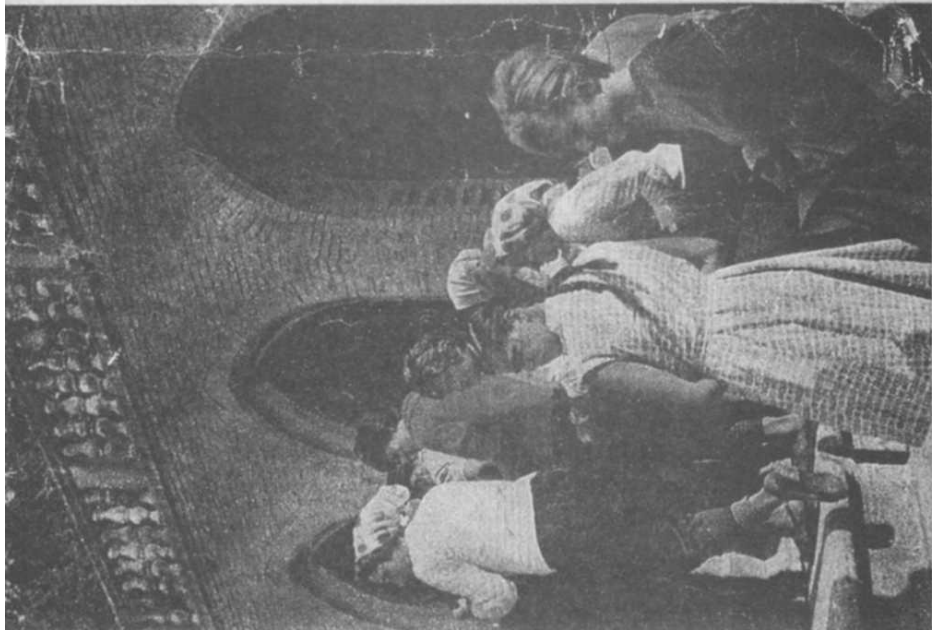
Godz. 16.55 kapral Żuj i Podola Ranni.

14.IV.1945r. Ugrupowanie obronne w zajętych domach. Artyleria i moździerze ostrzeliwały rejon kompanii strat nie było. Przeszła przez nas 5 D.P. i nasze oddziały pozostały do dnia **19.IV.1945r.** O godz. 12.00 zarządzono pogotowie marszowe. O godz. 15.30 kompania wyruszyła na nowe m.p., na miejsce kompanii przybyto o godz. 17.30, noc spędziliśmy spokojnie.

20.IV.1945r. O godz. 12.00 zarządzono pogotowie marszowe. Wyjazd na podstawę wyczekiwania o godz. 12.30.

21.IV.1945r. Wyruszenie na podstawę wyjściową o godz. 6.00. Zaraz ruszyliśmy do natarcia. O godz. 7.30 uchwycenie Cazy Balonina. Godz. 8.00 wydanie dalszych zarządzeń i rozkazów. Pluton pierwszy osiągnął Caza Colombora. Pluton drugi Bruciata. Pluton trzeci Lunga. Wyruszenie z Balonina godz. 8.30. Wyruszenie z Bruciata godz. 9.30. Granardo osiągnięcie 11.30. Jeden jeńiec. Godz 12.30 dowódca odjechał na

odprawę i zaraz po powrocie z odprawy dalszy marsz. O godz. 14.08 ogień broni maszynowej nieprzyjaciela. Godz. 14.30 wyruszenie dalej do miasta Brossetti. 14.55 silny ogień artylerii, moździerzy i broni maszynowej.



Z tej fontanny tryskało kiedyś szlachetne wino...

KRÓLEWSKIE AMORY... (Pocztówka własna z Węgier)

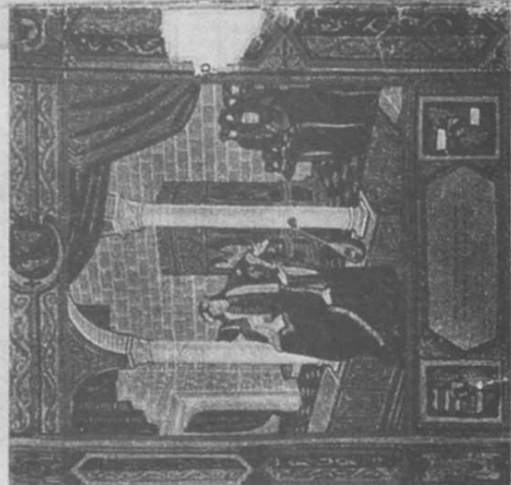
Bydąc w Węgrzech, niedługo później na krótko, w różnych rejonach kraju, na zabryki, pamiątki, czy też wręcz pamiątki — mówiące o historycznych związkach pomiędzy naszymi krajami. Sądzę nawet, że jest ich tutaj znacznie więcej niż u nas.

Królestwo dnia „zawadzi-tem” o miejscowość Visegrad, pięknie położoną nad brzegiem Dunaju. Są tutaj ruiny starożytnego królewskiego zamku — pałacu. Był zapożyczony przez stulecia: zwrócony został z ziem w 1542 roku przez Turków, a ruiny zasypane przez obsu- wającą się górę. Dopiero nie- tak dawno odsłonięto pierw- sze fragmenty starożytnych murów, rekonstrukcja pałacu trwa do dziś. Mówiono o nim, że w tamtych czasach był największym, najwspia- nialszym i najoryginalniej- szym tego rodzaju obiektem w Europie. Zbudowany przez króla Roberta Anjou (wstąpił na tron węgierski w 1308 r.), a następnie do- prowadzony do ostatecznej świetności przez króla Matiasa, a właściwie przez jego żonę, Beatrycę córkę króla Neapolu (ściągnęła na Węgry wielu wybitnych ar- chitektów i artystów wio- szych) — pałac składał się z 1350 pomieszczeń urzędow- nych z niezwykłym jak na owe czasy przepychem i smakiem. Były nawet po-

dworowe fontanny, z któ- rych często zamiast wody tryskało szlachetne wino. Nie też dziwnego, że wy- stępował w tym miejscu nie- stłannik papieski, biskup Ca- stelli donosił Słukusowi IV — „płazę z Visegradu, raju na ziemi...”

Co prawda, dzisiaj trzeba mieć sporo fantazji, aby z tych ruin wyzierać w

swej wyobraźni świetność tych czasów. Ciekawość natomiast jest fakt, że z za- kładem tym łączy się nie- lity epizod z naszej ro- dowej historii. W czasie zwie- dzania, przewodnik zaczął mi naśladując odcie- fryzowanych a dramatyz- nych przygodach, jakie miał tutaj Kazimierz Władysław



Król Matias i królowa Beatrycze.

skrętnie zresztą pomie- rzyć we wszelkiego rodza- ju przewodnikach. Trakto- wanie to opowieść trochę z „przymrużeniem oka”, ja- ko jeszcze jedna historyczna legenda. Dopiero po powro- cie do kraju, przypadkowo zresztą, „odczytem” takie oto potwierdzenie tych fak- tów — w znanej „Polsce-Plastów” — Pawła Jasienicy.

„...Zaczynając rządzą mi- el Kazimierz opowieść cukierni- niezczej. Krzyżacy i Jan Luksemburczyk starali się, jak mogli, o „słą” pra- pejake trzęsły się od plotek i powodziły łudziły w Polsce mieli powody podofratu- patrzeć na urulwa w koro- nie. Na trzy lata przed śmiercią wyula Lokietek sy- na u misji dyplomatycznej na Węgry. Panował tam na- dał Karol Robert Andeg- weńczyk, żonaty z rodzoną siostrą Kazimierza, Elzbieta Lokietkówną. Król węgier- ski był Francuzem, a dwor- jego służył z wdzięku ula- ściwego tej nacji, która

nigdy też nie odznaczała się nadmierną surowością oby- czałów. Coś tam zaszło w Wysehradzie... Niektórzy dziejopisarze kładą wstys- ko na karb złośnię płoiki, jest jednak zważyć, że i u przysiości miał się Kazi- mierz wyprosić wyjątkową urzęz czułością na wdzięki niewieście, to przyjęcie chy- ba powortzyć przyszłości „nie ma dymu bez ognia”.

Krótko mówiąc, polski kró- lewicz uwiódł tam podobno

córkę szlachetną. Klare- zach. Co gorzej — pome- rano królową Elzbieta o u- latwienie mu tego. Burza wzbuchała już po wyjeździe Kazimierza. Kiedy Klara po- wiodziła, wziętyko ojcu, Felicjanowi Zach. Majnał po- pęd w szed. Wiarogal do- szła zamkowej, gdzie prze- bywała cała rodzina, i rzu- cił się na nią z mieczem. Ciał w ramię Karola Ro- berta, odrąbał Elzbiecie cztery palce u prawej dło- ni i dopiero sam zginął od- ciuś dwurazina. Jan Ce- leny. Cuius visio królo- bojcy zawiasty na hakach w- głównych miastach węgier- skich i zabito w Euro- pie. Na rodzinę Zachow po- stąpiły się wyroki śmierci i konfiskaty dóbr, okrutnie zamczona zginęła i Klara. Ci i owi spośród jej krewn- nych zdołali uciec do... Pol- ski, Lokietek nikogo z nich nie wydał, czego by pew- nie nie omlaszkał uczynić, gdyby własny jego synalek błyszczał jak iza. Siary król był kreulki i tuarady, ale aprawiedliwu. Zarządza o- pinia nie była pomijając karię...

W kilka lat później Kazi- mierz — już jako król — brał udział w zjeździe mo- narchów w... Visegradzie na który to przybyli króla- wie Czech oraz Węgier, lic- ni księża śląscy, biskup i urzęz komturów krzyżac- cy. Podobno, był to zjazd tak święty, że długo o nim wspominało, a szczególi o ucztach i innych atrak- ciach.

(z15)

„DOOKOŁA ŚWIATA” Tygodnik - magazyn ilustrowany dla młodzieży
(Nr podpisano do druku 4 listopada 1964r.)



Dziadek Antoni Faszyńkieder i babcia Maria



Komenda Wojewódzka Policji w Stanisławowie



Komenda Wojewódzka Policji w Stanisławowie w swej zmechanizowanej postaci



w Krakowie 1935 r.



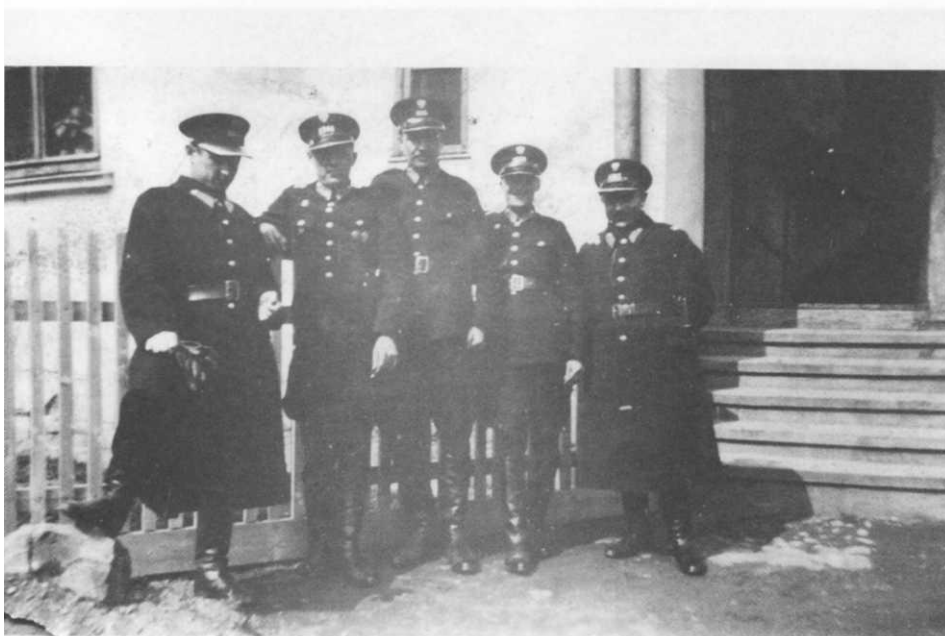
w Krakowie 2.VII.1935 r.



Koledzy dziadka Haftek i Gonkowski
w Kosowie 2.VII.1939. r.



Przed komendą w Stanisławowie



Zdjęcie z kolegami przed komendą



W obozie Kastely na Węgrzech 1939-1940 r.



Kastely - partia szachowa



W obozie Kastely



Kastely - widok budynku



W obozie na Węgrzech



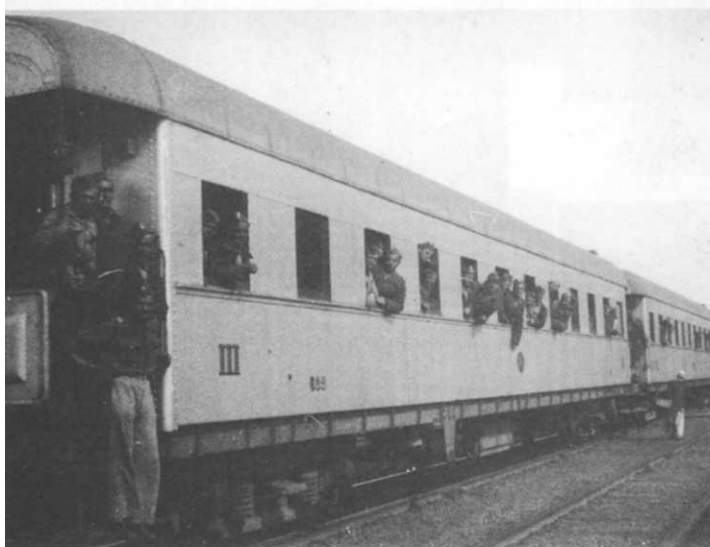
W Trogirze



W Palestynie 22.09.1940



Jerusalem - przed kościołem grobu Matki Bożej - 29.08.1940 r.



W Egipcie 1940 r.



Na pustyni.



Egipt 1940 r.



Naczelny Wódz gen. Sosnkowski
odbiera Defiladę



Generał Sosnkowski i Generał Anders



Dik Hela koło Aleksandrii 1941 r.



Na pustyni za Aleksandrią
na tzw. "lini pułk. Peszka"



Na pustyni w Egipcie 4.1.1941 r.



Wybuch bomby niemieckiej podczas nalotu na Pilastrino - „Tobruk” (listopad 1941r.)



Widok Cyranajki



W drodze do Syrii



Pod Gazalą - angielski samochód strącony ze skarpy przez żołnierzy włoskich



W Libii



W ogrodzie królewskim w Aleksandrii



Egipt - Ismaila - 6.III.1941 r.



Na pozycji pod Gazalą 26.XII.1941 r.



Pluton Pionierów i B.S.B.S.K. pod Gazalą



**Serpentyny na drodze
z Luigi Rasa do Bengazi w Libii**



**Kościół Rzymsko-Katolicki
w Luigi Rasa w Libii**



Cyrenajczycy w Luigi Rasa w Libii



**Widok serpentyn przy wjeździe
do Dorny w Libii.**



Cmentarz Polaków w Tobruku (18.III.1942r.)



Nabożeństwo polowe pod Gazalą w czasie nalotu (22.III.1942r.)



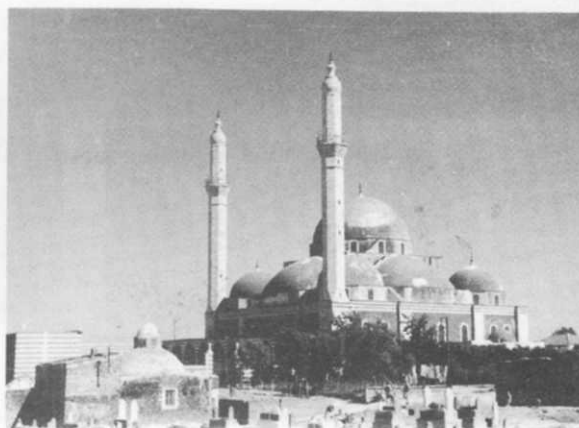
W Iraku - 25.IV.1943 r.



Dziadek w Mosulu - 15.III.1943 r.



Sklep I Batalionu Strzelców
Karpackich w namiocie - 19.X.1942



Syria Hama - Meczet



Zaopatrzenie sklepu batalionowego - 19.VIII.1942 r.



W środku Władysław Burakiewicz obok niego Nowozelandczycy



W głębi Władysław Burakiewicz pozostała trójka to Nowozelandczycy



Karawana wielbłądów na pustyni koło
Harty w Iraku (28.IV.1943r.)



Ogród królewski w Aleksandrii.



Harta w Iraku (28.IV.1943r.)



Ogród królewski w Aleksandrii.



Harta w Iraku (28.IV.1943r.)



Ogród królewski w Aleksandrii.



Procesja Polaków w niedzielę palmową
z Getseman do Jerozolimy 29.03.1942 r.



Tel-Aviv 31.III 1942



Widok bramy Świętego Szczepana
w Jerozalem (4.IV.1942)



Ogród Oliwny w Jerozolimie



Generał grecki ogląda Bazylikę Zaśnięcia Najświętszej Marii Panny w Jerozolimie



uzalem - Widok „Etce Homo” (4.IV.1942)



Widok na Jerozolimę z domu Piłata



Na drodze krzyżowej w Jerozolimie



Włoskie lotnisko pod Derna w styczniu (7.I.1942 r.)



Włochy



Rzym zdjęcie przed Koloseum



Włochy



Po śniadaniu wielkanocnym w Pessaro



Pochówek Władysława Kopały w Faenze



Po śniadaniu wielkanocnym w Pessaro



Kurs pszczelarski



Kurs pszczelarski w górach włoskich
koło Pesero (15.VII.1946)



Włochy Loretto - luty 1946 r.



Nad morzem we Włoszech



Na okręcie w drodze z Włoch
do Anglii - wrzesień 1946 r.



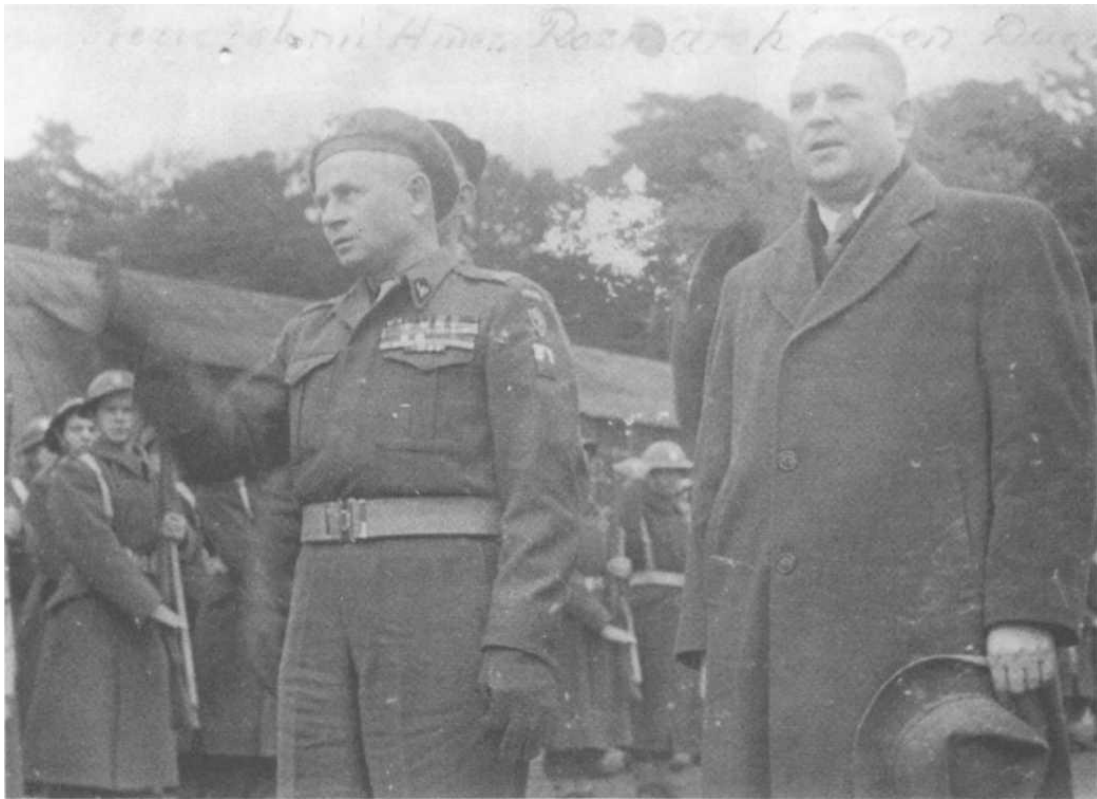
Na okręcie w drodze do Anglii



Na plaży w Pessaro



Przy odbiorze poczty obozowej



Prezes Polonii amerykańskiej Rozmarek i Generał Duch



**Stachowski Kazimierz
kolega Dziadka zam. w Anglii.**

*z dedykacją na odwrocie:
„Kochanemu koledze na pamiątkę
z tułacznych stron Anglii
zasyłam swą podobiznę dla upamiętnienia
minionych dobrych lat. Kazimierz”*



**Wiktor Chmura Łukowianin
walczący na zachodzie
zamieszkały w USA. Spotkał się
z dziadkiem 26.12.1943 r.**

*z dedykacją na odwrocie:
„Na Wieczną Pamiątkę dla Drogiego
Przyjaciela ofiaruję swoją podobiznę. Wiktor”*



W Anglii na drodze do obozu



Obok mieszkania w Anglii



Pożegnanie sztandaru który złożono w muzeum
w Londynie



Cmentarz Polaków u podnóża góra Monte Casino



**Józef Ziemianski - teść dziadka w mundurze austriackim
i Stanisław Stępień - łukowianin - wójt gminy Żurów.**



Dziadek ze swoimi braćmi Stanisławem
i Ludwikiem



Córka Jadwiga z zięciem
Marianem Burdzy



Najstarszy brat dziadka Władysław
z żoną, synem Henrykiem i córką Wandą
zamieszkały w Filadelfii USA



Bratanek Jurek Faszykieder



Siostra Henryka Wierzbicka z córką Alusią



Dziadek ze swoim
kolegą Stefanem Ściobłowskim.



Wnuk dziadka Marek Faszynek



Dziadek ze swoimi wnuczkami
Wojciechem i Danutą Burdzy



Na budowie elektrowni wodnej „Wały Śląskie”



Wycieczka pracowników GS Brzeg Dolny 27-29.08.1961 r. do Krakowa

Enlisted to the PRC 31.10.46

(1) SOLDIER'S NAME and DESCRIPTION on ATTESTATION.

Army Number *30034620 91E/1400/10476*

Surname (in capitals) *FASZYNKIEDER*

Christian Names (in full) *ANTONI*

Date of Birth *31.5.1900*

Place of Birth { Parish *Gora-Koperyska*
In or near the town of *Gora-Koperyska*
In the county of *Polska*

Trade on Enlistment *funk. P.P. postawiony*

Nationality of Father at birth *Polak*

Nationality of Mother at birth *Polka*

Religious Denomination *rzym. Kat.*

Approved Society

Membership No.

Enlisted at *31.10.46* On *31.10.46*

For the: *Polish*
* Regular Army. * Supplementary Reserve.
* Territorial Army. * Army Reserve Section B.
* Strike out those inapplicable.

For *3* years with the Colours and *3* years in the Reserve

Signature of Soldier *Antoni Faszynekieder*

Date *31.10.46*

DESCRIPTION ON ENLISTMENT.

Height *166* ft. ins. Weight *125* lbs.

Maximum Chest *95* ins. Complexion

Eyes *nieb.* Hair *blond*

Distinctive Marks and Minor

CONDITION ON TRA

Found fit for

Defects or History of pa

quired into if called up f



A 2

Książeczka wojskowa 2 i 3 strona

14450/46

Soldier's Service Book.

(Soldier's Pay Book, Army Book 64 (Part II), will be issued for active service.)

Entries in this book (other than those connected with the making of a Soldier's Will and insertion of the names of relatives) are to be made under the superintendence of an Officer.

Instructions to Soldier.

- You are held personally responsible for the safe custody of this book.
- You will always carry this book on your person.
- You must produce the book whenever called upon to do so by a competent military authority, viz. Officer, Warrant Officer, N.C.O. or Military Policeman.
- You must not alter or make any entry in this book (except as regards your next-of-kin on pages 10 and 11 or your Will on pages 15 to 20).
- Should you lose the book you will report the matter to your immediate military superior.
- On your transfer to the Army Reserve this book will be handed into your Orderly Room for transmission, through the O. i/c Records, to place of rejoining on mobilization.
- You will be permitted to retain this book after discharge, but should you lose the book after discharge it cannot be replaced.
- If you are discharged from the Army Reserve, this book will be forwarded to you by the O. i/c Records.

SOLELY FOR USE ON ACTIVE SERVICE. This Will page must NOT be used until you have been placed under orders for Active Service

WILL.

(For use if the soldier has not already made a Will or wishes to alter one already made. See instructions on previous page.)

ON COMPLETION TO BE DESPATCHED TO OFFICER IN CHARGE RECORDS BY O.C. UNIT.

Rozkaz 2 Korpusu o Sądach
doraznym Nr 53 pkt. 293 z dnia 26.12.46
rozkaz mi podany do wiadomości
dnia 8.1.46
30.1.48. Issued Handline Camprom
40/19

Signature

Rank and Regiment

Army Number

Date

[5/88] (393/4050) W.L. 16027 500m 6/40 H & S Ltd. (4094)
Books 64 (Part I)/2 T.S. 3141

Książeczka wojskowa strony: pierwsza (1) i ostatnia (20)



Antoni Faszynkier zdjęcie z lat 1918-21



Antoni Faszynkier zdjęcie
z lat 1946-48



Na polu chwały 1920 r.



Polska swemu obrońcy



1939-1945 Za Warszawę



Odznaka za obronę Tobruku



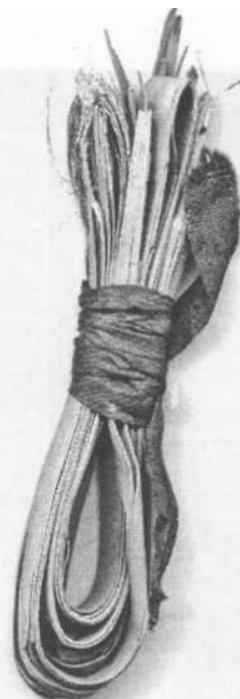
Krzyż waleczny z mieczami



Monte Cassino Maj 1944 - Krzyż pamiątkowy



Srebrny Krzyż Papieski



Palma z niedzieli palmowej w Jerozolimie



Naszywka



1900 7-III rz. kat. Antoni Faszynkieder
(Identyfikator ze specjalnego materiału
ognioodpornego).



Antoni Faszynkieder ur. 1900 r.
Stanisławów
(Identyfikator metalowy)



Znaczki zbierane przez dziadka w trakcie pracy na poczcie polowej.

1 BATALION S.K.

Z A S W I A D C Z E N I E .

sierż. Faszynkieder Antoni 1900/48/14

jest upoważniony do posiadania i noszenia
"THE WAR MEDAL 1939/45"

Podstawa: zarządzenie War. Office 68/General
8070/1946.

dnia 2. grudnia 1946.

DOWÓDCA BATALIONU S. K.

Chrapkiewicz
CHRAPKIEWICZ
MJR. DYPL.

plut. FASZYNKIEDER
Antoni

1900 - 7/14. 1300 S.K.

jest uprawniony do noszenia

Bronzowego

Krzyża Zasługi z Mieczami

z

nadanego rozkazem pers. 2. Kor-
pusu Nr. 125/45

M. p.,

9 lipca 1947

DOWÓDCA 2. KORPUSU

gen. dyw.

Drukarnia Polowa 2. Korpusu A. P.

DIECEZJA TARNOWSKA
Kościół parafialny

ŚWIADECTWO CHRZTU
(TESTIMONIUM BAPTISMI)

DIOECESIS TARNOVIENSIS
Ecclesia paroeccialis

św.

w

Jakuba
Góra Ropczyckiej

S.

in

1. Rok i numer księgi chrztów
(Annus et numerus libri baptizatorum)

2. Imię i nazwisko
(Nomen, cognomen)

3. Imię ojca
(Nomen patris)

4. Imię matki
(Nomen matris)

5. Miejsce i dzień urodzenia
(Locus et dies nativitatis)

6. Data i miejsce chrztu
(Dies et locus baptismi)

7. Uwagi w księdze chrztów — kan. 470 § 2; 1988.
(Adnotationes in libro bapt.)

1900, Ws. nr. 16

Antoni Faszynkieder

Józef

Aniela

z domu
(nata)

Zach

wyznanie
(religio)

Rzym-katol

wyznanie
(religio)

Rzym-katol

Góra Ropczycka. 31 maja 1900

3/6 1900 - Góra Ropczycka

Zgodność z miejscowymi księgami parafialnymi potwierdza
Concordat cum libris metricalibus

Z Urzędu parafialnego

(L. S.)

w Górze Ropczyckiej.

dnia *3 czerwca* 1952
(die)

Proboszcz
(Parochus)

Józef Wojciech
ad.

LEGITYMACJA Nr. 1076

sierż. Faszynkieder Antoni 1900/7/III z 1. Baonu

S.K.

jest upoważniony do posiadania
i noszenia

PAMIĄTKOWEJ ODZNAKI 3 DYWIZJI STRZELCÓW KARPACKICH

Dca 3 DSK

DUCH - gen. bryg.



DYPLOM NA CZELADNIKA

PRZEŁOŻENSTWO STOW. PRZEMYSŁOWEGO *Zjednoczonych*
rzemieślników w *Sędziszowie* STWIERDZIWSZY NA
PODSTAWIE PRZEDŁOŻONYCH DOKUMENTÓW, ŻE P. *Antoni*

Łaszyński UR. W R. *1900* W *Górze poprzyckiej*
POWIAT *Poprzycki* POZOSTAŁ W NAUCE

U *Józefa Łaszyńskiego*
MAJSTR *gum.* W *Górze poprzyckiej* W CZASIE

OD *5 Marca* 1915 DO *5 Marca* 1918

TO JEST ŁĄCZNIE *3 lat*, WYUCZYŁ SIĘ NALEŻYCIE RZEMIOSŁA

gumiarstwa, UCZESZCZAŁ W MYŚL. § 75 UST. PRZEM.

NA PRZEPISANĄ NAUKĘ UZUPEŁNIAJĄCĄ W SZKOLE *prómysłowej*

2 klasowej W *w Górze poprzyckiej* ORAZ

ŻE DNIA *15 Października* 1923 ZŁOŻYŁ EGZAMIN CZELADNICZY

PRZED KOMISJĄ EGZAMINACYJNĄ *w Sędziszowie*

Z WYNIKIEM *bardzo dobrym* WYDAJE MU NA MOCY

§ 104. AL. 2. USTAWY PRZEMYSŁOWEJ *W* NINIEJSZY DYPLOM NA CZE-

LAJNIKA I WPISUJE GO RÓWNOCZEŚNIE DO KSIĘGI WYZWOLONYCH

CZELADNIKÓW RĘKODZIELNICZYCH, NA STRONIE *1* POZ. *11*

Sędziszów DNIA *16 Października* 1923

PRZEŁOŻENSTWO STOWARZYSZENIA PRZEMYSŁOWEGO

Zjednoczonych rzemieślników

CZŁONEK WYDZIAŁU

PRZEŁOŻONY STOW.

Stefan
Ignacy Białek przewodniczący
Łudwik Białek kierujący

Franciszek Suchacki

KOMISARZ STOW.

ZASTĘPCA PRZEŁOŻONEGO



Świadectwo

Z egzaminu czeladniczego

Pan Antoni Jaszynkiewicz urodzony w roku 1900
w Górze rozpoczynając powiat Rypczyce wyuczył się
z rzemiosła szewskiego u Pana Józefa Jaszynkiewicza
w czasie od 6 Marca 1915 do 5 Marca 1918 podał się dnia
dzisiejszego przed Komisją egzaminacyjną egzaminowi
na czeladnika i złożył go z postępem bardzo dobrym

Sędziszów 1 Października 1923

Oskarżenie Komisji
Sędziów
Białek Ludwik

Przewodniczący Komisji

[Signature]



Odprisy

Wprawy w sprawie

Womenda Poliji Państwowej Okręgu X. w Stanisławowie.

L. 10783/45.

Do
Pana Paszynkiedera Antoniego p.o. poster.
w Stanisławowie.

Mianuje Pana na podstawie art. 29. ust. z dnia 14. lipca 1919.
(Dz. U. Nr. 61. poz. 363) z dniem 1. listopada 1925. posterunkowym
Poliji Państwowej Okręgu X. stanisławowskiego z uposażeniem
do grupy III/a niższych funkcjonariuszy P.P. służby zewnętrznej.

Skutki prawne stabilizacji liczą się od dnia 1. listopada 1925.
Przebyty przez Pana okres służby od dnia 1. maja 1925. zalicza
się do rzeczywistej służby państwowej.

Stanisławów, dnia 16 listopada 1925.

Piecząt okręgu zgodem państwowem i napisem Komendant
Poliji Państwowej wojenództwa Stanisławowskiego.

Piecząt podłuzina Komendant wojenódzki P.P.
(Zarski)

Kmep 4829/49

Reperitorium 4828/49

Potwierdzam doświadczone zgodność tego odpisu z okazanym mi
oryginałem, z tym, że z miana *7* od góry dopisano „*prawy*” w odległości 1
Wymierzono i pobrano opłatę skarbową według cz. I. Tabeli opl.
skarb. poz. 2 *4* zł *25* i kwotę tę zapisano pod poz. *5094* /49
wylazu weryfikacji na dochód Ministerstwa Skarbu, należność no-
tariatu: *28821* i 26 rozp. o wynagr. notar. w kwocie *60* zł.
Wrocław, dnia *12.10.1949* *Włodzisław* *notariusz*
roku tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego (*12.10.1949*)



Jakubiec
JAKUBIEC
NOTARIUSZ

SENDER	000356	PAS	PARCEL	ADDRESSEE	AMOUNT		
					£	s.	d.
Mr. A. Paszynkieder, Chippenham C. Camp, nr Ely, Cambs.			H/HP	Ludwik Paszynkieder, ul. Nowowiejska 9 m.2, Krakow, Poland	5	4	0
POLIMEX LTD., 3, THURLOE PLACE, LONDON, S.W.7. (OPPOSITE BAKER STREET STATION)							

Potwierdzenie nadania pocztowego
z Anglii do Krakowa

Nr

191

W MIEJSCOWOŚCIACH KLASY IV.

ŚWIADECTWO PRZEMYSŁOWE

DLA

PRZEDSIĘBIORSTWA PRZEMYSŁOWEGO
KATEGORJI VIII

NA ROK 192

tysiąc dziewięćset dwudziesty

CENA MAREK 20.000

Cena pomnożona przez wykładnik podwyżki, wzgl. zniżki

DODATKI:

na rzecz zw. qzków komunalnych

na rzecz Iz. handl. przem. i rzemieśl.

na rzecz sz. ót zawodowych

Razem

Rodzaj przedsiębiorstwa:

Właściciel przedsiębiorstwa:

Miejsce wykonywania przedsiębiorstwa:

Ważne do dnia

KASA KARBOWA

dr.

Rachmistrz:

Skarbnik:



Świadectwo

Podpisany majster przemysłu szewskiego
poswiada że Antoni Łarynkieder pracował
w mej pracowni jako czeladnik szewski
od dnia 10 Marca 1918 do 31 Marca 1920 roku
przez przeciąg czasu tego zachowywał się
człowiekiem moralnie na własne żądanie
pozostaje zadowolonym.

Piszę to po raz pierwszy

Wawrz. rekrut. ni.
Piszę więc poswiada
moje świadectwo
cały osnowie
Piszę to dnia 5 Kwieciana
1920 r.

Łarynkieder



Yosef Łarynkieder
majster szewski

Kompania kolejowa

Kraków, dnia 13. listopada 1922. r.

Z A Ś W I A D C Z E N I E

Niniejszym zaświadcza, że kapral PASZYŃSKI Antoni pracował jako kierownik warsztatu szewskiego I. Baonu Kolejowego od dnia 20. maja 1921. r. do dnia 15. listopada 1922. r. -

Wymieniony wykonywał roboty w zakresie szewstwa wchodzące, tak dla oficerów, jak i szeregowych ku zupełnemu zadowoleniu swych przełożonych. -

Zachowanie jego przez cały czas służby wojskowej było nienaganne i pod każdym względem wzorowe i moralne. -

Niniejsze zaświadczenie wydaje się z powodu zwolnienia wymienionego do rezerwy jako rocznik 1900. -

Dowódca 2/I. Kompanii kolejowej,
i Zarządca Warszt. Szewskich I.B. Kol

Dowódca kompanii
foruznik.

310 Basic Unit P.R.C.
Chippenham Camp

Dnia 12 kwietnia 1948 r.

TYMCZASOWE ZASWIADCZENIE

Stopień: Sierżant

Nazwisko i Imię: FASZYNKIEDER Antoni

Rocznik i Nr. Ewid: 1900/7/III

Upoważniony jest do noszenia:

Rodzaj Udziału	Podstawa nadania
Wr.1948 KRZYŻ WALECZNYCH poraz pierwszy	Rozk. Pers. Oddz. Likw. 2 Korp. Nr. 22/48
Wr.1946 MEDAL WOJSKA poraz pierwszy	Rozk. Pers. 2 Korp. Nr. 165/46
Wr.1947 Medal Wojska poraz drugi	Rozk. Pers. Oddz. Likwid. 2 Korp. Nr. 10/4
Wr.1947 Medal Wojska poraz trzeci	- " -
Wr.1947 Medal Wojska poraz czwarty	- " -
Wr.1946 Brytyjski Medal Wojny/War Medal	Rozk. Dłwa 2 Korp. Nr. 111/46



A. Majewski

Dowódca 310 Basic Unit P.R.C. Plk

Nr...5239



POLSKIE SIŁY ZBROJNE

ZAŚWIADCZENIE

O ZAKOŃCZENIU SŁUŻBY

Stwierdzam, że 1900/7/III..... sierżant.....
Nr ew. P. S. Zbr. stopień

Antoni PASZYŃKIEDER

Imiona i nazwisko

służył w POLSKICH SIŁACH ZBROJNYCH
pozostających pod DOWÓDZTWEŃ BRYTYJSKIM do dnia..
...30/10/1946..r.

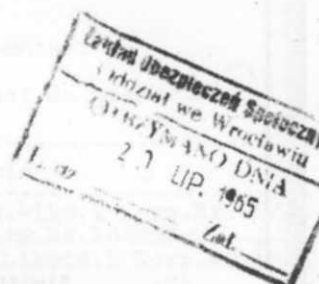
Londyn, dnia 12/11/1947

SIEP GŁÓWNEJ KOMISJI LIKWIDACYJNEJ
POLSKICH SIŁ ZBROJNYCH

Z.R.....
Stolarczyk kpt.



- 1/ - Stopień **sierżant zawod.** Nr.ewid.K.U.nr.3.....
- 2/ - Nazwisko **P A S Z Y N K I E D E R** Nr.Army Book.....
- 3/ - Imiona **Antoni**
- 4/ - Data i miejsce urodzenia **31.5.1900 r.**
 - gmina **Góra Ropczycka**
 - powiat i woj. **Debica**
- 5/ - Imiona rodziców:
 - ojca **Josef**
 - matki **Aniela Zach**
- 6/ - Stan rodzinny **zonaty**
- 7/ - W razie wypadkuawiadzić:
- 8/ - Język macierzysty **polski**
 - Narodowość **polska**
 - Wyznanie **rzym-kat.**
- 9/ - Przydział ewidencyjny **1 Batalion Strzel.Karp.**
- 10/ - Przebieg służby wojskowej **we Wielk.Bryt.od 20.9.1940 r.**



D a t a		R O Z K A Z M I A N Y	
17.9.1940	Wstąpił do Armii Pol.		
23.9.1940	Wcielony do 1 p.s.k.do komp.dowodz.		Rozk.dz.nr.104/40
20.9.1940	Zweryfikowany w stopniu kaptała rezerwy z dn.17.9.1940 na podst.leg.osob.nr.514/6 wydanej przez D-cę P.P.w Stanisławowie.		
15.1.1941	Przeniesiony p.k.wzgl.do 1 Bn. S.K.		Rozk.dz.1 p.s.k 8/41
16.1.1941	Zgłosił się w 1 Bn. S.K.do komp.dow. Rask.		1 Bn.S.K.2/41
1.3.1943	Zaliczony do grupy podofic.zawod.		Rozk.1 B.S.K.nr.46/43
21.3.1944	Awans do stopnia rzeczyw.plutonowego zawod.		1 Bn.S.K.19/44
15.1.1945	Przesunięty do komp.dow.sparcia.		1 Bn.S.K.26/45
10.11.1945	Przesunięty do komp.dow.jako podof.poczt.		1 Bn.S.K.143/45
1.5.1946	Awans do stopnia rzeczyw.sierżanta zawod./zold plut.		1 Bn.S.K.51/46
31.10.1946	Zaciągnięty do P.K.P.R.		
POBYT NA FRONCIE			
19.8.1941 - 22.3.1942	Kampania Libijska		Rozk.1 B.S.K.nr.108/43
13.12.1943-2.5.1945	Kampania Włoska		Rozk.dz.1 Bn.S.K.nr.32/46
ODZNACZENIA I POCHWAŁY			
5.1.1943	Pochwała D-cy Bn.		Rozk.1 B.S.K.nr.3/43
19.3.1945	Brazowy Krzyż Zasługi z Miecz. Gwiazda za Wojnę		Rozk.1 Bn.S.K.nr.30/45
26.1.1946	" - " Afryki		Rozk.1 BSK.nr.59/45
	2- - " Italii		
25.5.1946	Medal Wojska po raz pierw.		Rozk.1 Bn.S.K.nr.60/46
Za zgodność :Adjutant 310 Basic Un.			
		<i>[Signature]</i> kpt.	



=====

Nr.Sprawy.....

S T W I E R D Z E N I E

Na prośbę Sieiz. Faszynkieder Antoniego
/stop.wojsk.lub kat.płacy, nazwisko i imię/
z dnia 12.4.48r..... stwierdzam na podstawie dokumentów
personalno gospodarczych posiadanych przez tut.Oddział, że
wyżej wymienionemu, w czasie jego służby w Oddz. Wojska P.S.Z.
lub administracji Wojska P.S.Z. pod Dowództwem Brytyjskim - nie
były przyznane i wypłacane dodatki rodzinne na rodzinę wyszcze-
gólnioną w drugostronnym oświadczeniu / w rubr. 4 i 6/.

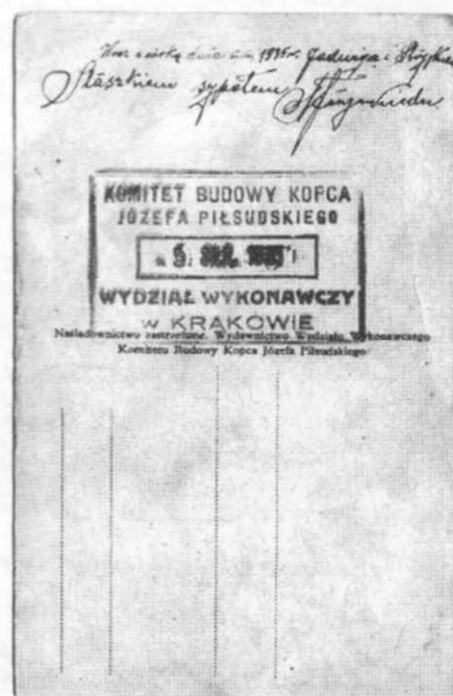
Data: 12.4.48r.....


Anty Suppr
.....
/Dowódca Oddz.Kmdt.Kier.
zakł. i.t.p./



MODEL KOPCA JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO NA SOWINCU W KRAKOWIE

Pamiątkowa karta pocztowa
z adnotacją dziadka dotyczącą uczestnictwa
w spaniu kopca Józefa Piłsudskiego



Taszyńskieder
Chippenham C. Camp
r. Ely, Cambs.
England

Chippenham d. 30.12.47r.

Bracie!

List Twój z dnia 21.12.47r. otrzymałem dziś.
Czytam go ^{już} piąty raz i nie mogę go zrozumieć. Dlaczegoś
mi tak napisał, że list mój się Tobie nie spodobał? Ty
się starasz całej rodzinie pomóc, a tu nikt nie zadowolony.
Nierazery mam się przeprosić, czy się okłamałem
Cibie? Czy mój list dobrze przeczytałeś moi jakiego
zrozumiałeś? Czy Ci uraziłem? Jeżeli poznałeś się
nadal nazyma Bratem to Ci tak napiszę. Nigdy nie
miałem ^{prawa} i niemam, żądać dla siebie czy rodziny
jakiejkolwiek pomocy od Ciebie. A jeżeli taka pomoc
prześtates to jestem Ci bardzo wdzięczny i bardzo Ci
za nią dziękuję. Tym samym zobowiązałeś mnie do
wywdzięczenia Ci się zato. Bracie zobowiązuje Ci się
i miarę moich możliwości czemś za tę pomoc wynagrodzić.
Napisz mi tylko co i komu wysłatesz, Abi nie
będę mógł ^{znieść} (wysłatesz) to choć częściej postaram Ci się
wywdzięczyć. Piszesz mi dalej tak, ja nie jestem minist.
rem ani Senatoren. ^{Władcy} Pomiedz mi co to ma za znaczenie?

Ja pisałem do starszego Brata, aby się pożalił, aby
się poradził i aby parę słów braterskiej porady od
niego otrzymał, ja do ministra nie pisałem. Bracie
i niemiesz jak bardzo mnie zranites temi słowy.

Nieraz moje gorczy, bo Ci to nie interesuje a ja
może więcej serca mam, aniżeli pomocy mater-
jalnej. Wyłisz się bardzo w ocenie mego listu. Zdaje
się czy i Henrysia podobnie tego nie odczuła.

Jeżeli pamiętasz moje listy to może sobie przypominasz
że jednym z nich tak Ci napisałem „w sprawie mojego wy-
jazdu do Ameryki, abyś nie robił wydatków niepotrzebnie,
bo ja ^{mam} ~~znam~~ jak ta sprawa wygląda, a ja potem do śmierci
nie mógłbym Ci się wyplacić. Wiec dlaczego mi tak napisałeś,
że Ty jesteś tylko szepkiem. Czy uważasz mnie za człowieka
lekko myślnego, który nie zdaje sobie z ważności sprawy?

Je Preszedtem bardzo ciężka i trudna szkoła życia i nauki
tem się potrzebi na smiat, na taki jaki on jest. ^{Ala} Sądziłem
przecież, że choć do rodnego brata mogę się uziać?
Niestety i tu mnie spotkał zaród, i z tym się pogodzę.
Bardzo Cie przepraszaam, i postaram się abyś Ci mój
takimi rzeczami który niezworował.

Na zakończenie Bardzo dziękuje Trojemu
synowi Henrysioni za nadstanie mi Zyczenia Sniateczna
Zarazem przesyłam Nam Wszystkim Serdeczne
Zyczenia Najroczne Byście w zdrowiu i Srebieciu
Przeżyli ten nasz rozpoczynający się rok Pański 1948.

brat Antoni

Wrocław 3/10/47.

Ukochany Antoni

Pisze do ciebie parę słów i chciałbym
odmówić co słychać u nas. Jesteś ciębie
i cały rodzin. Antoni ja dostałem urlopu
i mam teraz czas, wobec tego chciałbym
się odmówić, i zapomniałem na której
stacji do ciebie się wysiadła. prawda, że ty
mnie miniesz ale ja zapomniałem, i dlatego
wymagam się do ciebie jeżeli już myśli
to nie przypisuję trudności to napisz mi
na której stacji mam wysiąść. Zdrówiamy.

Korespondencja Władysława Burakiewicza do dziadka

3: KOCHANY WUJU !

List Twój jak i gazety otrzymałem za które Ci serdecznie dziękuje.

Cieszę mnie to ,zew tak podeszłym wieku trzymasz się jeszcze izieki Bogu dobrze,a przytyłmod czasu do czasu i mojej sprawy przypilnujesz,zaco Ci bardzo dziękuje.

Władzio mi donosił,ze poczynił starania u osobistosci wptywowych bym mógł predzej uzyskac wize na przyjazd do Ameryki.

Codomnie zdrow jestem dzieki Bogu pracujac nadal na poczcie obozowej wyczekuje z dnia na dzien co następny za nowosc przyniesie.

Bardzo ciezko jest zyc w takiej nieokreslonej sytuacji,zdaje się ze gozej anizeli na froncie, bo bez jutra i celu.Ale zdajac się naWole Boga czeka się co los przyniesie.

Wuju czytając Twoje listy zastanawia mnie to co skłania Cie do tego,ze tak

zwalczasz Kosciol Rzymsko Katolicki,ksiezy,biskupow ,Papierza i Jego metody nauczania. Wybacz mi Wuju mojej śmialej ciekawosci a może i

moim uwagom, ale pochodza one ze serca i spokojnej a chłodnej oceny.

Jak wierz Wuju i ja dobiegam pięćdziesiątki , choc może nie tak wykształcony abym mógł wszęch stronnie wszystko oceniac ale dosc bogato doswiadczo ny w przeżycia. Zwiedziłem wiele krajow w Europie, Azji a nawet w Afryce, przyglądałem się różnym ludziom, ich religjia, czy wia-rom jak ta kto woli no i miałem możnosc porownania ich religji z moja, i wybacz ,ze Ci tak napisze. Gdzie siegnęła nasza religja Rzymsko Kat.

izakorzenił się jej wpływ tam był rozwój kulturalny, moralny i gospodarczy czego chocby jaskrawy przykład u Arabow w Libanie. Widziałem podobne w Turcji i wiele innych.

Tak jak kazdy zwiazek ma i musi miec swoich przywódcow tak iten ktorym jest nasza religja ma w osobach ksiezy, biskupow i Papierza swoich przywódcow ktorzy go prowadzi. Nie mam zamiaru bronic zlych jego przedstawiicieli, bo chistorja kosciola zna,ze i Papierze byli zli,ale sam kosciol jako calosc nie był i nie jest zly, i nie dowód ze wszystko tej instytucji jest zle wraz z przywódcami.

Wuju Ojcowie Twoi zyli w tej wierze a ja ich wnuk byłem przy ich śmierci widziałem jak mając ta prosta wiare zegnając się z nami i błogoslawać nam ze spokojem umierali. Dlaczego Ty jako ich syn inaczej postępujesz? Czy Ci kosciol lub ksieze jakas straszna krzywdę wyzadzili ?

zelli się nie obrazisz Wuju to mi odpisz co jest powodem Twojej nienawisci.

Uwazam,ze Cie nie dotknolem swoja ciekawoscia, dlatego prosze Cie opisz mi to obszerniej.

Na zakonczenie zasylam Tobie oraz calemu Twojemu domowi serdeczne pozdrowienie i ucalowanie, ucaloj takze ciocie Marysie odemnie.

Twój siostrzeniec Antoni.

13. 2. 48.

Dear Henryk,
I forwarded back to you my affidavit
as I have resigned to emigrate to the United
States. The reasons of my resignation are the following
I do not see any chances to go there
earlier than after some years.
In spite of that I decided to return to Poland in
happened there. Rather I am afraid about my future
there but unfortunately, owing to the condition
I am obligate to go there.
I thank you very very much indeed
for all your help and troubles to take me to the
United States of America, and by this occasion
I should like to ensure you that I shall
be for ever much obligate to you.
Will you please to accept my best
wishes of full happiness in your future life. Be
good thoughts about me and if you will wish to
write to me send please all letters on the address
of my daughter (Wotowa) where probably I am
going. My best shake of the hand

Yours very sincerely
Uncle
J. M.

List do Henryka Faszynkiedera - bratanka w którym dziadek mówi o zwrocie affidavit'u
umożliwiającego wjazd do USA oraz swojej decyzji powrotu do Polski

Z kancelarii notarialnej
STANISŁAWA GABRYSZEWSKIEGO
w Bursztynie.

P o ś w i a d o c z e n i e

Poświadczam niniejszem, że p. Antoni Faszynkieder zdeponował u mnie kwotę dziewięćset sześćdziesiąt / 960 / złotych, celem wydania ta kwoty p. Janowi Jadachowi natychmiast po podpisaniu przez niego i p. Michała Banasia kontraktów zdelnych de intabulacji odnośnie do xxx sprzedanej przez p. Jana Jadachę nieruchomości zwanej "Kółko" w Łukewcu wiszniowskim.

B u r s z t y n , dnia 28 marca 1927.

Gabryszewski

Sąd grodzki Oddział III.

Bursztyn, dnia 12/9.1931.

Lcz. E. B. 24/30.

A 4:66/17:)
(:419/31:)

U c h w a ł a .

W sprawie spadkowej po bp. Eljaszu Feintuchu zmarłym we Wiedniu 7/5.1917. po przeprowadzeniu dochodzeń - zatwierdza przedłożony kontrakt kupna i sprzedaży z daty Bursztyn, 2/7.1920.G.326/20 imieniem powyższej masy w całej osnowie.

Zarazem na podstawie powyższego kontraktu kupna i sprzedaży z daty Bursztyn 2/7 1920.G.326/20 i arkusza zgłoszeń l. 37.gm.kat. Łukewiec wiszniowski zarządza się :

wpis prawa własności 2/4 części realności obj. whl. 884.gm.kat. Wiszniów składającej się z pgr.lk. 2074/1 w miejsce Eljasza Feintucha na rzecz Zofji Ziemiańskiej.-

Eugeniusz Lonkiewicz
Należyte zgłoszenie potwierdza
kierownik kancelaryj:

Lonkiewicz

Anglia d. 6. 7. 1948

Łauromy Panie Fanyukiender!

Ta list tak serdeczny i zadowolnienie
paczki uiej siostrze serdecznie dziękuję. Cieszę się bardzo
że Pan dotarł do swego i jest już w Polsce. Naprawdę Pan
jest serdecznym człowiekiem, gdyż jest Pan już razem
z rodziną i w swojej ojczyźnie. Tu skrym Angli
germancami to nie można się dogadać a dodatkowo
na cotymy skone żeśmy się przekłaniali. Wana przyntoi
jest w Polsce, bo i dui w Polsce są lepsi ludzie jak byli
dawimj, bo wogna uas uauczyła cichnie i wzajemnie
się nauować. A jak było brak Polakowi tego braterskiego
i koleżeńkiego ciepła. A teraz nie możemy liczyć
na nikogo tylko na własną siłę i oparci o silnego
saxiada. Ta sobie wyobrażam co za radość sprawi Pan
swoj Łonie i dzieciom, przedstawiając się we własnym
imieniu jako Pan Schinger. Jenerze raz Panu dziękuję za
dostarczenie paczki i proszę wstąpić do uiej siostry Kiedy
Pan będzie w moim mieście. Tak, tak, bywa uas swiecie
że krótko myśmy się znali a tak serdecznie ten
czas, i spędzone chwile powstały w pamięci, takich
kolegów i ludzi się zrozmienia, bywa uas swiecie bardzo
malo. Ot. 19. 6. m. uas obci się likwiduję i robi się
nie przyjemna atmosfera. Koięże przesyłam uie
i serdeczne pozdrowienia dla całej rodziny i polceam
opieku Proszę. Kory D.

W. Schinger

P.S.

Andromiania ot. chrz. Piotr. Władysław Samik. Robiła
Schudkiego, fa. Łauromy, Minnie uas jebro list do pan fioni.
A co jest ze śladami i kiedy. Przyjemnie mi że go spotkać
napewno Pan sobie, już nogę wzięwiera, Notat i flakki
podaje, a uas tylko stała i linca idzie,...

czeladzi i o Panu talce!

Proszę Panu wstąpić do uiej siostry Kiedy
Pan będzie w moim mieście. Tak, tak, bywa uas swiecie
że krótko myśmy się znali a tak serdecznie ten
czas, i spędzone chwile powstały w pamięci, takich
kolegów i ludzi się zrozmienia, bywa uas swiecie bardzo
malo. Ot. 19. 6. m. uas obci się likwiduję i robi się
nie przyjemna atmosfera. Koięże przesyłam uie
i serdeczne pozdrowienia dla całej rodziny i polceam
opieku Proszę. Kory D.

W. Schinger

Komentarz końcowy

W „Życiorysie” dziadka nie ma faktów wymyślonych. Prawdą jest, że w paru miejscach coś niecoś dodałem, ale tylko po to by tekst miał w miarę jednolity charakter. Były niedomówienia jeżeli chodzi o kilka zdarzeń. Największy problem wyniknął ze znalezieniem miejscowości gdzie dziadek spotkał się z Zawadowcą. W końcu umieściłem to zdarzenie na chybił trafił w Rzeszowie. Mimo, że przynajmniej dwa razy słyszałem to opowiadanie... albo nie była wymieniona miejscowość, albo była a ja jej nie zapamiętałem. Jak chodzi o zdarzenie przy szocie we Włoszech, gdy zapytałem dziadka - co skłoniło go do niedopuszczenia do zabicia Włocha odparł: „Żał mi go było był taki beztroski a i rano myślałem o domu, rodzinie i swoim synu”... Potem jeszcze dodał: „Życie ludzkie nigdy dla mnie nie było nic nie warte... każdego człowieka”. Mówił też: „ Tyle razy minowałem albo rozminowywałem różne pola, rowy, dojścia do mostów, drogi itp, ciągle z pełnym wozem min jechało się tam i z powrotem - jeden pocisk czy kula wystarczyły aby to wszystko rozniosło nas w drobny mak - było jednak to przysłowiowe szczęście. Wracając jeszcze do pamiętników: Mogą oczywiście w nich być pewne błędy w nazwach miejscowości arabskich czy włoskich czy nawet w nazwiskach ludzi, gdyż są pisane czasem bardzo niewyraźnie. Można jednak tekst porównać z jego tłumaczeniem. Nieraz trudno też zorientować się czy jest napisana litera „o” czy „a”, „n”, „u” czy „m”

Nazwy miejscowości włoskich najlepiej poprawiłby jakiś Włoch. Być może jeszcze będę miał taką możliwość przed wydaniem książkowym niniejszej pracy. Dla orientacji i czytających wystarczy dokładna mapa Europy, Bliskiego wschodu, północnej Afryki i Włoch oraz odszukiwanie tych wszystkich miejscowości i kreślenie szlaku marszu dziadka i naszych żołnierzy. To przy odrobinie wysiłku może zrobić każdy.

Sprostowania

W Zeszycie Nr 5, strona 24, na zdjęciu przedstawiającym „młodych łukowian” pomyłkowo wpisałem Tadeusz Malec zamiast Józef Malec. Także na str. 30 pisząc o zabitej

żydowskiej rodzinie napisałem rodzina Dudziów tymczasem była to rodzina Lejdów. Uwagę zrobił mi też pan Wojciech Janusz, uczestnik Samoobrony i AK. Widziałem jego dokumenty i potwierdzam, że niedawno otrzymał jako kombatant stopień porucznika. Za wszystkie błędy przepraszam.

Finanse

Koszt druku 5 numeru „Zeszytów” wynosi 1000 zł (bez liczenia moich dopłat) Otrzymane datki za 5 nr Zeszytów to kwota 1125 zł. Dziękuję pani Dudzic z Wrocławia pani Kurpisz ze Zgorzelca panu Piechucie z Żar panu Mokrzyckiemu z Wykrotów, Sebastianowi Burdzemu, Danucie Pryjda z Bogatyni Panu Tadeuszowi Malcowi z Chomiędzy i pani Marcie Polak - Burza z Komorowa za największe 50 zł opłaty (w jednym przypadku kwota 100 zł).

W lutym w trakcie przygotowywania do druku niniejszych numerów Zeszytów otrzymałem od anonimowej osoby z Francji przekaz pieniężny o wartości 300 euro, za który bardzo dziękuję.

Kontakty z łukowianami

Pragnę jeszcze poruszyć pewną kwestię otóż zauważyłem, że pewne osoby wołałyby abym nieco inaczej podszedł do niektórych łukowieckich problemów. Na pewno można by wszystko słodzić ale czy wtedy byłoby dobrze? - Śmiem w to wątpić. Poza tym ludzie jak ludzie składają się z dobra i zła. Każdy więc miał coś, że tak powiem, za nosem. Jednak nie jest moim zadaniem dyskredytować tu ludzi a nawet nie mam zamiaru pisać za dużo o ludzkich słabościach, bo i po co. Choć, tam gdzie się charakteryzuje człowieka należy oprócz jego wspaniałych cech napisać i o jego gorszych stronach. Bo przecież takim jest każdy z nas. Ludzka natura jest w zasadzie niezmienna. Gdy raz zapytałem moją mamę jak było przed wojną z moralnością - czy ludzie byli lepsi? - Ona po namyśle odpowiedziała, że było podobnie. Choć mniej było rozwodów i mniej mówiło się o wielu sprawach, tak zwanym uświadamieniu i tak ludzie postępowali podobnie. Myślę, że nasze społeczeństwo pod wieloma względami jest ba-

rdziej rozpasane niż nasi przodkowie tym niemniej te same problemy nas nurtują i mamy podobne marzenia i pragnienia.

Spotkania kontakty

Nawiązałem telefoniczny kontakt z panem Tomaszem Tomkiewiczem z Poznania byłym mieszkańcem Bukaczowic - To położone niedaleko Łukowca miasteczko, w którym mniej więcej po jednej trzeciej zamieszkiwali Polacy, Ukraińcy i Żydzi jest systematycznie odwiedzane przez byłych Bukaczowian i ich potomków. Pan Tomkiewicz redaguje też gazetkę „Głos bukaczowiecki” w której ludzie wspominają tak jak i my dawne dzieje swojego miasteczka. Namiary na nas panu Tomkiewiczowi przekazał pan Andrzej Jabłkowski były mieszkaniec Starego Dworu dziękuję mu za to. Po przeczytaniu przekazanej mi gazetki bukaczowieckiej uderzyła mnie jakaś zażyłość Bukaczowian w stosunku do siebie, rodzinna atmosfera, a także ich urzeczenie Kresami. Piszą o swoim mieście i o Kresach jak o przedśionku raju - jak to kiedyś opowiadał mi pan Śliwiński o tarnopolskim. Wszystko tam jest cudowne a Prut i Czeremosz mruczą jak żywe istoty. Pan Tomkiewicz miał ma Łukowcu rodzinę, ale nie pamięta jak nazywała się ta j ego ciocia, którą odwiedził kilka razy gdy był bardzo małym chłopcem. Pamięta, że mieszkali koło kościoła. Wujek był wysoki a ciocia o imieniu Salomea, malutka. Gdyby ktoś zorientował się o jaką rodzinę chodzi proszę o informację. Bardzo mocno zainteresowany jest także naszymi „Zeszytami” pan Tadeusz Piechuta z Lubina i pani Dżudzie z Wrocławia oraz rodzina Kurpiśzów ze Zgorzelca. Nie zastał mnie pan Dziuba z Gryfina w zachodniopomorskim, który przejeżdżał kiedyś przez Lubin i chciał porozmawiać. Ostatnio widziałem się także z mieszkającym w Chocianowie panem Marianem Majewiczem mieszkańcem Kochawiny. Gdy zapytałem o transporty Polaków z jego miejscowości na Ziemię Odzyskaną jednym tchem wymienił mi pięć miejscowości w których osiedlili się Polacy z Kochawiny. Choć jest on rocznikiem powojenny zna historię obrazu Kochawińskiego i mówił, że kiedyś był na ślubie za Środą Śląską i ze zdziwieniem zauważył, że jest tam w jednym kościele obrazu Matki Boskiej Kochawińskiej. Chodzi o obraz w bocznej nawie

kościoła w Osieku. Powiedziałem mu, że tam właśnie mieszkają ludzie z Łukowca o ten obraz jest tam z tego powodu. Innym moim rozmówcą był pan Tadeusz Smereka mieszkający jakiś czas w Wawrzyńcach. Wsi w jakimś stopniu sąsiadującej z wioskami w których osiedlili się Łukowianie. Mówił, że jego stryj był proboszczem po wojnie w Zabłociu i że znał trochę Łukowian. Smerekowie pochodzą z lwowskiego z miejscowości Sąsiadowice nieopodal Sambora. Nie było tam aż tak strasznie jak na Łukowcu ale także swoje przeżyli a część młodzieży była w AK i chroniła wioski polskie. Pan Smereka, powiedział że: „Kiedyś do Wawrzyńcyc przyjechał z Krakowa ksiądz na rekolekcje i opowiadał swoją historię ocalenia,, - To był ksiądz prof. Dac. - Jak to wszystko układa się w dziwną całość - jak klocki lego. Pan Tadeusz Smereka, opowiadając o powojennych czasach mówił też, że w Wawrzyńcach był kościół katolicki i bardzo dobre relacje pomiędzy Polakami a Niemcami mieszkającymi wspólnie po przyjeździe Polaków na Ziemię Zachodnią. Siostry zakonne przy kościele - Jadwiżanki - Niemki lub Ślązaczki a może Polki - mówiły po polsku, były przemiłe, życzliwe i pozostały jeszcze przez wiele lat w Wawrzyńcach. Zawsze pragnęły coś każdemu dziecku dać i to sprawiało im radość. Nosiły imiona Digna, Elekta a na najstarszą powszechnie mówiono „Mateczka”. Digna leczyła, a praktycznie zastępowała lekarza. Miała różne medykamenty, stawiała diagnozy i robiła ludziom zastrzyki. Po kilku latach wyjechała do Niemiec. Siostra Elekta - prowadziła ochronkę dla dzieci oraz grała na organach w kościele. Nie wyjechała. Zmarła w Wołowie i tam została pochowana. Pierwsze wspólne święta na Ziemach Zachodnich -jak wspomina pan Tadeusz - uzgodniono z Niemcami, że jedną kolędę będą śpiewać oni a drugą Polacy. I że ponieważ Niemcy wyjeżdżają oni zaczynają ten kolędowy przekładaniec.

Zatelefonowała też do mnie pani Kędzierska z Lubiąża - pochodzi z Hrehorowa. Jej rodzina uciekła w nowosądeckie w 1944 roku. Mówiła, że jakoś udawało im się przetrwać aż do 1944 roku, w nocy spali poza domem w schronach. Ojciec jej, który był poważnie chory na serce miał propozycję od znajomych osiedlenia się w Łukowcu, ale wybrał nowosądeckie. Bał się, że Względem na swoją chorobę, nie podola

obowiązkom związanym z samoobroną i z conocnym czuwaniem. Pani Kędzierska to żona porucznika AK Ludwika Kędzierskiego, o którym wcześniej pisałem. Inny telefon otrzymałem od rodziny Pryjdów z Bogatyni, spokrewnionej z Wojtowiczami z Karolówki i Krawczykami z Łukowca. Pan Pryjda opowiedział mi o wrażeniach z odwiedzin Łukowca i miejsca, gdzie kiedyś była wieś Karolówka.

Pytania i uwagi

Osoby czytające „Życiorys żołnierza i dwa pamiętniki” zadały mi kilka pytań: m.in.: zapytano mnie dlaczego napisałem, że sklep dziadka był katolicki. Moja odpowiedź brzmiała: Bo na sklepie był taki właśnie napis: „Sklep katolicki Zofii Ziemiańskiej” i czy była to reklama fer czy nie fer. W to nie wnikam, po prostu stwierdzam fakt.

Także zapytano mnie o kłótnię babci z Żydem, który miał jej pomoc sprzedać krowę - Na pewno i babcia miała jak to się mówi swój charakter i mogła Żyda obrazić czy doprowadzić nawet do szewskiej pasji, ja tego nie dociekam, gdyż nie wiem co na tej drodze doprowadziło babcię i Żyda do kłótni. Wiem, że w konsekwencji tego do szewskiej pasji doprowadzony został dziadek. - On uważał, że skoro umówił się to umowa powinna być wykonana bez względu na problemy osoby umówionej z jego żoną.

„W Anglii”

Pan Edward Sabat należał do kółka brydżowego w Starym Dworze (Faszynkieder Antoni, Martka Ludwik, Starkiewicz Stanisław - Sybirak i Sabat Edward). Lubił on dziadka, zauważyłem też, że lektura „Życiorysu żołnierza i dwóch pamiętników” sprawiła mu dużą przyjemność. Jego krótkie wspomnienie o dziadku i słowa komplementujące mnie sprawiły mi sporą satysfakcję. Tym bardziej, że pan Edward, który jest bardzo wnikliwym recenzentem tym razem oprócz zwrócenia mi uwagi na przekręcenie dwóch imion i dwóch drobnych poprawek dotyczących ostrości wypowiedzi nie miał praktycznie do niczego pretensji. Nawet stwierdził, że ja o Łukowcu to wiem już chyba

więcej niż ludzie którzy tam mieszkali. - Jest to oczywiście przesada. Gdy dzień po złożeniu u niego „Życiorysu” zadzwoniłem i zapytałem - Jak tam lektura? -Odpowiedział: „Jestem już w Anglii”.

Z ostatniej chwili!

12 marca wróciłem z Glucholaz z pogrzebu Marka Faszynkiedra. Zmarł młodo pozostawiając trzech synów w tym dwóch niepełnoletnich. Przekraczając próg domu żona poinformowała mnie o nagłej śmierci pana Edwarda Sabata!